

STAR WARS®

DARTH MAUL
ŁOWCA Z MROKU



MICHAEL REAVES

**STAR
WARS**

DARTH MAUL

**ŁOWCA
Z MROKU**

MICHAEL REAVES



Tytuł oryginału
Darth Maul: Shadow Hunter

Copyright © 2001 by Lucasfilm, Ltd. & TM.
All Rights Reserved. Used Under Authorization.
For the Polish translation
Copyright © 2001 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Przekład
Katarzyna Laszkiewicz

Redaktor serii
Zbigniew Foniok

Redakcja stylistyczna
Magdalena Stachowicz

Redakcja techniczna
Andrzej Witkowski

Korekta
Joanna Cierkońska
Iwona Rębiszewska

Ilustracja na okładce
Drew Struzan

Skład
Wydawnictwo Amber

ISBN 837-24-5740-9

Warszawa 2001. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 22 620 40 13, 22 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl



*Mojej córce Mallory.
Moc jest w niej silna.*

Jeszcze dawniej temu, w odległej galaktyce...

C Z Ę Ś Ć

I

U L I C E Z Ł A

ROZDZIAŁ

1

Kosmos to doskonale miejsce, by się ukryć.

Neimoidiański frachtowiec „Saak'ak” sunął ciężko przez najdalsze, nieskatalogowane obszary Dzikiej Przestrzeni. Dumnie prezentował swoje barwy. Opuścił płaszcz ochronny, więc nie obawiał się wykrycia. Tu, o całe parseki od cywilizowanego Jądra Galaktyki i otaczających je systemów, mógł się schować, specjalnie się nie ukrywając. Nawet Neimoidianie – mistrzowie paranoi – czuli się bezpiecznie w nieskończonej otchłani pomiędzy dyskiem galaktyki a jednym z jej ramion.

Jednak nawet tutaj przywódcy Federacji Handlowej nie potrafili zapomnieć o swojej skłonności do podstępów. Obłuda i przebiegłość była im tak potrzebna jak młodej larwie bezpieczne ciepło we własnym roju. Sam „Saak'ak” był tego najlepszym przykładem. Z pozoru zwykły statek handlowy o kształcie podkowy, zaprojektowany do przewożenia dużych partii ładunków. Dopiero gdy nieświadomy niczego wróg wchodził w zasięg ostrzału, widać było ciężkie płyty durastalowego pancerza, wieżyczki dział i anteny komunikacyjne klasy militarnej.

Ale wtedy, rzecz jasna, było już za późno.

Na mostku „Saak'aka” panowała cisza, jeśli nie liczyć cichego popiskiwanego i szumu najrozmaitszych urządzeń monitorujących systemy podtrzymywania życia i niemal niesłyszalnego szmeru systemu filtracji powietrza. Z boku, przy jednym z ogromnych transpastalowych iluminatorów stały trzy postacie. Miały na sobie

powiewne szaty i płaszcze neimoidiańskiej arystokracji, ale gdy pojawiła się wśród nich czwarta postać, całą swoją postawą okazały głęboki szacunek, wręcz lekliwą służalczość.

Czwarta osoba nie była tak naprawdę obecna fizycznie. Postać ubrana w długie szaty i kaptur była tylko hologramem, trójwymiarową projekcją wysłaną z nieznanego źródła odległego o całe lata świetlne. Niematerialny i bezcielesny, tajemniczy gość górował nad trzema Neimoidianami mimo przygarbionej sylwetki. Nie mogli być bardziej wystraszeni, nawet gdyby pojawił się nagle fizycznie między nimi wymachując blasterem.

Twarz gościa – na tyle, na ile było ją widać w cieniu kaptura – była posępna i nieprzejednana. Zakapturzone oblicze popatrzyło po kolei na każdego z Neimoidian. Potem zjawa przemówiła głosem ochryłym i suchym, wymuszającym natychmiastowe posłuszeństwo.

– Jest was tylko trzech.

Najwyższy z trójki, noszący na głowie trójzębną tiarę wicekróla, wyjąkał:

– T-to prawda, Lordzie Sidious.

– Widzę ciebie, Gunray, i twoich pachołków Haako i Dofina. A gdzie czwarty? Gdzie jest Monchar?

Wicekról Federacji Nute Gunray złączył dłonie przed sobą w błagalnym geście, a naprawdę po to, aby powstrzymać nerwowe kręcenie młynka palcami. Łudził się kiedyś nadzieją, że z czasem przywyknie do kontaktów z Lordem Sithów, ale daleko było jeszcze do tego. O ile to w ogóle możliwe, w miarę zbliżania się terminu wprowadzenia embarga spotkania z Darthem Sidousem przyprawiały go o coraz silniejsze skurcze żołądka. Gunray nie wiedział, jak czuli się jego zastępcy, Daultay Dofin i Rune Haako – rozmowy o emocjach były dla Neimoidian tabu – ale znał doskonale własne odczucia po każdym spotkaniu z Lordem Sithów. Miał po prostu ochotę wczłogać się z powrotem na samo dno kieszeni rodnej swojej matki.

Zwłaszcza teraz. Przeklęty Hath Monchar! Gdzie jest ten bękarci pomiot? Nie na pokładzie „Saak'aka”, to pewne. Statek przeszukano od środkowego pierścienia po śluzy powietrzne na najdalszych końcach doków w ramionach cumowniczych. Nie znaleziono nie tylko

zastępcy Gunraya, ale również statku zwiadowczego z napędem hiperprzeźrennym. Wystarczy dodać dwa do dwóch, żeby perspektywa, że wicekról skończy w charakterze paszy na farmie hodowli grzybów w rodzinnej Neimoidi, stała się niepokojąco realna. Holograficzny wizerunek Dartha Sidiousa zamigotał lekko, aby po chwili znów nabrać ostrości. Zakłócenie spowodował najpewniej gwiazdny rozbłysk pomiędzy miejscem, w którym się znajdowali, a tajemniczym światem, z którego wysłano sygnał. Nie po raz pierwszy Gunray zaczął się zastanawiać, na jakiej to planecie czy na jakim statku przebywa prawdziwy Sith, i nie po raz pierwszy odpędził pośpiesznie tę myśl. Nie chciał wiedzieć zbyt wiele na temat sojusznika, jakiego znaleźli Neimoidianie do tego przedsięwzięcia. Tak naprawdę chciał zapomnieć nawet to, czego się do tej pory dowiedział. Współpraca z Darthem Sidousem była mniej więcej tak samo bezpieczna jak trafienie do jaskini wygłodniałego krajońskiego smoka na Tatooine.

Zakapturzona postać zwróciła się w jego stronę.

– A więc?

Zanim jeszcze otworzył usta, Gunray wiedział, że próba okłamania Dartha Sidiousa byłaby daremna. Był mistrzem Mocy, tej tajemniczej, wszechogarniającej energii, spajającej – jak twierdzili niektórzy – galaktykę tak samo jak grawitacja. Sidious nie umiał może odczytać najbardziej skrytych myśli, ale na pewno zdołałby rozpoznać oczywiste kłamstwo. Jednak Neimoidianin nie mógł się powstrzymać od ukrywania prawdy, tak jak nie potrafiłby powstrzymać potu, ściekającego tłustymi strużkami po jego karku.

– Zachorował, mój panie. Zbyt dużo ciężkiego jedzenia. On jest... on jest delikatnej konstytucji. – Gunray zacisnął wargi, żeby nie było widać ich drżenia. W duchu przeklął samego siebie. Tak oczywiste i żalodne kłamstwo; nawet Gamorreanin przejrzałby je na wylot! Był przekonany, że za chwilę Sidious rozkaże Haako i Dofmowi, aby zdarli z niego szaty i pozbawili insygniów władzy. Nie miał wątpliwości, że zrobiliby to. Dla Neimoidian najtrudniejszym do zrozumienia terminem w galaktycznym wspólnym było słowo „lojalność”.

Ku jego zdumieniu jednak Sidious po prostu kiwnął głową, zamiast wybuchnąć gniewem.

– Rozumiem. A więc dobrze... omówimy we czterech plan awaryjny na wypadek, gdyby embargo nie poskutkowało. Przekażecie nasze ustalenia Moncharowi, gdy wydobrzeje. – Lord Sithów mówił dalej, opisując plan ukrycia wielkiej armii robotów bojowych w ładowniach statków handlowych, ale Gunray prawie go nie słuchał. Nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia, że jego desperacka wymówka zadziałała.

Ulga wicekróla nie trwała jednak długo. Wiedział, że udało mu się zyskać nieco czasu, ale niewiele. Kiedy hologram Sidiousa ponownie zmaterializuje się na mostku „Saak'aka”, znów zapyta, gdzie jest Monchar – tym razem wicekrólowi nie uda się go nabrać na wymówkę o chorobie.

Było tylko jedno wyjście – jego porucznik musi się znaleźć, i to szybko. Ale jak to zrobić, nie wzbudzając podejrzeń Sidiousa? Gunray chwilami był pewien, że Lord Sithów w jakiś dziwny sposób potrafi zajrzeć w każdy przedział, w każdą wnękę i każdą kabinę frachtowca, że wie do najdrobniejszych szczegółów, co się dzieje na pokładzie.

Wicekról nakazał sobie spokój. Skorzystał z okazji, że uwagę Sidiousa odwrócili na chwilę Haako i Dofin, aby ukradkiem wsunąć między wargi kapsułką antystresową. Czuł, jak jego worki płucne rozdymają się i kurczą konwulsyjnie na granicy hiperwentylacji. Stare powiedzenie nazywało Neimoidian jedyną rasą rozumną, która miała osobny organ wewnętrzny, przeznaczony wyłącznie do zamartwiania się. Czując, że niepokój znów skręca jego kiszki, Nute Gunray miał nieprzyjemne wrażenie, że w porzekadle tym jest sporo prawdy.

Skończywszy przekazywanie instrukcji Neimoidianom, Darth Sidious, Lord Sithów, wykonał niedbały, ledwie zauważalny gest. Po drugiej stronie pomieszczenia pstryknął przekaźnik i przerwał transmisję holograficzną. Migotliwe, błękitne sylwetki Neimoidian i fragment mostka ich statku, uchwycony przez rozszczepiony promień nadajnika, zniknęły w jednej chwili.

Sidious stał milczący i nieruchomy na kracie transmisyjnej. Złączył czubki palców, wczuwając się w prądy i zawirowania Mocy. Istoty o mniejszej wrażliwości nie były w stanie jej wyczuć, ale jemu wydawała się wszechobecną mgłą, niewidzialną, a jednak namacalną, która nieustannie opływała go ze wszystkich stron. Żadne słowa, żaden opis nie zdołałby choć w przybliżeniu przekazać, czym była; jedynym sposobem zrozumienia było odczuć jej obecność.

Przez długie lata studiów i medytacji nauczył się interpretować każde zawirowanie jej niespokojnego przepływu, choćby najbardziej delikatnego. Jednak nawet bez tak subtelnych umiejętności wiedział, że Nute Gunray kłamał na temat Hatha Monchara. Stary dowcip na temat rasy wicekróla dobrze to oddawał: „Po czym można poznać, że Neimoidianin kłamie? – Ma otwarte usta”.

Sidious pokiwał lekko głową. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że Gunray go okłamał, pozostawało tylko pytanie dlaczego. To pytanie domagało się odpowiedzi, i to szybko. Neimoidianie byli słabeuszami, to fakt, ale nawet najbardziej tchórzliwe stworzenie potrafi stanąć na tylnych łapach i ukąsić, gdy zostanie przyparte do muru. Spiskowali za jego plecami. Tylko ktoś beznadziejnie naiwny wierzyłby, że jest inaczej, a chociaż Darthowi Sidiousowi można było przypisać wiele wad, naiwność na pewno do nich nie należała. Biorąc pod uwagę, jak ważne mogło się okazać embargo Naboo i jego późniejsze machinacje gospodarcze, mógł zrobić tylko jedno.

Sidious wykonał kolejny niedbały gest. Fale Mocy zmarszczyły się w odpowiedzi, a krata transmisyjna pod jego stopami rozjarzyła się ponownie. Jego holograficzny wizerunek znów pomknął przez pustką w jakieś odległe miejsce. Nadszedł czas, żeby wprowadzić do gry kolejnego gracza – szkolonego i przygotowywanego przez całe lata do tego właśnie zadania. Drugą połową zakonu Sithów – jego faworyta, jego ucznia, jego następcę.

Tego, któremu Sidious nadał imię Darth Maul.

Roboty pojedynkowe zostały zaprogramowane na zabijanie.

Było ich cztery – najnowocześniejsze egzemplarze serii Elitarny

Gladiator, wyprodukowane przez Trang Robotics, każdy uzbrojony inaczej: jeden w stalowy rapier, drugi w ciężką pałkę, trzeci w krótki kawałek łańcucha, ostatni zaś – w podwójne ostrza maczet, każde długości ludzkiego przedramienia. Ich program obejmował umiejętności tuzina mistrzów sztuk walki, a refleks ustawiono tuż powyżej możliwości człowieka. Durastalowy pancerz był odporny na strzały z blastera. Fabrycznie wyposażano je w inhibitor behawioralny, który nie pozwalał im zadać śmiertelnego ciosu, gdy przeciwnik był pokonany, ale ich obecny właściciel zneutralizował inhibitory. Najdrobniejszy błąd w walce oznaczał śmierć.

Darth Maul nie popełniał błędów.

Uczeń Sithów stał w samym środku komnaty treningowej; roboty okręwały go coraz ciasniejszym kołem. Oddychał spokojnie, puls miał równy i niespieszny. Rozpoznawał reakcję swojego ciała na niebezpieczeństwo – rozpoznawał i kontrolował.

Dwa z robotów – Rapier i Łańcuch, jak je nazwał dla wygody – znajdowały się w jego polu widzenia. Pozostałe dwa – Pałkę i Maczetę – miał za sobą. Nie miało to znaczenia; poprzez Moc śledził ich ruchy równie precyzyjnie, jak gdyby miał oczy z tyłu głowy.

Maul uniósł broń – dwustronny świetlny miecz – i włączył aktywator. Z obu końców rękojeści wystrzeliły energetyczne ostrza, sycząc i szczękając w karmazynowych pętlach przesłona przepływu po obu stronach urządzenia. Każdy rycerz Jedi umiał władać mieczem świetlnym o pojedynczym ostrzu, ale trzeba było prawdziwego mistrza, żeby używać tej broni, zaprojektowanej przez legendarnego Mrocznego Lorda Fxara Kuna tysiąclecia temu. Dla każdego, kto nie był idealnie zestrojony z takim mieczem, broń mogła się okazać równie zabójcza jak dla jego przeciwnika.

Rapier rzucił się z impetem do przodu, uginając metalowe kolano tak, że niemal dotknęło podłogi. Ostry jak igła koniec ostrza pomknął ku sercu Maula ruchem tak szybkim, że niemal niewidocznym.

Ciemna strona Mocy wypełniła Dartha Maula niczym czarna błyskawica; wspomagała lata treningu, kierowała jego reakcjami. Czas jakby zwolnił, rozciągając sekundy.

Mógł z łatwością przeciąć rapier na pół, bo niewiele metali mogło

się oprzeć nie wywołującej tarcia krawędzi miecza świetlnego. Ale to byłoby mało ambitne. Maul zakreślił łuk w stronę koniuszka rapiera, unosząc na koniec ręce poziomo na linii piersi. Lewe ostrze miecza świetlnego rozcięło uzbrojone ramię. I ramię, i broń ze stukotem potoczyły się po podłodze.

Maul opadł na lewe kolano, wyczuwając, że dokładnie za jego plecami Pałka ze świstem zatacza szeroki łuk swoją bronią, mijając o włos rogowe wyrostki na jego czaszce.

Nie oglądając się za siebie, kierowany jedynie wibracjami Mocy, pchnął w tył prawe ostrze, a potem szybko do przodu lewe – raz! dwa! – dźgając Pałkę i Rapier niemal jednocześnie w sekcję brzuszną. Spięte obwody strzeliły iskrami, smar trysnął oleistą, czerwonawą mgiełką.

Wykorzystując moment pchnięcia w przód, Maul dał nura ponad padającym na podłogę robotem, przeturlał się miękko po ziemi i poderwał z powrotem na nogi. Unosząc świetlny miecz ponad głową, stanął pewnie w postawie *teräs käsi*, zwanej ujeżdżaniem Bantha – na szeroko rozstawionych nogach. Wykonując tę sekwencję ruchów nie przestawał częścią świadomości kontrolować stanu swojego ciała. Oddychał równo i spokojnie, puls podskoczył mu zaledwie o dwa lub trzy uderzenia na minutę.

Dwa załatwione, zostały jeszcze dwa.

Łańcuch zaatakował, kręcąc bronią nad głową jak śmigłem żyrolotu. Ciężkie ogniwa ze świstem pomknęły w stronę Maula. Wojownik okręcił się na prawej pięcie, lewą wypychając w bok w potężnym kopniaku, który trafił prosto w zbrojną pierś robota i zatrzymał go w miejscu. Teraz Maul przykucnął, zamachnął się mieczem jak kosą i ciachnął robota czystym cięciem na wysokości kolan. Pozbawiony dolnej części nóg, robot klapnął na ziemię, podczas gdy Maul okręcił się raz jeszcze, wyprowadzając broń ruchem znanym jako Wchodzący Rankor. Wprowadziwszy prawe ostrze pomiędzy mechaniczne nogi robota, zablokował miecz na udzie i gwałtownie wstał.

Siła ciosu rozcięła robota od krocza aż po czubek głowy. Rozpadł się na połowy z chrzęstem metalowych części. Stopy i dolne części

nóg uderzyły o ziemię tylko o ułamek sekundy wcześniej niż górna część ciała Łańcucha.

Kwaśny swąd spalonego smaru i zetlałych obwodów wypełnił powietrze. Coś, co jeszcze kilka sekund temu było sprawnym, zaawansowanym technicznie mechanizmem, zamieniło się w ledwie rozpoznawalną kupę złomu.

Trzy załatwione, został jeszcze jeden.

Maczeta ruszył na Maula z lewej trony, kręcąc młynka ostrymi jak brzytwa ostrzami w obronnym geście – góra, dół, lewo, prawo. Kreślił oślepiający wzór zabójczymi ostrzami, gotowymi oślepić i zabić nieprzygotowanego przeciwnika.

Maul skrzywił się i wcisnął przyciski kontrolne na rękojeści świetlnego miecza. Ciche brzęczenie miecza ucichło, gdy zgasły wysokoenergetyczne ostrza. Maul pochylił się, nie spuszczając oczu z robota, położył broń na podłodze i odepchnął końcem buta.

Przyjął pozycję obronną: obrócił się o czterdzieści pięć stopni od robota, z lewą nogą w wykroku. Obserwował migoczące w śmiercionośnym tańcu ostrza Maczety, podchodzącego coraz bliżej. Robot taki jak ten nie znał strachu, ale Darth Maul wiedział, że odłożenie broni i chęć zmierzenia się z przeciwnikiem gołymi rękami na pewno przeraziłaby każdego napastnika choć odrobinę inteligentniejszego niż robot. Strach bywa często równie skuteczną bronią jak świetlny miecz czy blaster.

Ciemna strona burzyła się w nim, gotowa go oślepić, ale nie pozwolił sobą zawładnąć. Uniósł jedną dłoń do ucha, drugą oparł na biodrze, a potem zmienił ręce. Obserwował. Nasłuchiwał.

Maczeta podszedł bliżej o pół kroku; krzyżował ostrza nieprzerwanie, czekając, aż jego przeciwnik się odsłoni.

Maul dał robotowi to, na co ten czekał. Wyciągnął przed siebie lewą rękę, odsłaniając bok na sztych lub pchnięcie.

Maczeta dostrzegł okazję i ruszył szybko, bardzo szybko; wymierzył cięcie jednym z ostrzy, drugie trzymając w odwodzie.

Maul padł na ziemię, zaczepił lewą stopę o kostkę nogi robota i pociągnął, jednocześnie drugą nogą kopiąc go w udo.

Maczeta przewrócił się, tracąc równowagę, i upadł na plecy. Maul

zerwał się, podskoczył i wylądował obiema nogami na głowie robota. Metalowa czaszka zazgrzytała i wgięła się do środka. Światelka fotoreceptorów rozbłysły i zgasły, gdy sztuczne oczy robota rozpadły się na kawałki.

Maul znów zanurkował na podłogę i przeturlał się w półobrocie do postawy *förräderi*, gotowy do skoku w dowolną stronę.

Nie było jednak takiej potrzeby – wszystkie cztery roboty zostały pokonane. Naprawa Maczety, Pałki i Rapiera zajmie mechanikom wiele dni. Łańcuch nie nadawał się do naprawy – mógł się przydać wyłącznie na części zamienne.

Darth Maul odetchnął, stanął swobodnie i kiwnął głową. Serce biło mu może o pięć uderzeń szybciej niż normalnie. Na czole pojawiła się cienka mgiełka potu; poza tym jego skóra pozostała sucha. Cała walka potrwiała może minutę. Maul zmarszczył lekko brwi. To nie był jego najlepszy wynik, w żadnym razie. Zresztą pokonanie robota to jedno, a Jedi to coś całkiem innego.

Musi być lepszy.

Podniósł świetlny miecz i zawiesił u pasa. Potem, z mięśniami rozgrzanymi potyczką, zabrał się do ćwiczenia technik walki.

Nie przeszedł jednak nawet kilku metrów, gdy znajome lśnienie powietrza kazało mu się zatrzymać. Zanim wizerunek zakapturzonej postaci nabrał ostrości, Maul przyklęknął na jedno kolano i skłonił głowę.

– Panie – powiedział. – Czego oczekujesz od swego sługi?

Lord Sithów spojrzał na swojego ucznia.

– Jestem zadowolony ze sposobu, w jaki wykonałeś zadanie dotyczące Czarnej Słońca. Organizacja pójdzie w rozsypkę na całe lata.

Maul skinął głową, przyjmując słowa uznania. Taka bezpośrednia pochwała była jedyną nagrodą za jego pracę, a i ona należała do rzadkości. Ale pochwała, nawet z ust Dartha Sidiousa, nie miała znaczenia. Nagrodą była sama możliwość służenia takiemu panu.

– Mam teraz dla ciebie nowe zadanie.

– Każde życzenie mojego pana zostanie niezwłocznie wykonane.

– Hath Monchar, jeden z czwórki Neimoidian, z którymi teraz

pracuję, nagle zniknął. Podejrzewam zdradę. Znajdź go. Upewnij się, czy nie rozmawiał z nikim o planowanej blokadzie. Jeśli tak, zabij go... i każdego, z kim rozmawiał.

Holograficzny obraz rozplynął się w powietrzu. Maul wstał, ruszył do drzwi. Kroczył pewnie i zdecydowanie. Każdy inny, nawet Jedi, mógłby zaprotestować, twierdząc, że ta misja jest niemożliwa do spełnienia. W końcu galaktyka jest naprawdę ogromna. Ale w przypadku Maula porażka nie wchodziła w grę. W ogóle nie brał jej pod uwagę.

ROZDZIAŁ

2

Coruscant.

Ta nazwa wywoływała identyczny obraz w umyśle każdego niemal cywilizowanego mieszkańca galaktyki. Coruscant – jasne centrum wszechświata, oczko w głowie wszystkich zamieszkanym światów, królewski klejnot systemów Jądra Galaktyki. Coruscant – siedziba rządu miriadów planet całej galaktyki. Coruscant – synonim kultury i oświaty, tygiel milionów odmiennych cywilizacji.

Coruscant.

Tylko z orbity można było w pełni docenić skalę zabudowy. Praktycznie cały ląd Coruscant – zajmujący niemal bez reszty powierzchnię planety, bo morza i oceany wysuszono lub skierowano do olbrzymich jaskiń pod powierzchnią lądu tysiące pokoleń temu – pokrywała wielopoziomowa metropolia wież, samowystarczalnych kompleksów mieszkaniowych zwanych monadami, zigguratów, pałaców, kopuł i minaretów. W ciągu dnia liczne krzyżujące się poziomy ruch powietrznego i tysiące statków wchodzących w atmosferę planety lub ją opuszczających niemal całkowicie przesłaniały panoramę bezkresnego miasta, w nocy jednak Coruscant objawiała w pełni swój splendor, zaćmiewając nawet olśniewające mgławice i gromady kuliste pobliskiego Jądra Galaktyki. Miasto oddawało do atmosfery tyle energii, że gdyby nie tysiące rozmieszczonych w strategicznych punktach stratosfery odzyskiwaczy dwutlenku węgla, już dawno temu zamieniłoby się w pozbawioną życia skalistą pustynię w wyniku zatrucia atmosfery.

Wzdłuż równika opasywał Coruscant krąg gigantycznych drapaczy chmur, sięgający niekiedy nawet w najwyższe warstwy atmosfery. Podobne, choć niższe budowle można było napotkać niemal wszędzie na planecie. To te rzadkie wyższe poziomy, przestronne i czyste, składały się na wizję galaktycznej stolicy w umysłach większości istot.

Ale każde piękno i olśniewające bogactwo, niezależnie od tego, jak dostojne, musi gdzieś mieć swoje korzenie. Wzdłuż równika, pod najniższymi poziomami ruchu powietrznego, pod oświetlonymi napowietrznymi chodnikami i lśniącymi fasadami rozciągało się inne Coruscant. Światło słoneczne nie docierało tam nigdy; wieczną noc rozświetlały tylko migające holograficzne neony, reklamujące wątpliwe atrakcje i szemrane interesy. Karaluchopajaki i pancerne szczury kryły się w cieniu, a jastrzębionietoperze o rozpiętości skrzydeł sięgającej półtora metra przesiadywały na krokwiach opuszczonych budowli. Tak wyglądało podbrzusze Coruscant, nieznane i nie widywane przez bogaczy, objęte w posiadanie przez jednostki zapomniane i wyrzucone poza nawias społeczeństwa.

Tu właśnie Lorn Pavan czuł się jak u siebie w domu.

Miejsce spotkania zasugerował Toydarianin – obskurny budynek na końcu ślepego zaułka. Lorn i jego robot I-5 musieli przestąpić nad Rodianinem śpiącym na stercie szmat pod mało zachęcającym wejściem.

– Często się zastanawiam – powiedział robot protokolarny, gdy weszli do wnętrza – czy twoja klientela nie korzysta przypadkiem z tej samej listy najbardziej zakazanych i odrażających miejsc, w których można by się spotkać.

Lorn nie odpowiedział. Sam się kiedyś nad tym zastanawiał.

Za drzwiami znajdowała się niewielka salka, zajęta głównie przez kasę biletową z żółtawej plastali. W kasie siedział łysawy mężczyzna, rozparty na zmiennokształtnym krześle. Spojrzał na nich bez zainteresowania.

– Kabina piąta jest wolna – mruknął, wskazując kciukiem na jedne z licznych drzwi w okrągłej ścianie sali. – Kredyt za pół godziny. –

Spojrzał na I-5, a potem powiedział do Lorna: – Jeśli zabierasz ze sobą robota, musisz się wpisać do książki.

– Przyszliśmy się spotkać z Zippą – powiedział Lorn.

Właściciel przyjrzał im się ponownie, poruszył się i nacisnął brudnym paluchem przycisk.

– Kabina dziewiąta – powiedział.

Holokabina była jeszcze mniejsza niż przedsionek, co oznaczało, że z trudem pomieściła czwórkę osób, które się w niej teraz tłoczyły. Lorn i I-5 stanęli za wąską kanapą stojącą na wprost płyty transmisyjnej. Zippa zawisł w powietrzu nad płytą, nie przestając szybko machać skrzydłami. Ich poszum był stale obecny w tle. Przyćmione światło nadawało jego niebieskawej, pokrytej plamami twarzy niezdrowy siny odcień.

Za Toydarianinem stał czwarty z obecnych – zwalisty typ, którego rasy Lorn nie mógł rozpoznać w półmroku panującym w kabinie. Denerwowało go, że Zippa nie przestaje machać skrzydłami. Kimkolwiek był towarzysz Toydarianina, cuchnął jak beczka z kiszonką w czasie pełni, a podmuch wywoływany ruchem skrzydeł Zippy nie pomagał znieść smrodu. Co prawda, Zippa sam musiał niespecjalnie przepadać za kąpielą, ale na szczęście zapach Toydarianina, słodko-korzenny nie był nieprzyjemny.

– Lorn Pavan – powiedział Zippa głosem nieco skrzeczącym jak przy zakłóceniach elektrostatycznych. – Cieszę się, że znów się spotykamy, przyjacielu. Dawno się nie wiedzieliśmy.

– Ja też się cieszę, Zippa – odpowiedział Lorn. Jeśli się nad tym chwilę zastanowić, to musiał przyznać temu staremu kanciarzowi, że nikt nie potrafił udawać szczerości tak dobrze jak on. Najlepszą rzeczą, jaką dałoby się powiedzieć o Zippie, to że nigdy nie wbiłby ci noża w plecy, jeśli nie byłoby to absolutnie konieczne.

Zippa zmienił kąt pracy skrzydeł; ustawił się nieco bokiem, żeby przywołać gestem ukrywającego się w cieniu olbrzyma.

– Poznajcie Bilka, mojego... współpracownika.

Bilk wystąpił do przodu; teraz Lorn widział go na tyle dobrze, aby rozpoznać, jakiej jest rasy. Gamorreanin. To tłumaczyło smród.

– Miło cię poznać, Bilk. – Wskazał ręką na I-5. – A to mój

współpracownik I-5 YQ. W skrócie: I-5.

– Miło mi – powiedział sucho I-5. – A teraz, jeśli panowie pozwolą, wyłączę moje czujniki węchowe, zanim ulegną przeciążeniu.

Zippa spojrział wyłupiastymi oczami na robota.

– Cha, cha! Robot z poczuciem humoru! To mi się podoba. Chcesz go sprzedać? – Toydarianin podfrunął do nich na większej wysokości, żeby lepiej ocenić wartość robota. – Niezły składak. Czy te przewody zasilające to Cybot G7? Od lat nie widziałem, żeby ich ktoś używał. Przypuszczam jednak, że mają pewną wartość jako ciekawostka. Dam ci za niego pięćdziesiąt kredytów.

Lorn kopnął robota w dolne lewe łącze serwowatora, zanim urażony I-5 zdołał zaprotestować.

– Dziękuję za ofertę, ale I-5 nie jest moją własnością. Jesteśmy współnikami.

Zippa przyglądał się Lornowi przez chwilę, zanim wybuchnął świszczącym śmiechem.

– Masz dziwaczne poczucie humoru, Lorn. Nigdy nie wiem, kiedy żartujesz. Ale mimo to cię lubię.

Bilk zmrużył podobne do paciorków oczy i ryknął z głębi gardła, pochylając się groźnie w stronę I-5. Najwyraźniej dopiero teraz zdał sobie sprawę, że uwaga wypowiedziana wcześniej przez robota była obraźliwa, domyślił się Lorn. Gamorreanńczycy nie należeli do najinteligentniejszych mieszkańców galaktyki, znajdowali się raczej w ogonie takiej klasyfikacji.

Zippa podfrunął i zawisł przed swoim ochroniarzem.

– Uspokój się, Bilk. – Odwrócił się z powrotem w stronę Lorna. – Przyjacielu, dziś jest twój szczęśliwy dzień. – Toydarianin zatopił grube paluchy w sakiewce i wyciągnął z niej kryształowy sześcian wielkości dłoni, który lśnił ciemną czerwienią w półmroku kabiny. – Mam tutaj autentyczny holocron Jedi, wiarygodnie datowany na pięć tysięcy lat wstecz. Ten sześcian zawiera tajemnice starożytnych rycerzy Jedi. – Trzymał kostką na poziomie oczu Lorna. – Musisz przyznać, że nie ma zbyt wysokiej ceny za artefakt tego rodzaju. Ja jednak żądam za niego tylko marne dwadzieścia tysięcy kredytów.

Lorn nawet nie próbował dotknąć przedmiotu trzymanego przez

pasera.

– Bardzo interesujące i cena na pewno uczciwa – powiedział. – Jeśli to rzeczywiście jest prawdziwy holocron.

Zippa wyglądał na obrażonego.

– Niff! Wątpisz w moje słowa?

Bilk warknął i uderzył kłykciami zaciśniętej pięści o wnętrze drugiej dłoni. Brzmiało to, jakby kruszył kości.

– Ależ nie, oczywiście, że nie! Jestem przekonany, że wierzysz w to, co powiedziałeś. Ale jest tylu pozbawionych skrupułów sprzedawców i można sobie wyobrazić, że zdołają omamić nawet twoje przenikliwe oko. Proszę tylko o mały dowód empiryczny.

Zippa wykrzywił ryj w uśmiechu, ukazując zęby z resztkami ostatniego posiłku.

– A jak, twoim zdaniem, mamy uzyskać ten dowód? Holocron Jedi może uaktywnić tylko ktoś, kto potrafi posługiwać się Mocą. Czy jest coś, o czym nie wiem, Lorn? Może jesteś zakamuflowanym Jedi?

Lorn poczuł nagły chłód. Rzucił się do przodu i chwycił Zippę za przód kamizelki z flikowej skóry. Szarpnął ku sobie zaskoczonego Toydarianina. Bilk ryknął i rzucił się w kierunku Lorna, ale stanął jak wryty, gdy cienki jak włos promień lasera osmalił mu czaszkę pomiędzy rogami.

– Siedź spokojnie – powiedział miło I-5, opuszczając palec wskazujący, z którego przed chwilą wystrzelił promień lasera – a nie będę musiał prezentować innych specjalnych modyfikacji, którym mnie poddano.

Ignorując zupełnie konfrontację robota z Gamorreaninem, Lorn odezwał się cicho do Zippy:

– Wiem, że to miał być żart, dlatego pozwalam ci dalej żyć. Ale nigdy, przenigdy nie mów do mnie więcej takich rzeczy. – Patrzył w wyłupiaste oczy Toydarianina jeszcze przez chwilę, a potem go puścił.

Zippa szybko zajął pozycję za Bilkiem, machając skrzydełkami wyjątkowo nerwowo. Lorn widział, jak przetyka zaskoczenie i niewątpliwy gniew, wygładzając fałdy kamizelki. Lorn przeklął w duchu; wiedział, że popełnił błąd, dając się ponieść wściekłości. Ta transakcja była mu bardzo potrzebna. Nie mógł zrobić sobie wroga z

tego toydariańskiego pasera. Ale zupełnie nie był przygotowany na uwagę Zippy.

– Wygląda na to, że trafiłem w czuły punkt – powiedział Zippa. Podczas scysji chwycił holocron; teraz chował go z powrotem do sakiewki przy pasie. – Nie wiedziałem, że zadałem się z tak... pełną temperamentu istotą. Może powinienem poszukać innego kupca.

– Może – odparł Lorn. – A może powinienem po prostu zabrać ci kostkę i zapłacić tyle, ile jest warta, czyli pewnie z pięć kawałków.

Zobaczył, że bulwiaste nozdrza Zippy zadrgały. Toydarianin nie mógł się oprzeć pokusie, żeby się potargować nawet z kimś, kto przed chwilą go zaatakował.

– Pięć tysięcy? Też coś! Najpierw na mnie napadasz, a potem mnie obrażasz! Dwadzieścia tysięcy to uczciwa cena. Jednak... – ciągnął, pocierając krótki, niemal nieistniejący podbródek – widzę wyraźnie, że musiałeś mieć jakieś przykre przejścia z rycerzami Jedi. Nie jestem niezdolny do współczucia. Ze względu na twoją dawną tragedię może dam się przekonać, żeby zbić cenę do osiemnastu tysięcy... ale ani decykredyta niżej.

– A ja przyznaję, że poczuwam się do pewnej skruchy z powodu mojego zachowania. W ramach przeprosin jestem skłonny podnieść moją ofertę do ośmiu tysięcy. To moje ostatnie słowo.

– Piętnaście tysięcy. Niech będzie moja krzywda.

– Dziesięć tysięcy.

– Dwanaście. – Unosząc się w powietrzu, Zippa odchylił się do tyłu i skrzyżował wrzecionowate ramiona w geście podkreślającym, że to ostateczna oferta.

– Zgoda – powiedział Lorn. Był gotów dać nawet piętnaście, ale oczywiście nie było powodu, aby informować o tym Zippę. Wyciągnął gruby plik republikańskich kredytów z kieszonki w pasie i zaczął je odliczać. Większość transakcji na wyższych poziomach miasta była realizowana za pomocą elektronicznych kart, ale na dole mało kto je stosował. Zippa wyjął holocron i podał Lornowi w tej samej chwili, gdy ten wręczył mu banknoty.

Lorn wziął od niego sześcian.

– No cóż – powiedział – miło było prowadzić z tobą... – nie

skończył zdania, bo zobaczył nagle blaster Bilka wycelowany w łącze ładowania I-5. Zippa, uśmiechając się tym razem bardzo nieprzyjemnie, podfrunął i wyrwał holocron oraz pozostałe kredyty z dłoni Lorna.

– Obawiam się, że w tym przypadku cała przyjemność po mojej stronie – powiedział Toydarianin, gdy Lorn i I-5 unieśli ręce do góry. Po chwili uśmiech zniknął, a kolejne słowa Zippa po prostu wysyczał. – Każdy, kto kiedykolwiek mi groził, już nigdy nikomu o tym nie powie. – Poruszył trójpalczystą dłonią nad płytką sensoryczną, a drzwi kabiny rozsunęły się szeroko. – Powiem właścicielowi, że w kabynie dziewiątej trzeba będzie trochę posprzątać – dodał wychodząc. – Pospiesz się, Bilk. Muszę znaleźć następnego kupca na to cacko.

Drzwi kabiny zasunęły się za Zippą. Trudno było powiedzieć, czy grymas świńskiego ryja Gamorreanina oznaczał uśmiech, ale Lorn był o tym przekonany.

– Galaktyka naprawdę schodzi na psy – powiedział do I-5. – Nie można już ufać nawet toydariańskiemu paserowi.

– To hańba – zgodził się robot. – Tak okropna, że chce mi się wyć...

Lorn miał już wcześniej ręce uniesione, a teraz szybko wepchnął oba palce wskazujące do uszu najgłębiej, jak mógł, nie czekając, aż z syntezatora głosu robota dobiegnie ogłuszający, przeraźliwy pisk. Nawet przy zatkanych uszach dźwięk sprawiał mu fizyczny ból. Bilk, wzięty z zaskoczenia, zareagował dokładnie tak, jak się tego spodziewali – zaryczał i odruchowo zatkał rękami uszy, wypuszczając z dłoni blaster.

I-5 zamilkł, chwycił broń, zanim zdążyła uderzyć o podłogę i już po ułamku sekundy celował z niej w Bilka. Gamorreanin albo tego nie zauważył, albo był zbyt rozwścieczony, żeby się tym przejmować. Z rykiem rzucił się na Lorna i robota.

Strumień cząsteczek przebił się przez opancerzoną pierś Bilka, przewiercił rozmaite organy wewnętrzne i wyszedł z tyłu między łopatkami. Wysoka temperatura promienia spowodowała, że rana natychmiast się zasklepiła, powstrzymując krwawienie – dla Bilka nie

miało to jednak większego znaczenia. Runął na ziemię jak wór mięsa, bo tym się właśnie w tej chwili stał.

Lorn machnął ręką nad płytką zamka i płyta drzwi rozsunęła się ponownie.

– Biegiem! Zanim Zippa zdąży uciec! – krzyknął do robota i ruszył korytarzem. Właściciel nawet na nich nie spojrzał, gdy przebiegali obok niego.

Obaj wypadli w półmrok zaułka. Lorn trzymał teraz blaster, który rzucił mu I-5. Ale po Zippie nie było śladu. Niewątpliwie usłyszał wycie robota, uzmysłowił sobie, jaki los czeka Bilka i nie szczędził skrzydeł, aby wynieść się jak najdalej stąd.

Lorn grzmotnął pięścią w zasmarowaną napisami ścianę.

– Świetnie! – jęknął. – Po prostu wspaniale! Przepadło i piętnaście kawałków, i kostka. A mam klienta, który był gotów zapłacić pięćdziesiąt tysięcy za autentyczny holocron!

– Może gdybyś był odrobinę bardziej opanowany, wtedy...

Lorn odwrócił się i spojrzał na robota, który dokończył:

– ...ale to chyba nie najlepsza chwila, żeby to omawiać.

Lorn wziął głęboki oddech i wypuścił go powoli. Zaczynało się szybko ściemniać.

– Lepiej wynośmy się z tego sektora, zanim dorwą nas Dzikusy. To by dopiero było ukoronowanie udanego dnia!

– Jak myślisz – odezwał się I-5, kiedy ruszyli – czy to był prawdziwy holocron Jedi?

– Nie miałem okazji, żeby go dokładnie obejrzeć. Ale sądząc po znakach klinowych, które na nim zobaczyłem, myślę, że to coś jeszcze rzadszego. Myślę, że to był holocron Sithów. – Lorn pokręcił głową z niesmakiem, wściekły na siebie za idiotyczne zachowanie. Wiedział, że I-5 miał rację; jego wybuch najprawdopodobniej zachęcił Toydarianina do zdrady. Miał wcześniej do czynienia z Toydarianami i nigdy żaden z nich nie wystrychnął go na dudka. Głupi, głupi, głupi!

Nie było jednak sensu dalej dręczyć się samooskarżeniami. Nie miał kredytów, a znajdowali się w tej części Coruscant, w której lepiej było mieć jakiś atut w zanadrzu. Musiał coś wymyślić, i to szybko, albo skończy nie lepiej od Bilka.

Nie była to specjalnie pocieszająca myśl.

ROZDZIAŁ

3

Darsha Assant stała przed Radą Jedi. To był jej moment chwały; o nim marzyła od pierwszej chwili, gdy rozpoczęła szkolenie jako padawanka. Przez niemal całe życie jej świat ograniczał się, i kręcił wokół Świątyni Jedi. Przez wszystkie te lata uczyła się, ćwiczyła posługiwanie się bronią i samoobronę, siedziała, bez końca medytując, a przede wszystkim – co było chyba zadaniem najtrudniejszym ze wszystkich – nauczyła się wyczuwać i do pewnego stopnia manipulować Mocą.

A teraz miał nadejść kulminacyjny moment jej szkolenia. Stała w najwyższej komnacie wieży zwanej Wieżą Rady, z której rozpościerał się niezmacony, zapierający dech w piersiach widok miasta, rozciągającego się we wszystkich kierunkach aż po horyzont. Dookoła okrągłego pomieszczenia zasiadało dwunastu członków Rady. Chociaż rzadko widywała ich podczas swojego szkolenia – dopiero czwarty raz znalazła się w komnacie Rady – doskonale znała ich imiona i dokonania. Adi Gallia, Plo Koon. Eeth Koth. Stareńki i szacowny Yoda. No i oczywiście Mace Windu, przewodniczący Rady. Darsha czuła, że kręci jej się w głowie w obecności tylu osobistości.

Przynajmniej nie była sama. Z tyłu i nieco z boku stał jej nauczyciel Anoon Bondara. Mistrz Bondara uosabiał wszystko to, czym Darsha miała nadzieję stać się w przyszłości. Twi'lekiński mistrz Jedi żył w Mocy. Zawsze spokojny i zadowolony, tajemniczy jak jezioro o nieznanym głębokości, był mimo to jednym z najlepszych wojowników w zakonie. Nikt nie potrafił mu dorównać w walce na

światłne miecze. Darsha miała nadzieję, że kiedyś zdoła się wykazać choćby jedną dziesiątą jego umiejętności.

Wstąpiła do zakonu w wieku dwóch lat i podobnie jak większość jej towarzyszy niewiele zachowała wspomnień o miejscach innych niż krużganki i komnaty świątyni. Mistrz Bondara zastępował jej ojca i szkolił ją, od kiedy sięgała pamięcią. Trudno jej było wyobrazić sobie życie, w którym nie byłoby mistrza.

Ale właśnie teraz miała postawić pierwszy krok na drodze ku takiemu życiu. Dziś otrzyma ostatnie zadanie, wieńczące szkolenie padawanki. Jeśli je wykona, zostanie uznana za godną przywdziania płaszcza rycerza Jedi.

Nadal trudno jej było w to uwierzyć. Osierocona w najwcześniejszym dzieciństwie, wychowywała się w państwowym przytułku na planecie Alderaan, gdzie znalazł ją mistrz Bondara podczas jednej ze swoich podróży. Już jako dziecko wykazywała sporą wrażliwość na Moc, jak jej powiedziano, została więc zabrana na Coruscant, aby przejść testy, które miały stwierdzić, czy nadaje się do dalszego szkolenia. Darsha wiedziała, że miała niesłychane szczęście. Jako sierota wychowywana przez państwo, mogła marzyć co najwyżej o jakiejś marnej urzędniczej posadzie. Stałaby się wówczas tylko jeszcze jedną z niezliczonej rzeszy referentów, niezbędnych do gładkiego funkcjonowania maszyny rządowej, gdyby nie napotkała na swojej drodze kogoś, kto rozpoznał jej potencjał.

A teraz tylko krok dzielił ją od stania się rycerzem Jedi! Członkinią starożytnego zakonu obrońców, stojących na straży wolności i sprawiedliwości w galaktyce! Nawet teraz, po tylu latach przygotowań, z trudem mogła uzmysłwić sobie, że to prawda.

– Padawanko Assant...

To Mace Windu do niej przemówił. Głos ciemnookiego mężczyzny, choć cichy i spokojny, wydawał się wypełniać swoją mocą komnatę. Darsha wzięła głęboki oddech i sięgnęła po Moc, żeby się uspokoić. Na pewno nie była to odpowiednia chwila, aby dać się ponieść nerwom.

Mistrz Jedi nie tracił czasu na kurtuazyjne ozdobniki.

– Udasz się samotnie do obszaru w sektorze Zi-Kree, znanego jako

Karmazynowy Korytarz, gdzie w miejscowym posterunku sił porządkowych przebywa były członek organizacji Czarne Słońce. Ma uzyskać ochronę rady w zamian za informacje na temat niedawnych zawirowań na najwyższych szczeblach tej przestępczej organizacji. Twoim zadaniem jest doprowadzenie go żywego do świątyni.

Darsha aż się paliła do zadania, ale wiedziała, że nie powinna okazać podniecenia. Skłoniła się lekko.

– Rozumiem, mistrzu Windu. Nie zawiodę. – Najwyraźniej nie do końca udało jej się zachować spokój ducha, bo kąciaki warg przewodniczącego uniosły się w powstrzymywanym uśmiechu. Niech i tak będzie, nadmiar entuzjazmu na pewno nie był zbrodnią. Mace Windu uniesioną dłonią dał znak, że rozmowa jest zakończona. Darsha odwróciła się i opuściła okrągłą komnatę, słysząc za sobą kroki Anoona Bondara.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią bezszelestnie, odwróciła się w stronę swojego nauczyciela, żeby zapytać, jak szybko będzie mogła podjąć swoją misję. Powstrzymała się jednak, gdy dostrzegła wyraz niepokoju w oczach mistrza Bondary.

– Mistrzu, o co chodzi? – Przez chwilę zdawało się jej, że w spojrzeniu Twi'lekianina widnieje też rozczarowanie; że przed radą powiedziała lub zrobiła coś, co przyniosło ujmę jej samej i jej nauczycielowi. Strach przeciął ją ostrzem zimnym jak śmiercionośna klinga świetlnego miecza. Ale już pierwsze słowa nauczyciela rozwiąły jej obawy.

– To bardzo... trudna misja – powiedział mistrz Bondara. – Jestem zaskoczony, że właśnie taką mistrz Windu wybrał na twój test.

– Wątpisz, czy dam radę ją wypełnić? – Myśl, że nauczyciel w nią nie wierzy, była jeszcze bardziej przykra niż możliwość, że nieświadomie skompromitowała się przed radą.

Mistrz Bondara zawahał się, ale wreszcie spojrzął jej prosto w oczy z uśmiechem.

– Zawsze uczyłem cię, żebyś była szczerą w swoich uczuciach – powiedział. – Są najlepszą ścieżką do poznania zarówno ciebie samej, jak i Mocy. Nie mogę więc sam być z tobą nieszczerzy. Częścią próby jest to, że musisz ruszyć w pojedynkę... a obawiam się, że ta misja

może okazać się zbyt trudnym i niebezpiecznym testem. W Karmazynowym Korytarzu roi się od gangów, przestępców, ulicznych drapieżników i innych niebezpieczeństw. Poza tym już parę razy próbowano zgładzić tego członka Czarnego Słońca. Ale... – lekko Twi'lekianina drgnęły w sposób, który Darsha nauczyła się interpretować jako poddanie się losowi – decyzja rady jest ostateczna i muszę się jej poddać. Zapewniam cię, że moje obawy w żadnym razie nie wynikają z opinii o twoich umiejętnościach; przypisz je raczej troskom i zgryzotom podeszłego wieku. Jestem pewien, że sprawisz się jak należy. A teraz chodź, musisz się dobrze przygotować do tej misji.

Darsha ruszyła za nauczycielem, który skierował się w stronę turbowindy. Słowa mistrza Bondary ostudziły nieco jej entuzjazm. A jeśli miał rację? Jeśli misja była zbyt ryzykowna? Słyszała wiele opowieści o niebezpieczeństwach niesławnego Karmazynowego Korytarza. A w dodatku po raz pierwszy będzie zdana tylko na siebie, pozbawiona pomocy mistrza Bondary czy choćby innych padawanów. Czy sobie poradzi?

Ściągnęła ramiona i wypięła pierś. Oczywiście, że tak! Była przecież Jedi – no, prawie. Stanie się Jedi, jeśli wypełni to zadanie. Mistrz Windu musiał widać uważać, że podoła tej misji, inaczej przydzieliliby ją komu innemu. Musiała pokładać zaufanie w żyjącej Mocy, jak często powtarzał drugi z jej nauczycieli, Qui-Gon Jinn. Zmierzy się z niebezpieczeństwem nie sama – Moc będzie jej sojusznikiem. Nie jest może niezwyciężona, ale na pewno ma przewagę, na którą nie każdy może liczyć. Dzięki Mocy mogła osiągnąć rzeczy, które większości ludzi wydawały się cudem – mogła podskoczyć na wysokość dwukrotnie wyższą niż jej wzrost; mogła spowolnić tempo upadku; mogła pchnąć różne obiekty telekinezą na dziesięć metrów, a nawet dalej. Mogła też spowić się esencją Mocy niczym płaszczem i po prostu zniknąć ludziom z oczu.

To jasne, że poziomem umiejętności nie dorównywała swojemu mistrzowi, na pewno jednak lepiej mogła sobie poradzić, posługując się Mocą niż bez niej – to nie ulegało wątpliwości. Nie zawiedzie. Wypełni swoją misję, a kiedy powróci do świątyni, tytuł rycerza Jedi

będzie już na nią czekał.

„Infiltrator” wyłonił się z nadprzestrzeni daleko wewnątrz granic systemu Coruscant i sunął z prędkością podświetlną ku planecie-stolicy. Darth Maul prowadził swój statek okryty płaszczem ochronnym, ale zamierzał zrzucić go w pobliżu celu – długotrwałe stosowanie płaszcza zużywało zbyt wiele mocy. Jego pan i mistrz podał mu już wcześniej współrzędne i kod wejścia, a własne wpływy pozwolą mu przeniknąć przez orbitalną siatkę ochrony i wylądować w dowolnym kosmoporcie planety. Mimo wszystko im mniej go było widać, tym lepiej. Nie mógł pozwolić, aby choćby jedna brew uniosła się na widok lądującego „Infiltratora”.

Dopiero niedawno dostał ten statek od Dartha Sidiousa i nie całkiem się jeszcze do niego przyzwyczaił. Statek jednak dobrze i łatwo poddawał się sterom. Podchodził do lądowania nad południowym biegunem planety. Nie martwił się, że ktoś go zauważy, chociaż Coruscant dysponowała najbardziej wyrafinowanymi i dalekosiężnymi systemami detekcji w całej galaktyce. „Infiltrator” mógł się poszczycić najnowocześniejszym płaszczem ochronnym ze stygium i urządzeniem do zacierania strumieni z dysz wylotowych, które potrafiły zmylić nawet ostrzegawczą siatkę Coruscant.

Wybrał miejsce do lądowania na dachu opuszczonej monady w dzielnicy, która czekała na wyburzenie i przebudowę. Pozostawił włączony aktywator płaszcza ochronnego i wyjechał ze statku po rampie na motorze pościgowym. Był to model pozbawiony wszelkiego dodatkowego wyposażenia, a jednak wyjątkowo szybki i zwrotny. Maul wjechał nim w pejzaż miasta.

Lord Sidious zdołał ustalić, że Hath Monchar miał na Coruscant apartament w eleganckiej części miasta, w pobliżu Gór Maranai. Maul nie znał dokładnego adresu, ale nie miało to większego znaczenia. Znajdzie zaginionego Neimoidianina, nawet jeśli będzie musiał przetrząsnąć całe pokrywające planetę miasto.

Nie umiał nawet wyobrazić sobie czasów, gdy nie był na służbie u Dartha Sidiousa. Wiedział, że pochodził z planety o nazwie Irydonia,

ale ta wiedza była niczym więcej niż świadomością faktu, że atomy składające się na jego ciało zrodziły się we wnętrzach przedwiecznych galaktycznych pieców, w których wykuwały się gwiazdy. Ot, po prostu odległy fakt naukowy – nic ponadto. W najmniejszym stopniu nie dbał o to, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o swojej przeszłości i rodzinnym świecie. Dla niego życie zaczęło się z chwilą, gdy pojawił się w nim Darth Sidious. A gdyby jego pan rozkazał mu to życie zakończyć, poddał by się jego wyrokowi bez sprzeciwu.

Nic takiego nie mogło jednak nastąpić, dopóki służył Lordowi Sidiousowi, dając z siebie wszystko. I będzie tak służył dalej. Nie potrafił choćby wyobrazić sobie sytuacji, która powstrzymałaby go przed wypełnieniem powinności.

Gdzieś z tyłu Maul usłyszał wycie syreny. Spojrzał przez ramię i zobaczył, że ściga go robot policyjny na motorze podobnym do jego pojazdu. Nie zdziwił go ten widok; wiedział, że poruszając się z taką prędkością i takim kursem, łamał co najmniej kilka przepisów o ruchu powietrznym. Ale wiedział też, że robot go nie doścignie.

Maksymalnie zwiększył prędkość i zaczął lawirować w ferrobetonowym labiryncie pomiędzy dwoma poziomami ruchu powietrznego. Jego motor nie miał generatora płaszcza, ale ten fakt się nie liczył; szybkość i panowanie nad pojazdem wystarczyły z pewnością, żeby pozostawić robota z tyłu. Wiedział, że robot przekaże wiadomość dalej, wzywając posiłki, aby otoczyły i zatrzymały Maula.

Nie mógł pozwolić, żeby ten plan się powiódł.

W strumieniu pojazdów pod sobą zauważył lukę. Zmienił kąt lotu i zanurkował, schodząc o parę pięter w dół, dopóki nie znalazł się w warstwie mgły unoszącej się do wysokości może trzydziestu metrów nad gruntem. Nadal mogli go, oczywiście, namierzyć, ale wiedział, że jeśli nie zagraża niczyjemu życiu poza własnym, nie stanie się dla nich celem priorytetowym. Zresztą był już prawie na miejscu. Dotarł bez dalszych przeszkód i zaparkował pojazd na jednym z parkingów, opłacając z góry stawkę do końca dnia. Potem wszedł na ruchomy chodnik, który zawiózł go pod jedną z licznych placówek Urzędu Celnego Coruscant.

Kilkakrotnie zauważył, że przechodnie się za nim oglądają; jego

wygląd przyciągał uwagę nawet w tak kosmopolitycznym miejscu jak Coruscant. Musiał zdobyć się na spory wysiłek, żeby nie ukryć się przed nimi, używając Mocy. Na obecnym etapie nie miało znaczenia, kto go zobaczy. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wypełnienie misji zajmie mu niecałą dobę; po upływie tego czasu zniknie z Coruscant.

Jedno pracowało na jego korzyść – choć różnorodność obcych ras i gatunków, które można było spotkać na Coruscant, przewyższała wszystkie inne światy, Neimoidian widywało się tu dość rzadko ze względu na niedawne napięcia w stosunkach pomiędzy Republiką a Federacją Handlową. Maul wszedł do imponującego rozmachem budynku Urzędu Celnego i szybko skierował się w stronę terminalu banku danych. Korzystając z hasła, które podał mu Lord Sidious, uruchomił wyszukiwanie w zasobach HoloNetu niedawno przybyłych na planetę Neimoidian. Niebawem zobaczył wyświetlony wizerunek identyczny ze zdjęciem Hatha Monchara, które dostał od swojego pana. Nazwisko było inne, ale w końcu nic dziwnego.

Maul kontynuował wyszukiwanie; próbował namierzyć Monchara, śledząc miejsca, w którym używał swojej karty płatniczej. Bez rezultatu. To też go nie zdziwiło – Neimoidianin był zbyt sprytny, żeby dać się przyłapać w ten sposób. Na pewno na Coruscant płacił wyłącznie gotówką.

Za Maulem ustawiała się kolejka innych istot, chcących skorzystać z terminalu, który zajął na tak długo. Słyszał pochrzakiwania obywateli i turystów, coraz bardziej zniecierpliwionych. Nie przejął się tym. Włamał się do systemu planetarnej policji monitorującej kosmoporty i przyległe do nich tereny; otrzymał mozaikę nagrań wykonanych przez stacjonarne i ruchome holokamery z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Wprowadził polecenie przeszukania plików pod kątem obecności Neimoidian.

Znalazł kilka zdjęć, z których jedno wydawało się obiecujące. Niewiele było na nim widać – zamazany wizerunek Neimoidianina wchodzącego do pobliskiej tawerny kilka godzin temu – ale na początek lepsze to niż nic.

Maul uśmiechnął się lekko. Dotknął rękojeści miecza świetlnego

przymocowanego do pasa. Zanotował adres tawerny, odwrócił się i wyszedł z budynku.

ROZDZIAŁ

4

Nute Gunray z irytacją odepchnął talerz. Jego ulubione danie – lekko spleśniałe czarne grzyby marynowane w alkaloidalnej wydzielinie żuków gnojnych, idealnie dojrzałe, z zarodnikami gotowymi pęknąć w każdej chwili. W normalnych okolicznościach jego kubeczki węchowe i smakowe drżałyby ekstatycznie, oczekując takiej uczty. Dziś jednak nie miał apetytu; właściwie nie mógł nawet spojrzeć na jedzenie od ostatniego pojawienia się Lorda Sidiousa na mostku, kiedy ten zauważył brak Hatha Monchara.

– Zabierz to – rozkazał robotowi służącemu, który z szacunkiem krążył w pobliżu. Talerz został zabrany, a Gunray wstał od stołu. Podszedł do jednego z transpastalowych iluminatorów i wpatrzył się ponuro w nieskończone miliardy gwiazd.

Nadal nie było wieści od Monchara; żadnych wskazówek co do tego, gdzie mógł się udać. Gdyby wicekról miał snuć domysły – a tylko to mu pozostało – powiedziałyby, że jego minister postanowił się usamodzielić. Istniało wiele sposobów, żeby wiadomość o planowanej w tajemnicy blokadzie zamienić na gotówkę – dość gotówki, aby móc kupić za nią zupełnie nowe życie na zupełnie nowym świecie. Gunray był niemal pewny, że taki właśnie plan miał Monchar, głównie dlatego, że jemu samemu nieraz chodziły po głowie podobne myśli.

W żadnej mierze nie umniejszało to jego problemów. Chyba, że zdołają sprowadzić Monchara na pokład „Saak'aka”, zanim Sidious znów się z nimi skontaktuje...

Usłyszał cichy dzwonek dobiegający z panelu dostępu do jego apartamentów.

– Wejść – powiedział.

Panel rozsunął się i do pokoju wkroczył Rune Haako. Rozjemca sił Federacji Handlowej przeszedł przez pokój, usiadł i pieczołowicie ułożył fałdy swej fioletowej szaly, nie patrząc na Gunraya.

– Nie było żadnych wiadomości od Hatha Monchara, jak sądzę?

– Nie.

Haako pokiwał głową. Chwilę bawił się kołnierzem, potem poprawił bufiaste rękawy. Gunray poczuł ukłucie gniewu. Czytał w Haako jak w otwartej księdze; wiedział, że prawnik chce coś zaproponować w związku z zaistniałą sytuacją, a pokrętne sztuczki miały spowodować, żeby Gunray przyjął pozycję obronną. Protokół wymagał nieokazywania tych uczuć; w przeciwnym razie przyznałby, że Haako jest górą.

W końcu Haako spojrział wprost na wicekróla.

– Niewykluczone, że mam pomysł, co powinniśmy zrobić.

Gunray zrobił niedbały gest, który miał oznaczać uprzejme zainteresowanie, ale nic ponadto.

– Ależ słucham.

– W służbie Federacji Handlowej miałem okazję kontaktować się z pewnymi osobami o szczególnych uzdolnieniach i umiejętnościach. – Haako poprawił rąbek szaty. – Mam na myśli przede wszystkim pewną samicę rasy ludzkiej, Mahwi Lihnn. Osoba ta za ustalone wynagrodzenie może odszukać i sprowadzić osoby, które sprzeniewierzyły się swoim obowiązkom lub popełniły przestępstwo.

– Mówisz o łowcy nagród – powiedział Gunray. Zauważył, że Haako wzdrygnął się z pogardą i za późno zdał sobie sprawę, że przyznając się do znajomości terminu określającego istoty o tak odrażających umiejętnościach, stracił twarz wobec swego podwładnego. Nie dbał o to jednak; był zbyt podekscytowany możliwościami, jakie otwierała sugestia adwokata. – Moglibyśmy wynająć tę Mahwi Lihnn, żeby wytropiła Monchara i doprowadziła go tu, zanim Sidious znów zechce się z nami spotkać.

– Właśnie.

Gunray wychwycił w głosie Haako cień pogardy. Poprawił kołnierz, zwlekając z odpowiedzią. Uspokoił się nieco po pierwszej chwili podniecenia wywołanego odkryciem potencjalnego rozwiązania i postanowił dać Haako nauczkę, że lepiej nie igrać z dowodzącym wicekrólem Federacji.

– A więc ty... znasz to indywiduum? – zapytał, wkładając w ton i w wyraz twarzy tyle lekceważenia, na ile zasługiwało przyznanie się osoby o pozycji Haako do kontaktów towarzyskich z osobą z samych dołów drabiny społecznej.

Pogarda znikła z twarzy Haako w jednej chwili. Skubał nerwowo palcami lamówkę rękawa.

– Jak powiedziałem, poznałem ją w trakcie pełnienia obowiązków radcy prawnego i attache dyplomatycznego Federacji...

– Oczywiście. – Gunray zawarł w tym słowie jednocześnie politowanie i nutę wyższości. – Federacja Handlowa jest ci niewypowiedzianie wdzięczna, że dla jej dobra gotów byłeś spoufalać się z tak... barwnymi postaciami w nadziei, że ich umiejętności okażą się kiedyś przydatne. – Zobaczył z przyjemnością, że Haako wykrzywia wargi, jakby nagryzł zgniłą trufkę, i ciągnął: – Niewątpliwie trudne czasy wymagają trudnych posunięć. Z prawdziwą przykrością przychodzi mi prosić o coś takiego osobę o twojej pozycji, ale chciałbym, żebyś spróbował nawiązać kontakt z tą Mahwi Lihnn w celu zadowolającego rozwiązania problemu Monchara.

Rune Haako wybąknął coś na znak potwierdzenia i wyszedł. Kiedy drzwi się za nim zamknęły. Nute Gunray pokiwał głową z zadowoleniem. Nieźle, całkiem nieźle. Za jednym zamachem znalazł potencjalne rozwiązanie problemu zniknięcia Monchara i utarł nosa temu zarozumiałcowi Haako. Z przyjemnością słuchał burczenia w worku brzuszonym, oznajmiającego, że wrócił mu apetyt. Chyba powinien jeszcze raz zasiąść do kolacji.

– Żeby tylko ten Hutt wiedział... – powiedział Lorn. – Był gotów zapłacić kupę forsy za prawdziwy holocron Jedi. Zapłaciłby dwa razy

tyle za holocron Sithów. – Wzrok zmętniał mu nad szklanką z resztkami zielonawoniebieskiej johriańskiej whisky na dnie. – Pięćdziesiąt tysięcy kredytów, tyle była warta ta kostka. A teraz straciliśmy i kostkę, i piętnaście kawałków. Wszystko, co miałem.

– Rzeczywiście stawia nas to w dość nieciekawej sytuacji finansowej – zgodził się I-5.

Siedzieli obaj przy barze na tyłach tawerny Pod Zieloną Błyskotką, niedaleko niesławnego Karmazynowego Korytarza. Bywali tu regularnie, a obecność robota nie wywoływała już większego zamieszania mimo tabliczki przy wejściu, głoszącej ROBOTOM WSTĘP WZBRONIONY we wspólnym i paru innych językach.

– To wsz-szystko moja wina – wymamrotał Lorn, zwracając się raczej do zaplamionego kontuaru niż do robota. – Nerwy mi puściły... – wbił w I-5 zamglony wzrok. – Nie wiem, dlaczego nadal jesteś moim partnerem.

– Ach, więc zaczynamy już rozczulać się nad sobą? Długo to potrwa? Chyba przejdę w cyberstazę, dopóki nie skończysz.

Lorn chrząknął i dał barmanowi znak, żeby ponownie napełnił szklankę.

– Potrafisz być prawdziwym s-sukinsynem, wiesz? – powiedział do robota.

– Zastanówmy się chwilą... według moich banków danych, etymologiczne znaczenie słowa „sukinsyn” to „syn suki”. Używa się jednak również tego słowa w znaczeniu „drań, łajdak”. Nie, chyba się nie kwalifikują. – Kiedy barman podszedł do nich, żeby dolać Lornowi trunku, I-5 zakrył ręką jego szklankę. – Mój przyjaciel zniszczył już sobie na dziś dość neuronów tą mieszanką najrozmaitszych hydroksyli. Zresztą i tak nie miał tych komórek zbyt wiele.

Barman – Bothanin – popatrzył na Lorna i wzruszył ramionami. Siedzący nieopodal Duros w kombinezonie pilota międzygwiazdowego spojrział na nich, jakby dopiero w tej chwili dotarła do niego obecność robota.

– Pozwalasz, żeby twój robot decydował, ile masz wypić? – zapytał Lorna z niedowierzaniem.

– To nie mój robot – wymamrotał Lorn. – Jesteśmy partnerami.

Wspólnikami w interesach. – Zdobył się na wysiłek wypowiedzenia tych słów wyraźnie i dobitnie.

Duros poruszył membranami nadocznymi z niedowierzaniem i zaskoczeniem.

– Chcesz powiedzieć, że ten robot ma status obywatela?

– On nic nie chce powiedzieć – wyjaśnił I-5, odwracając się w stronę Durosa. – Przede wszystkim dlatego, że jest zbyt pijany, aby ustać na nogach. Ja natomiast mówię ci, żebyś się nie wtrącał w nie swoje sprawy. Mój status społeczny w galaktyce nie powinien cię obchodzić.

Duros rozejrzał się dookoła, zobaczył, że reszta klientów wyraźnie stara się ich nie zauważać, wzruszył ramionami i zajął się własnym kieliszkiem. I-5 ściągnął Lorna z barowego stołka i nakierował w stronę drzwi. Lorn ruszył przez salę zakosami, ale w pewnym momencie odwrócił się i spojrzął na klientów tawerny.

– Byłem kiedyś kimś – oznajmił im, chociaż większość nawet nie uniosła głów znad stolików. – Pracowałem na górnych poziomach. Miałem apartament. Widziałem góry. Przekłęci Jedi, to oni mi to zrobili. – Odwrócił się i wyszedł, a I-5 ruszył za nim.

Na zewnątrz było chłodno i Lorn poczuł, że zaczyna trzeźwieć. Słońce już zaszło; zaczynał się długi wieczór strefy równikowej.

– Ale im wygarnąłem, co?

– O tak! Byli poruszeni do głębi. Jestem pewien, że nie mogą się doczekać, kiedy znowu to zrobisz. A na razie może byśmy poszli do domu, zanim któryś z barwnych mieszkańców tej okolicy postanowi sprawdzić, jak szybko pali się przesączone alkoholem ludzkie ciało.

– Świetny pomysł – zgodził się Lorn i ruszył przed siebie, wsparty na ramieniu I-5.

Minęli ulicznych handlarzy oferujących pirackie holonagrania, błyszczącym i parę innych nielegalnych towarów. Obok nich żebracy w postrzępionych łachmanach wyciągali ręce po jałmużnę. Lorn i I-5 skęcili do najbliższego wejścia do podziemi i zaczęli schodzić po od dawna nieczynnych ruchomych schodach, które doprowadziły ich do krętego korytarza. Na powierzchni było ciepło; tu, na dole, panował upał jak w saunie. Wonie niemytych ciał najrozmaitszych ras

przesycały powietrze, zmieszane z niemal halucynogennym zapachem grzybów porastających ściany. Dlaczego nie wszyscy mogą pachnieć jak Toydarianie? – zastanawiał się Lorn.

Skęcili w wąski korytarz, którego ściany i sufit pokrywała plątanina rur, obwodów i kabli. Migające paski luminescencyjne rozmieszczone w nieregularnych odstępach słabo oświetlały korytarz. Granitożerne ślimaki pełzały po podłodze, zmuszając Lorno, żeby zwracał uwagę, gdzie stąpa – niełatwe zadanie w jego obecnym stanie. W końcu dotarli do trzecich z serii zdezelowanych drzwi, które otworzyły się po kilku nieudanych próbach z kartokluczem.

Pozbawiony okien pokój, wycięty w masywnych ferrobetonowych fundamentach miasta, był zaprojektowany dla jednej osoby, ale ponieważ współlokatorem Lorna był robot, nie odczuwali specjalnie ciasnoty. Były tam dwa krzesła, rozkładana leżanka, maleńka łazienka i kuchnia, w której z trudem mieściła się nanofalówka i konserwator żywności. Pomieszczenie było nieskazitelnie czyste – kolejna zaleta mieszkania z robotem.

Lorn wszedł na leżankę i spojrzał na podłogę.

- Oto wszystko, co powinieneś wiedzieć o Jedi – oznajmił.
- O nie, proszę, tylko nie to!
- To banda samolubnych, świętoszkowatych antydemokratów.
- Mam nagraną tą twoją litanię. Mogę ci to puścić na holo, w przyspieszonym tempie; oszczędzimy w ten sposób trochę czasu.
- Strażnicy galaktyki, dobre sobie! Jedyne, czego chcą strzec ta ich własny sposób życia.

– Gdybym był tobą... chociaż nawet hipotetyczne rozważanie takiej możliwości grozi przeciążeniem moich obwodów logicznych... przestałbym zatruwać sobie życie obsesyjnym rozpamiętywaniem krzywd wyrządzonych ci przez Jedi, a zacząłbym się zastanawiać, co włożysz jutro do garnka. Ja nie muszę się odżywiać, ale ty tak. Potrzebny ci jakiś chodliwy towar, i to szybko.

Lorn spojrzał na robota.

- Nie powinienem był nigdy odłączać twojego tłumika kreatywności – westchnął. Pomyślał chwilę i dodał: – Ale masz rację. Nie ma sensu rozmyślać nad przeszłością. Musimy patrzeć w

przyszłość. Potrzebujemy planu, i to zaraz. – Z tymi słowami runął na leżankę, i zaczął głośno chrapać.

I-5 spojrział na śpiącego towarzysza.

– Przypadkowe owoce ewolucji nie powinny były nigdy zostać obdarzone inteligencją – powiedział do siebie.

ROZDZIAŁ

5

Darth Sidious też myślał o Jedi.

Ich chwała w galaktyce przygasła, bez wątpienia. Od ponad tysiąca pokoleń byli samozwańczymi rzecznikami powszechnego dobra, ale ta sytuacja miała się wkrótce zmienić. A ci żałośni głupcy, oślepieni własną hipokryzją, nie umieli dostrzec tej prawdy.

Było rzeczą ze wszech miar słuszną, aby tak się stało, tak jak równie słuszne było, żeby narzędziem ich upadku okazał się Sith.

Tych kilku skrupulatnych uczonych, którzy w ogóle kiedykolwiek zetknęli się z tym określeniem, myślało o Sithach jako o „Ciemnej Stronie” rycerzy Jedi. Była to oczywiście zbyt uproszczona ocena. Prawdą było, że z radością przyjęli nauki grupy zbuntowanych Jedi tysiące lat temu, ale też rozszerzyli tę wiedzę i filozofię daleko poza granice wąskiej dydaktyki, od której zaczęli. Łatwo i wygodnie było wyróżniać w koncepcji Mocy jej Ciemną i Jasną stronę; nawet Sidious wykorzystywał ten pojęciowy dualizm, szkoląc swojego ucznia. Ale w rzeczywistości Moc była jednością. Stała ponad nieistotnymi rozróżnieniami na pozytyw i negatyw, czerń i biel, dobro i zło. Jedyną godną uwagi różnicą było to, że Jedi postrzegali Moc jako cel sam w sobie, podczas gdy Sith wiedział, że jest ona jedynie środkiem do celu.

A celem była Władza.

Mimo całej swojej pozornej pokory i odrzucania władzy jako takiej, Jedi dążyli do jej posiadania tak samo jak każdy. Sidious wiedział, że to prawda. Twierdzili, że służą ludzkości, ale przez całe

stulecia coraz bardziej odsuwali się od obywateli, którym rzekomo mieli służyć. Przemierzali teraz zaciszne korytarze i komnaty Świątyni, głosząc swoją pustą ideologią, a jednocześnie pycha pociągała ich do zakulisowych machinacji, mających na celu skupienie władzy i wpływów w rękach Jedi.

Jako połowa istniejącego zakonu Sithów, Darth Sidious również dążył do władzy. Prawdą było, że równie zakulisowa wzmacniał swoje wpływy, ale też robił to z konieczności, a nie z braku lepszych zajęć. Po Wielkiej Wojnie Sithów zakon został zdziesiątkowany. Jedyne z Sithów, który ocalał, odtworzył zakon według nowej doktryny – jeden mistrz i jeden uczeń. Tak to było i tak miało być aż do dnia chwały, który będzie świadkiem upadku Jedi i zwycięstwa ich odwiecznych wrogów, Sithów.

Dzień ten zbliżał się coraz bardziej. Po całych wiekach planowania i spisków był dosłownie o krok. Sidious był pewien, że nastąpi za jego życia. Tego dnia, w nie tak bardzo odległej przyszłości, stanie triumfująco nad ciałem ostatniego Jedi, zobaczy ich Świątynię obrócona w perzynę, zajmie należne mu miejsce władcy całej galaktyki.

Dlatego właśnie nie mógł sobie w tej chwili pozwolić nawet na najmniejsze niepowodzenie, choćby zupełnie błahe. Możliwe, że nieobecność Hatha Monchara nie miała nic wspólnego z planowaną blokadą planety Naboo przez Federację Handlową. Całkiem możliwe. Ale dopóki istniał choćby cień wątpliwości, Neimoidianina należało odnaleźć i zlikwidować.

Darth Sidious spojrział na zegar ścienny. Minęło niewiele ponad czternaście godzin od momentu, gdy przydzielił Maulowi zadanie. Spodziewał się, że wkrótce jego uczeń zamelduje mu o postępach. Stawka była wysoka, bardzo wysoka, ale był przekonany, że Maul wykona zadanie ze swoją zwykłą bezwzględną skutecznością. Wszystko potoczy się tak, jak zaplanował, i Sithowie znów podniosą głowy.

Wkrótce. Już niedługo.

Karmazynowy Korytarz znajdował się w trzecim kwadrancie sektora Zi-Kree. Był to jeden z najstarszych rejonów planetarnej metropolii, zabudowany bardzo dawno temu wieżowcami i budynkami. Budynki sięgały tak wysoko i tłoczyły się tak gęsto, że do niektórych części Korytarza światło słoneczne zaglądało zaledwie parę minut w ciągu dnia. Darsha przypomniła sobie legendarne opowieści o zdegenerowanych szczepach podludzi, które ewoluowały tam w niemal kompletnych ciemnościach tak długo, że stały się genetycznie ślepe.

Ale ciemność była najmniej poważnym z niebezpieczeństw Karmazynowego Korytarza. Znacznie groźniejsze były stworzenia ludzkie i nieludzkie, które żyły w tej ciemności, polując na niespodziewających się niebezpieczeństwa przechodniów.

Darsha prowadziła swojego skoczka w dół poprzez gęste miazmaty mgły, spowijającej niczym brudny koc najniższe poziomy miasta. Zastanawiała się, dlaczego ktoś miałby wybrać podobną okolicę na kryjówkę cennego informatora. Odpowiedź nasunęła się sama – to pewnie ostatnie miejsce, w którym komukolwiek przyjdzie do głowy go szukać.

Posterunek – ogrodzony blok z Ferrobetonu i plastali – stał przy ulicy za wąskiej, żeby tam posadzić skoczka. Wylądowała więc na najbliższym skrzyżowaniu, wyszła i zaprogramowała autopilota, aby uniósł pojazd na dwadzieścia metrów w górę i tam czekał. Zwiększało to prawdopodobieństwo, że skoczek będzie na miejscu, gdy do niego wróci.

Tu i ówdzie na budynkach wisiały pręty jarzeniowe ukryte w ochronnych koszykach z grubego drutu, ale po kilku stuleciach pracy świeciły tak słabo, że tylko w niewielkim stopniu rozjaśniały mrok ulicy. Gdy tylko Darsha wyszła z pojazdu, otoczył ją rój żebraków domagających się jedzenia i pieniędzy. W pierwszej chwili spróbowała dobrze znanej techniki Jedi, chcąc odwrócić ich uwagę, ale było ich zbyt wielu, a ich mózgi zbyt wyniszczył niedostatek i najróżniejsze używki chemiczne, żeby poddały się sugestii. Zacisnęła zęby i zaczęła się przepychać przez las brudnych rąk, czulek, macek i innych wyrostków.

Wstręt walczył w niej o lepsze ze współczuciem. Mieszane uczucia opanowały ją z przemożną siłą. Odkąd pamiętała, jej życie upływało w przyjaznej i bezpiecznej Świątyni Jedi; chroniono ją przed bezpośrednimi kontaktami z wyrzutkami społeczeństwa – cóż za ironia, skoro Jedi mieli być obrońcami wszystkich przedstawicieli cywilizacji niezależnie od ich miejsca w hierarchii społecznej, nawet tych, których wyższe klasy uważały za niedotykalnych. To prawda, że jej szkolenie obejmowało wizyty w różnych, nie zawsze bezpiecznych częściach miasta, ale nigdzie nie napotkała nic, co choć w przybliżeniu przypominałoby Karmazynowy Korytarz. Przeraziło ją, że taka bieda i zaniedbanie mogą istnieć gdziekolwiek w galaktyce, a co dopiero na Coruscant.

Dotarła do wnęki, w której mieściło się wejście do komisariatu i zapukała we wzmocnione drzwi. Otworzyła się w nich wąska szczelina, z której wysunęła się kamera strażnicza.

– Nazwisko i sprawa? – zapytał zgrzytliwy głos.

– Darsha Assant, w sprawie zleczonej przez Radę Jedi.

Wychudzony Kubaz spróbował ściągnąć jej świetlny miecz z paska z podręcznymi narzędziami. Złapała go za rękę i wygięła kciuk do tyłu. Zapiszczał i uciekł, ale jego miejsce natychmiast zajęli inni. Chyba tylko dlatego nie zaciągnięto jej w głąb ulicy, że korkował ją tłum żebraków.

Kamera strażnicza szybko omiotła jej twarz laserowym skanem.

– Tożsamość potwierdzona. Proszę wstrzymać oddech.

Zrobiła, co jej polecono, a wówczas z otworów ukrytych we framudze drzwi na Darszę i stłoczonych przy niej żebraków trysnęła różowa mgła. Przy wtórze pełnych oburzenia okrzyków, pisków, jęków i innych oznak protestu tłum cofnął się o krok, żeby uniknąć substancji drażniących rozpylonych w powietrzu. Drzwi otworzyły się szybko, a zza nich wysunęło się metalowe ramię, które wciągnęło Darszę do środka.

Znalazła się w wąskim korytarzu, niemal równie mrocznym jak ulica. Robot strażniczy, który ją tu wciągnął, teraz prowadził ją w dół korytarza; za zakrętem natrafili na mały, pozbawiony okien pokój. Nie było tam wiele jaśniej; Darsha ledwie mogła rozróżnić zgarbioną

postać siedzącą na krześle. Łysy humanoid wyglądał na Fondorianina.

– To jest Jedi, który zaprowadzi cię w bezpieczne miejsce, Oolth – powiedział robot.

Choć wiedziała, że to głupie, Darsha poczuła dumę, że ktoś określił ją jako Jedi, nawet jeśli był to tylko robot.

– Najwyższy czas – powiedział Fondorianin i wstał pośpiesznie z krzesła. – Chodźmy stąd, zanim się zrobi ciemno. Zresztą tu nigdy nie było specjalnie jasno. – Ruszył w kierunku wyjścia z pokoju, ale zatrzymał się i spojrzał na Darshę. – No chodź! – ponaglił ją zrzędlawie. – Na co czekasz?

– Zastanawiam się, jak najlepiej dotrzeć do mojego skoczka. Niespecjalnie przemawia do mnie pomysł przeciskania się znów przez tłum tych nieszczęśników.

– To my będziemy „nieszczęśnikami”, jeśli się nie pośpieszymy. Jesteśmy na terytorium Dzikusów. Przy nich ta hołota na zewnątrz wygląda jak Senat Republiki. Chodźmy!

Darsha ruszyła w stronę korytarza. Oolth puścił ją przodem.

– To ja tu wymagam ochrony. Ty pierwsza.

Darsha nie wiedziała, dlaczego Fondorianin Oolth był tak potrzebny Radzie, ale zyskała pewność, że nie z powodu odwagi. Przepchnęła się obok niego i skierowała w kierunku drzwi wejściowych.

W kamerze przymocowanej do framugi widać było kilku uliczników nadal kręcących się po okolicy. Większość z nich jednak zniknęła, pewnie poszła nagabywać kogoś innego. Jeśli Darsha i Oolth się pośpieszą, istniała szansa, że dotrą bez większych kłopotów do skrzyżowania, gdzie czekał na nich skoczek.

– W porządku – powiedziała Darsha. Wzięła głęboki oddech i sięgnęła do Mocy, aby się uspokoić. Była padawaną Jedi i miała zadanie do wykonania. Nie ma na co czekać. – Wychodzimy.

Płyta drzwi rozsunęła się. Darsha wysondowała okolicę Mocą, nie wyczuwając nikogo, kto mógłby im zagrażać. Podniesiona tym na duchu wyszła z Oolthem na ulicę. Uliczne włóczęgi wyszły nagle z cienia i zmaterializowały się wokół nich. Oolth zaczął ich odpędzać.

– Precz! Precz ode mnie! Brudasy!

– Po prostu idź do przodu – poleciła mu Darsha. Odmówiła robotowi, który zaofiarował im eskortę, bo nie chciała przyciągać uwagi bardziej niż było to absolutnie konieczne. Gdyby musiała, włączyłaby świetlny miecz; nie miała wątpliwości, że na sam widok jego ostrza tłum rozpiechłby się na wszystkie strony. Miała jednak nadzieję, że taka demonstracja nie będzie konieczna. Byli już niemal na skrzyżowaniu.

Nagle poczuła, że serce, i tak już walące w piersi jak młot pod wpływem napięcia, podchodzi jej do gardła.

Skoczek był nadal tam, gdzie go zaparkowała, na wysokości dwudziestu metrów nad ulicą. Pod nim tłoczyła się zbieranina istot różnych ras, razem ze dwanaście osób. Rozpoznała ludzi, Kubaza, H'nemthe, Gotali, Snivvian, Trandoszan i Bitha. Wszyscy byli bardzo młodzi, ubrani w barwne stroje stanowiące mieszaninę najdziwniejszych stylów – ale niewątpliwie wyjątkowo niebezpieczni.

Fondorianin Oolth wziął głęboki oddech i powiedział zduszonym szeptem:

– Dzikusy.

Darsha słyszała o ulicznych gangach terroryzujących niezbyt reprezentacyjne dzielnice miasta. Dzikusy cieszyły się wśród nich zdecydowanie najgorszą reputacją. Miała nadzieję, że uda jej się wykonać misję na tyle szybko, aby uniknąć spotkania z nimi. Wyglądało na to, że musi pożegnać się z tym pomysłem.

Kilka lin zakończonych chwytnymi kotwiczkami zwisało ze skoczka. Troje członków gangu – dziewczyna i dwóch Bithów – wspięło się po tych linach na jego pokład i przetrząsało teraz zawartość pojazdu. Co ciekawsze przedmioty wyrzucali na dół – holoprojektor, aparat tlenowy, torebkę kapsulek odżywczych, apteczki; – prosto w ręce czekających na dole członków gangu. W tej samej chwili, gdy Darsha ich dostrzegła, jeden z członków gangu zdołał wyłączyć autopilota i opuścić delikatnie pojazd na ulicę, Reszta członków gangu powitała ten wyczyn okrzykami radości.

Oolth złapał ją za rękaw, próbując wciągnąć w cienie wąskiej ulicy.

– Szybko! Zanim nas zobaczą!

Strząsnęła jego rękę.

– Nic mogą im pozwolić, żeby splądrowali skoczka. To nasz jedyny sposób na wydostanie się z tego miejsca. Zaczekaj tutaj, zanim z nimi nie skończę. – Ruszyła w stronę Dzikusów, starając się emanować pewnością siebie, której wcale nie czuła.

Wystarczyło parę kroków, żeby ją zauważyli. Hałaśliwa gadanina i śmiechy szybko ucichły; pewnie dlatego, pomyślała Darsha, że nie mogli uwierzyć, aby ktoś mógł podjąć równie samobójczą akcję.

Zatrzymała się parę metrów od nich. Wszyscy przypadkowi przechodnie gdzieś zniknęli; została tylko ona, kryjący się w cieniu z tyłu Fondorianin i Dzikusy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał znaleźć się w okolicy, w której grasowała ta banda.

– To mój skoczek – powiedziała, zadowolona, że nie zadrżał jej głos. – Oddajcie mi to, co ukradliście, i odsuńcie się od pojazdu.

Dzikusy przyglądały się jej zaskoczone; dopiero po chwili zabrzmiała kakofonia śmiechu różnych ras. Jeden z chłopaków – chudy i żyłasty, obnoszący z dumą niewiarygodną fryzurę z zielonych włosów sterczących prosto do góry dzięki polu elektrostatycznemu, zaczął podchodzić do niej, kołyszając się na boki.

– Chyba jesteś tu nowa – powiedział, co wywołało dalsze chichoty jego towarzyszy, jeszcze bardziej nieprzyjemne.

Darsha szybko przejrzała w myślach krótką listę możliwych sposobów reakcji. Była jedna przeciwko tuzinowi, a chociaż znajomość technik walki stosowanych przez Jedi poprawiała nieco jej szanse, nie miała przekonania, że poradzi sobie z wszystkimi naraz. Była na ich terenie i wcale niewykluczone, że w cieniach ulicy krył się kolejny tuzin Dzikusów.

Mogła jednak zastosować inne metody niż walka. Sztuczka z wywieraniem wpływu na umysły, którą zastosowała wobec żebraków, nie do końca się wprawdzie powiodła, ale kilku z nich poddało się jej manipulacjom. Mogła spróbować jej i teraz, starając się zdezorientować Dzikusów na tak długo, by dostać się do skoczka. Oczywiście nadal musiałaby kombinować, jak zabrać do pojazdu Ooltha, ale postanowiła że jeden problem na raz wystarczy.

Uniosła dłoń w geście, który miał przyciągnąć uwagę Dzikusów, a

sama sięgnęła umysłem po Moc.

– Nie obchodzi; was ani ja – powiedziała miękko, przekonującym tonem, którego ją nauczono – ani mój skoczek. – Widząc wokół siebie zdezorientowane i niepewne twarze, uznała, że sztuczka zadziałała. Czują jak ich wola zaczyna wibrować, zmagając się z jej wolą.

Zielonowłosy musiał być przywódcą, bo pokiwał głową i powtórzył powoli:

– Nie obchodzi nas ani ona, ani jej skoczek. – Reszta członków gangu powtórzyła za nim te słowa niezgodnym chórem.

Darsha zrobiła kilka kroków do przodu, cały czas wykonując hipnotyzujące gesty.

– Możecie już iść – powiedziała do Zielonowłosego, – Nie ma tu nic ciekawego.

– Możemy już iść. Nie ma tu nic ciekawego- zawtórowali członkowie gangu.

Darsha powoli, ale pewnie posuwała się do przodu. Minęła Zielonowłosego i znalazła się pomiędzy Dzikusami, o krok czy dwa od pojazdu. Miała ich w rękę – wyczuwała ich umysły, niektóre opierające się słabo, inne poddające się chętnie sile sugestii, popartej Mocą. Jeszcze chwila i znajdzie się w skoczku.

W głębi mrocznej ulicy rozległ się krzyk.

Zaskoczona Darsha obróciła się na pięcie, wypatrując źródła dźwięku. To Fondorianin Oolth wyskoczył z cienia na sam środek skrzyżowania, kopiąc wściekle i potrząsając nogą, by strącić pancernego szczura, który wpił mu się w łydkę. Darsha zrozumiała natychmiast, że jej chwilowa władza nad umysłami Dzikusów prysła, gdy niespodziewanie usłyszeli krzyk Fondorianina. Mrugając oczami i potrząsając głowami, jakby budzili się ze snu, członkowie gangu zorientowali się szybko, że ich ofiara oddała się sama w ich ręce.

Darsha nie miała wyboru. Musiała podjąć walkę. Sięgnęła po miecz, ale zanim zdążyła chwycić jego rękojeść, opadli ją ze wszystkich stron.

ROZDZIAŁ

6

Hath Monchar był przerażony.

Nikommu, kto znał zastępcę wicekróla Federacji Handlowej, stan taki nie wydałby się dziwny. Nawet wśród Neimoidian Monchar uchodził za wyjątkowo nieśmiałego. Tym bardziej zdumiewające, że postąpił tak, jak postąpił.

Monchar się bał, owszem, ale pod pokładami strachu czaiło się inne uczucie, którego doświadczał znacznie rzadziej niż strachu. Była to duma – nerwowa i krucha, to prawda, ale jednak duma. Podjął ryzyko, ogromne ryzyko. Odważył się skierować swoje życie na nowy i – jeśli będzie mu sprzyjać szczęście – znacznie bardziej dochodowy tor. Mam prawo być z tego dumny, powtarzał sobie w duchu.

Rozejrzał się dookoła i popatrzył na gości tawerny, w której siedział. Różniła się od tej, którą zazwyczaj odwiedzał podczas pobytu na Coruscant. Tamta znajdowała się w zamożnym kompleksie mieszkalnym zwanym Iglicami Kaldari, w którym miał swój apartament. Tym razem jednak nie zatrzymał się w tamtym mieszkaniu. Zbyt łatwo byłoby go znaleźć. Wynajął pod przybranym nazwiskiem tanie lokum w pobliżu Muzeum Galaktycznego. Poważnie zastanawiał się nad kupnem holograficznego projektora wizerunku, który pozwoliłby mu ukryć swoją rasę. W tej kwestii jednak strach walczył w nim ze skąpstwem; ostatecznie chciwość zwyciężała, choć tylko nieznacznie.

Hath Monchar przyleciał na Coruscant, bo stolica była najlepszym miejscem, gdzie informacje szybko i anonimowo zmieniały

właściciela. Tylko to miał na sprzedaż – informację. A konkretnie wiadomość o planowanej blokadzie Naboo i o tym, że jej inicjatorem był Lord Sithów.

Niewątpliwie to niebezpieczny plan. Monchar wiedział, że jeśli pozostali konspiratorzy go odnajdą, szybko wydadzą go na łaskę bezlitosnego Dartha Sidiousa. Sama myśl o tym, że mógłby się dostać w szpony Lorda Sithów, wystarczyła, aby pozbawić Neimoidianina tchu. Mimo wszystko jednak Monchar nie potrafił się oprzeć pokusie szybkiego wzbogacenia.

Pociągnął kolejny łyk agaryjskiego piwa. Tak, ryzyko było duże, ale równie wysokie były szanse zysku. Wystarczyło nawiązać kontakt z odpowiednim pośrednikiem – kimś, kto znał osoby gotowe słono zapłacić za tak ważną wiadomość. Musiał się zdobyć na jeszcze trochę odwagi. Zaszedł już tak daleko; nie zatrzyma się teraz, gdy cel jest w zasięgu ręki.

Hath Monchar dał znak barmanowi. Jeszcze jedna szklanka piwa doda mu odwagi, której tak bardzo potrzebował.

Mahwi Lihnn była łowcą głów od dziesięciu lat, czyli od czasu, kiedy musiała opuścić rodzinną planetę, bo zabiła skorumpowanego urzędnika planetarnych władz. Przez te dziesięć lat i niezliczoną ilość zleceń przemierzyła galaktykę wzdłuż i wszerz. Ściagała osoby uciekające przed wymiarem sprawiedliwości na tak odległych planetach jak Ord Mantell, Roon, Tatooine i na wielu innych. O dziwo, nigdy jednak nie miała okazji odwiedzić Coruscant, cieszyła się więc, że obejrzy stolicę galaktyki.

Zlecenie od adiutanta neimoidiańskiego wicekróla wydawało się stosunkowo proste. Lihnn nie sądziła, żeby odnalezienie zaginionego Hatha Monchara, nawet na tak ludnej planecie jak Coruscant, miało nastreczać większe kłopoty. Podczas gdy jej statek, prowadzony przez autopilota, schodził w dół ku jednemu z lądowisk wschodniego kosmoportu, Mahwi sprawdziła sprzęt i uzbrojenie. Jej strój, choć wyglądał jak zwykła, praktyczna tunika i spodnie, był uszyty z gęsto tkanego pajęczego jedwabiu – materiału zdolnego zatrzymać nawet

cios wibroostrza albo odbić promienie niskoenergetycznych cząstek czy lasera. Była to zbroja, która na zbroję nie wyglądała – przynajmniej dla oczu laika. Specjaliści poznaliby się na niej, ale nie przewidywała żadnej konkurencji do tego zlecenia. Na każdym biodrze nosiła blaster typu DL-44, a dodatkowo mały pistolet w ukrytej kaburze na kostce. Miała przymocowane rakiety nadgarstkowe MM9, a w prawej dłoni trzymała ręczny miotacz rakiet. Kajdanki oszałamiające, pałka ogłuszająca i trzy granaty plazmowe w pasku narzędziowym dopełniały uzbrojenia.

Mahwi Lihnn uważała, że grunt to dobre przygotowanie na każdą okazję.

Opuściwszy pokład statku, skierowała pierwsze kroki ku apartamentom mieszkalnym w Iglicach Kaldani. Miała co prawda poważne wątpliwości, czy jej cel był aż tak głupi, żeby zatrzymać się w apartamencie zarejestrowanym na jego własne nazwisko, ale nigdy nie wiadomo. Niejednokrotnie Mahwi zaoszczędziła sobie mnóstwo kłopotów i czasu, szukając zbiega w najbardziej oczywistych miejscach.

Kiedy weszła do obszernego holu, robot strażniczy zapytał, kogo zamierza odwiedzić.

– Hatha Monchara – odpowiedziała Lihnn. Robot spojrzął na ekran monitora, po czym poinformował ją, że Monchara nic ma nie tylko w domu, ale i na Coruscant. Lihnn pokiwała głową ze zrozumieniem, jednocześnie przylepiając zakłócacz obwodów do napierśnika Strażnika. Robot zająknął się, na chwilę, po czym jego fotoreceptory zgasty.

Lihnn wsiadła do windy; wysiadła na pięćsetnym piętrze i ruszyła korytarzem w stronę apartamentu Monchara. Używając elektronicznego dezaktywatora zamków ominęła zabezpieczenia, broniące wstępu do mieszkania. Szybko się przekonała, że robot mówił prawdę – Monchara tam nie było. Co więcej, apartament wyglądał tak, jakby od dłuższego czasu nikt go nie używał.

Obszerny apartament został urządzony w sposób typowy dla neimoidiańskiego gustu; w opinii Lihnn, wyglądał i śmierdział jak bagno. Przeszukała apartament, próbując znaleźć jakieś wskazówki co

do miejsca pobytu Monchara. Wyniki były rozczarowujące.

Wyszła z mieszkania, dotarła do holu, podeszła do robota strażniczego i oderwała zakłócacz od jego piersi. Zanim robot zdołał ponownie sięgnąć do swoich banków pamięci, żeby się zorientować, co się właściwie stało, Mahwi Lihnn spacerowała już jednym z podniebnych chodników na wysokości pięćdziesięciu pięter nad powierzchnią gruntu.

Z pewnością przeszukanie przez jedną osobę miasta tej wielkości. obejmującego całą powierzchnię planety, zajęłoby trochę czasu. Lihnn była jednak przekonana, że nie będzie to konieczne. Chociaż Monchar miał dość rozumu, aby nie zatrzymać się w swoim apartamencie, była gotowa się założyć, że Neimoidianin jest gdzieś niedaleko. Tę część Coruscant znał najlepiej, więc można było rozsądnie założyć, że właśnie tu się zaszyje.

Lihnn przystanąła na tarasie obserwacyjnym i przez parę minut podziwiała panoramę miasta. Opisy i holofilmy nie były w stanie oddać rzeczywistego splendoru miasta. Ostatni spis mieszkańców Coruscant wykazał, że było ich około miliarda. Nawet gdyby sprawdzała jedną osobę na sekundę, potrzebowałaby na to czasu równego długości stu Sarlaków z Tatooine. Na szczęście istniały sposoby zawężenia obszaru poszukiwań.

Mimo niewątpliwej manii prześladowczej, Monchar nadal musiał jeść. Lihnn wyciągnęła z kieszeni przenośne łącze HoloNetu i wpisała do niego parametry miejscowych restauracji specjalizujących się w serwowaniu odrażających odpadków, które Neimoidianie nazywali jedzeniem. Tak jak przypuszczała, nie było ich zbyt wiele. Spojrzała na zegarek i zorientowała się, że dla większości gatunków istot żywych nadeszła pora wieczornego posiłku. Pójdzie sprawdzić kilka z tych restauracji. Warto było znieść ich smród, jeśli miało to umożliwić szybkie załatwienie tej sprawy.

Darth Maul przywołał powietrzną taksówkę. Chociaż w pobliżu znajdował się jego śmigacz, nie chciał ryzykować, że ktoś skojarzy go z pojazdem teraz, kiedy był tak blisko swojej ofiary. Pilot taksówki,

Quarreńczyk, spojrział na nowego pasażera, który usadowił się w tylnym fotelu, jakby z powątpiewaniem, ale nic nie powiedział. Kiedy Maul podał mu adres, taksówka śmignęła prosto w górę o dwa poziomy ruchy z cichym pomrukiem repulsorów, ledwie słyszalnych dla ucha Maula. Następnie skrzyła drugim łukiem na północ, w kierunku widocznych w oddali wieżowców.

Wylądowali miękko na terminalu zaledwie pięćdziesiąt metrów od tawerny. Maul wszedł do restauracji i schował się od razu w cień, aby swobodnie rozejrzeć się dookoła. Jego wzrok dostosowywał się do natężenia światła znacznie szybciej niż u większości gatunków; niemal natychmiast dostrzegł w półmroku tawerny wszystkich jej klientów.

Zauważył dwoje ludzi, Bithanina, Devaronian, Niktów, Snivviańczyków, Arconian – mnóstwo różnych gatunków, wszyscy pijący lub przyjmujący w inny sposób najprzeróżniejsze substancje zmieniające chemię ich mózgow. Nie było jednak wśród nich Halha Monchara. Jeśli o to chodzi, nie dostrzegł ani jednego Neimoidianina.

Podszedł do baru. Barmanem był wysoki, wychudły Baragwin o policzkowych fałdach skórnych tak szorstkich i pomarszczonych jak skóra bantha.

– Szukam Neimoidianina – powiedział do niego Maul. – Był tutaj parę godzin temu.

Fałdy skórne Baragwina zafalowały od góry do dołu, co u jego rasy było odpowiednikiem ludzkiego pokręcenia głową.

– Wiele istot tu przychodzi – powiedział głosem absurdalnie piskliwym, jak na tak masywną głowę. – Przychozą, piją gadają i wychodzą. Nie przypominam sobie, że bym tu widział ostatnio Neimoidianina.

Darth Maul pochylił się do przodu.

– Zastanów się przez chwilę – powiedział miękko. Mógł bez trudu posłużyć się Mocą, by wydobyć z tego słabego stworzenia wszelkie informacje, jakie zgromadziło w swej głowie, ale nie było takiej potrzeby. Wiedział, że ten sam skutek uzyska zwykłym zastraszeniem.

Polipy nosowe Baragwina zaczęły dygotać – oznaka nerwowości.

– Po namyśle wydaje mi się, że przypominam sobie

przedstawiciela tego gatunku. Pił tutaj jakąś godzinę temu.

– Czy rozmawiał z tobą albo z kimkolwiek innym?

Polipy nosowe drżały teraz tak szybko, że niemal niedostrzegalnie.

– Nie. To znaczy za... zamówił agaryjskie piwo.

– Czy rozmawiał na jakikolwiek inny temat?

– Zapytał mnie, jak się skontaktować z osobą zajmującą się sprzedażą i skupem poufnych informacji.

Maul odchylił się do tyłu.

– I co mu powiedziałaś?

– Podąłem mu nazwisko.

– Podasz je teraz mnie.

Baragwin zgodnie zafalował fałdami skórnymi.

– Lorn Pavan. To człowiek, chyba Korelianin. Jest dobrze znany w tym sektorze. Wszyscy wiedza, że zajmuje się handlem towarami tego rodzaju.

– A gdzie mogę znaleźć tego Lorna Pavana?

– Nie wiem.

Maul pochylił się do przodu z płonącymi oczami. Baragwin cofnął się pospiesznie.

– Mówię prawdę! Przychodzi tu czasami, zawsze w towarzystwie robota protokolarnego zwanego I-5. Nic więcej nie wiem!

Ciekawa wiadomość, uznał Maul. Powinna pomóc zawęzić pole poszukiwań; roboty osobiste nie były zbyt powszechne w tych rejonach Coruscant.

– Opisz mi, jak wygląda ten Lorn Pavan.

– Wysoki. Muskularny. Czarne włókniste wyrostki na skórze głowy, brak podobnych wyrostków na twarzy. Brązowa barwa organów wzrokowych. Samice jego gatunku najprawdopodobniej określiłyby go jako „przystojnego”.

Maul kiwnął głową i uniósł prawą dłoń, jednocześnie sięgając po Moc. Musiał być pewien, że odpowiedź na następne pytanie będzie prawdziwa, od tego bowiem zależało, czy zabije tego Baragwina, czy też zostawi go przy życiu.

– Czy ten Neimoidianin powiedział ci cokolwiek na temat charakteru informacji, którą chciał sprzedać?

Policzkowe fałdy skórne zafalowały w dół.

– Nic. Powiedziałem ci wszystko, co wiem.

Maul nie wyczuł negatywnych wibracji Mocy podczas odpowiedzi Baragwina. Odwrócił się bez słowa i wyszedł z tawerny.

Był zadowolony, że nie musiał zabijać barmana – nie z powodu skrupułów moralnych czy choćby litości dla tego żalosego stworzenia; ulga wynikała jedynie z faktu, że ominęły go nieuniknione kłopoty, jakie musiało pociągnąć za sobą zabicie kogoś w miejscu publicznym. Mimo wszystko jednak, gdyby Moc powiedziała mu, że Baragwin kłamie, zabiłby go w jednej chwili bez wahania i bez oglądania się na konsekwencje. Darth Sidious polecił mu zlikwidować każdego, z kim Hath Monchar podzielił się wiadomością o blokadzie, a Maul jak zawsze gotów był co do joty wypełniać rozkazy swojego mistrza.

Przechadzał się po placu przed tawerną, obmyślając następne posunięcie. Choć chodnik był zatłoczony, nikt nie zakłócił jego kroków. Większość przechodniów schodziła mu z drogi, i tak być powinno. Darth Maul miał dla tłumu wyłącznie głęboką pogardę. Z bilionów istot rozumnych zaludniających galaktykę tylko jedna zasługiwała na szacunek: Darth Sidious. Jedyne człowiek, który miał odwagę marzyć o podbiciu nie tylko planety czy systemu, ale całej galaktyki. Człowiek, który zabrał młodego Maula z zacofanego świata i wychował go na swojego następcę. Zawdzięczał Darthowi Sidiousowi wszystko.

Niełatwa była ścieżka, na którą go wprowadzono. Aby stać się prawdziwie wyższą istotą, stojącą ponad bezmyślną masą, potrzebne było absolutne poświęcenie i zaangażowanie. Musiał nauczyć się samowystarczalności, zarówno w kwestiach ciała, jak i umysłu, niemal od chwili, kiedy zaczął chodzić. Jego mistrz nie zaakceptowałby nic poniżej maksymalnych wysiłków. Kiedy był młodszy i uchylił się podczas treningu przed klingą przeciwnika, żeby uniknąć zranienia, albo wskutek niewłaściwego manewru blokującego lub obronnego upadł tak niefortunnie, że złamał kość, kara była zawsze szybka i nieubłagana.

Szybko nauczył się traktować ból jako nauczyciela. Od strachu

przed nim przeszedł do chętnego oczekiwania, wiedząc, że cierpienie będzie testem jego woli i odwagi, że uczyni go silniejszym. Zadowolenie i wygoda prowadziły do pobłażania samemu sobie. Przyjemność nigdy nikogo niczego nie nauczała. Ból natomiast był jednym z najskuteczniejszych nauczycieli.

Powrócił myślami do problemu, który sprowadził go na Coruscant. Być może namierzenie tego człowieka, Lorna Pavana, doprowadzi go do głównego celu. Najprawdopodobniej Korelianina również trzeba będzie zabić, im dłużej Neimoidianin pozostawał przy życiu, tym bardziej stawało się prawdopodobne, że przekaze komuś cenną informację. Maul nie martwił się tym jednak. Nawet gdyby musiał zmieść z powierzchni planety cały ten sektor, aby powstrzymać rozprzestrzenianie się wiadomości o blokadzie, zrobiłby to bez zastanowienia. Życie jednej czy nawet setek istot nie miało znaczenia.

ROZDZIAŁ

7

Pierwszy cios padł z tyłu; prawie ogłuszył Darszę i powalił ją na kolana. Obuta stopa wbiła się w jej bok, pozbawiając tchu. Oślepiąca bólem, sięgnęła po Moc. Wśród zacieśniającego się koła Dzikusów poczuła, jak jej siła otula ją płaszczem niczym niewidzialna tarcza. Wstała i wyciągnęła rękę w obronnym geście; czuła, jak fale rozchodzą się na zewnątrz, odpychając zaskoczonych napastników. Przez krótką chwilę stała wśród nich, nie niepokoiona przez nikogo; wykorzystała ten moment, żeby dobyć i włączyć świetlny miecz. Żółta klinga energetyczna wystrzeliła z emitera na pełną długość.

– To Jedi! – krzyknął jeden z Dzikusów, Trandoszanin. Wydawał się zaskoczony, ale niespecjalnie zaniepokojony czy onieśmielony.

– Niech sobie będzie. Dla mnie to padlina – powiedział Zielonowłosy. Żaden z członków gangu nie palił się jednak, żeby pierwszy wejść w zasięg miecza świetlnego.

– Trzeba było mnie posłuchać – powiedziała Darsha, cofając się powoli, aż dotknęła plecami skoczka. – Nie chcę skrzywdzić nikogo z was. Odejdźcie, póki możecie.

Dostrzegła wymianę spojrzeń między Zielonowłosym a Trandoszaninem – ledwie dostrzegalny ruch oczu. Wystarczył, aby ją ostrzec, i tak wyczuła zakłócenie Mocy za plecami. Odwróciła się momentalnie, unosząc miecz wysoko obronnym gestem w samą porę, żeby odeprzeć atak krępego Gotala, który przeskoczył ponad pojazdem, celując w nią wibroostrzem. Świetlny miecz bez wysiłku przeciął nadgarstek Gotala. Wibroostrze, z zaciśniętą wciąż wokół

niego dłonią, szerokim łukiem poszybowało w powietrze i spadło do wnętrza pustego skoczka. Gotal wrzasnął i upadł na chodnik, ściskając osmalony kikut.

Przez chwili; panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć jęków Gotala, Darsha wiedziała, że bieg wydarzeń zawisł w stanie delikatnej równowagi. Czy rzucą się na nią, żeby pomścić towarzysza, czy też rozpierzną się w panice?

To Zielonowłosy zdecydował, co robić. Zawrócił i pobiegł w górę ulicy. Pozostali członkowie gangu pospiesznie ruszyli w jego ślady; dwóch z nich wlokło rannego Gotala, W ciągu paru sekund ulica kompletnie opustoszała; została tylko Darsha i Fondorianin Oolth.

Darsha ruszyła szybko w stronę Ooltha; leżał na plecach, jęczał i kopał na wszystkie strony, daremnie próbując obronić się przed pancernym szcurem. Darsha dotknęła końcem miecza świetlnego karku zwierzęcia – miękkiego punktu u nasady głowy, tuż nad krawędzią pancerza. To wystarczyło, szczur puścił swoją ofiarę i przepadł w cieniu.

Darsha wyłączyła miecz i szarpnięciem postawiła Ooltha na nogi.

– Chodźmy, zanim wrócą z posiłkami.

– Dlaczego to tyle trwało? Ten cholerny szczur omal nie odgryzł mi nogi!

Szkoda, że nie głowy, pomyślała Darsha.

– Ciesz się, że zdołałam ich przegonić. A teraz wynośmy się stąd.

– Pomogła mu wdrapać się do skoczka po stronie pasażera, a sama zajęła miejsce za sterami.

W tym momencie zrozumiała, że nigdzie nie polecą.

– Na co czekasz? Startuj!

– Nic mogę. – Pokazała na konsolę, w której środku tkwiło wbite aż po rękojeść wibroostrze, nadał ściskane odciętą dłoń Gotala. Nad konsolą unosiły się smużki dymu i słabe iskry, a z głębi słychać było cichy pomruk oscylacji wciąż aktywnego ostrza. – Wibroostrze przecięło kontrolkę śmigieł stabilizatora. Będziemy wirować jak korkociąg, jeśli spróbujemy oderwać się tym od ziemi.

Oolth spojrział najpierw na broń, a potem na nią.

– Nie do wiary! Też mi Jedi! Udało ci się unieruchomić własny

statek!

Darsha przełknęła kilka ciętych uwag, które przysły jej do głowy. Zamiast tego powiedziała:

– To tylko drobną przeszkodą. Mam komunikator; zaraz połączę się ze Świątynią, żeby...

Nie dokończyła, bo kiedy sięgnęła do kieszeni po komunikator, wyczuła pod palcami, że urządzenie również nie nadaje się do użytku. Plakelitowa obudowa była roztrzaskana, niewątpliwie od kopniaka, którego zarobiła od jednego z Dzikusów. Uchroniło ją to pewnie od złamania zębra; w tej chwili jednak, biorąc pod uwagę ich sytuację, wołałaby chyba złamanie.

Zanim zdołała wyjaśnić Oolthowi, co się stało, przednia szyba skoczek nagle eksplodowała. W tej samej chwili usłyszała stłumiony świst pocisku z broni palnej. Ktoś – najprawdopodobniej Dzikusy – strzelał do nich.

Darsha szybko podjęła decyzję. Muszą opuścić skoczek i jak najszybciej dostać się na górne poziomy. Rozejrzała się dookoła i uświadomiła sobie, że łatwiej podjąć taką decyzję niż wprowadzić ją w życie. Większość budynków zaczynała się od poziomów dziesiątego do dwunastego; mieszkańcy wyższych pięter nie dopuszczali do siebie myśli o istnieniu dolnych poziomów. Darsha i Oolth nie mogli jednak tu zostać. Jakby dla podkreślenia tego faktu, kolejny strzał ukrytego snajpera przeleciał, gwizdząc tuż obok jej ucha. Nie mogli nawet ryzykować wycofania się na posterunek.

Gasły ostatnie światła dnia; wkrótce miała zapaść noc. Darsha wstała.

– Ze statku! Szybko! – Wyskoczyła na chodnik, wyciągając pistolet harpunnicy z pasa. Wystrzeliła haczyk prosto w górę, na pełną długość liny, mając nadzieję, że zahaczy o występ ponad poziomem mgły.

Kolejny strzał rozbił pozostałości przedniej szyby. Oolth krzyknął przerażony i wyskoczył ze skoczka.

– Co robisz? Musimy się stąd wydostać!

– I tym właśnie się zajmuję – powiedziała Darsha. Poczuła wibracje wzdłuż liny, co oznaczało, że haczyk znalazł punkt

zaczepienia. – Trzymaj się mnie! – Złapała Fondorianina wokół pasa i wcisnęła przycisk zwijania liny.

Zapas liny wystarczał na jakieś dwieście metrów, a dzięki splotowi monowłókien mogła bez trudu wytrzymać ciężar ich obojga. Darsha wiedziała, że jeśli zdołają wzniesć się na poziom pierwszej alei ruchu powietrznego – około dwudziestego piętra – złapią taksówkę powietrzną i bez dalszych kłopotów dostaną się do Świątyni. W najgorszym wypadku znajdą czynną stację komunikacyjną, z której będą mogli wezwać pomoc.

Kolejny strzał oderwał kawał ściany tuż pod nimi; wznosili się szybko, mijając pierwsze piętro, potem drugie, potem trzecie. Darsha czuła się, jakby ktoś wyrywał jej ramię ze stawu. Spojrzała w górę i oceniła, że mgła unosi się; mniej więcej na poziomie dziesiątego piętra. Kiedy znajdą się w jej oparach, będą stosunkowo bezpieczni.

Jakiś wielki ciemny cień przeleciał obok nich, a zaraz potem kilka innych. W półmroku panującym na ulicy nie poznała w pierwszej chwili, co to takiego. Przyjrzała się uważniej; a kiedy sobie uświadomiła, czym jest ciemny cień, poczuła na plecach ciarki.

Jastrzębionietoperze!

Nigdy nie widziała ich z tak bliska. Jaja jastrzębionietoperzy uchodziły za prawdziwy delikates i nieraz jadała je na śniadanie w Świątyni. Zazwyczaj jastrzębionietoperze nie były niebezpieczne, ale słyszała już historie o ludziach zaatakowanych przez całe stado tych stworzeń. Najwyraźniej były zdecydowane bronić swojego terytorium i niebezpiecznie było zbliżyć się zanadto do gniazd, w których chowały pisklęta.

Wyglądało, że to właśnie przytrafiło się Darshy.

W jednej chwili opadła ich skrzecząca plątanina silnych skrzydeł, dziobów i pazurów. Darsha schyliła głowę i zakryła ją ramieniem, chcąc osłonić oczy. Spróbowała wezwać Moc i użyć jej jako tarczy, ale trzepot ciężkich skrzydeł powodował, że z największym trudem koncentrowała się na utrzymaniu unoszącej ich w górę liny.

Z całych sił wduszała przycisk nawijarki – ich jedyną szansą było jak najszybciej opuścić terytorium jastrzębionietoperzy.

Oolth ścisnął ją w pasie tak mocno, że groziło jej uduszenie.

Krzyknął z bólu i strachu, gdy czarne bestie na nich napadły. Pazury na końcach skórzastych skrzydeł rozorały ubranie Darshy; przed oczami miała zakrzywione dzioby i płonące czerwienią gniewu oczy.

Oolth wrzasnął ponownie, tym razem głośniej. Darsha spojrzała w dół i zobaczyła, że jeden z jastrzębionietoperzy wylądował mu na ramieniu i zawzięcie atakował dziobem jego twarz. Dziób rozciął policzek, rysując na skórze ciemną linię krwi.

Darsha poczuła, że jego uścisk słabnie. Zobaczyła, że jeszcze jeden jastrzębionietoperz usiadł na ramieniu mężczyzny i zaczął dziobać jego dłoń.

– Trzymaj się! – krzyknęła. – Zaraz będzie po wszystkim!

Oolth krzyczał coraz głośniej i głośniej. Darsha popatrzyła w dół i zobaczyła, że jedna z okrutnych bestii wbiła dziób w prawe oko mężczyzny. Oszalały z bólu Fondorianin puścił ją, obiema rękami starając się odpędzić skrzydlatego prześladowcę.

– Neeeeeee!!! – krzyknęła Darsha, próbując go złapać wolną ręką za ubranie. Był jednak zbyt ciężki – koszula rozdarła się, w dłoni Darscy został tylko wyrwany strzęp, a Fondtirianin z cichnącym krzykiem spadał coraz niżej i niżej w ciemność.

Darsha wiedziała, że nie ma sensu opuszczać się za nim w dół. Była teraz no poziomie szóstego albo siódmego piętra: upadek musiał być śmiertelny. Chwilę później spowiła ją mgła, ale jastrzębionietoperze nie zaprzestały ataku. Skórę miała pociętą licznymi ranami. Przy tym tempie ich ataku nie pożyje dostatecznie długo, żeby dotrzeć na wyższe poziomy.

Tylko jedno dawało wątłą nadzieję przeżycia. Na każdym poziomie, który mijała, ścianę przecinał rząd ciemnych okien. Darsha puściła przycisk nawijarki i wydobyła świetlny miecz. Kiedy przestała się wznosić, wbiła klingę w transpastal najbliższego okna, wytapiając w nim otwór. Oparła się stopami o parapet i skoczyła w ciemny otwór, puszczając pistolet harpunniczny.

Przeturlała się, trzymając miecz z dala od ciała, tak jak ją uczono, aby się nie zranić. Szybko wstała gotowa do obrony przed jastrzębionietoperzami.

Nie było jednak takiej potrzeby; żaden nie ruszył za nią w pościg

w głąb budynku. Powoli Darsha zmieniła pozycję. Rozejrzała się dookoła, chcąc się zorientować, gdzie się znalazła.

Na zewnątrz, zapadała już ciemność; wybite okno było tylko plamą jaśniejszej szarości. Spolaryzowane światło miecza nie najlepiej służyło za lampę. Darsha wsłuchiwała się w swoje zmysły i w Moc. Żadnego dźwięku, żadnego ostrzeżenia. Na razie była bezpieczna.

To zależało oczywiście od tego, jak się zdefiniuje słowo „bezpieczna”. Była uwięziona na opuszczonych niższych poziomach budynku w Karmazynowym Korytarzu. Nie miała komunikatora ani środka transportu. Co gorsza, jej misja zakończyła się niepowodzeniem. Mężczyzna, którego miała uratować, leżał teraz martwy na ulicy pod budynkiem.

Jeśli wobec tego uważa, że jest bezpieczna, to może powinna pomyśleć o przekwalifikowaniu.

Jeśli w ogóle wróci żywa.

ROZDZIAŁ

8

Lorn po obudzeniu czuł się tak, jakby przeszło po nim stado banthów.

Postanowił zaryzykować – uchylił jedną powiekę. Światło w mieszkaniu było bardzo przyćmione, a mimo to miał wrażenie, jakby promień lasera trafił go prosto w oko i przebiegł nerwem wzrokowym do samego mózgu. Jąknął, pospiesznie zamknął oko i otoczył szczelnie głowę ramionami.

Gdzieś z ciemności doszedł go głos I-5:

– Ach, więc bestia się obudziła.

– Przestań wrzeszczeć – wymamrotał.

– Mój syntezytor mowy jest ustawiony na średni poziom sześćdziesięciu decybeli, co odpowiada typowemu natężeniu ludzkiego głosu. Rzecz jasna, twój słuch może być nieco nadwrażliwy, biorąc pod uwagę ilość alkoholu nadal krążącą w twoim krwiobiegu.

Lorn jęknął, próbując bezskutecznie zakopać się w łóżku.

– Jeśli nadal zamierzasz zachowywać się w ten sposób – ciągnął I-5 bez litości – proponuję, żebyś kazał wyciąć sobie tych kilka zdrowych komórek wątroby, jakie ci jeszcze, być może, pozostały, zdeponował w zbiorniku kriogenicznym, bo w najbliższej przyszłości będziesz pewnie musiał sklonować ten organ. Mogę ci polecić mojego znajomego, bardzo dobrego robota medycznego MD-5...

– Dobrze już, dobrze! – Lorn usiadł, podpierając głowę rękami, i spojrzał na robota. – Zabawiłeś się. A teraz zlikwiduj ten koszmarny ból.

Robot udał, że go nie rozumie.

– Zlikwidować ból? Ależ jestem tylko prostym robotem, jak mógłbym...

– Do roboty albo przeprogramuje, twój moduł kognitywny blasterem Bilka.

I-5 westchnął bardzo po ludzku.

– Oczywiście. Żyję po to, by służyć.

Robot umilkł; po chwili zaczął wydawać niski, świergotliwie modulowany dźwięk, który unosił się i opadał, odbijając się od ścian pokoiku.

Lorn siedział na łóżku, pozwalając, żeby dźwięk opływał go falami. Po kilku minutach ból głowy zelżał, ustąpiły też mdłości i złe samopoczucie. Nie wiedział, w jaki sposób śpiew robota tego dokonał. ale było w nim coś takiego, co sprawiało, że był najlepszym lekarstwem na kaca, z jakim Lorn kiedykolwiek miał do czynienia. Każde lekarstwo ma jednak swoją cenę – w tym przypadku konieczność pogodzenia się z faktem, że przez resztę dnia będzie musiał znosić pełne wyższości samozadowolenie. Mimo wszystko było warto. Kiedy I-5 w końcu umilkł, Lorn czuł się nieporównanie lepiej. Nie zamierzał wprawdzie w najbliższym czasie oddawać się akrobacjom w nieważkości w kurorcie Trantor Center, ale przynajmniej mógł o tym pomyśleć bez mdłości.

Spojrzał na I-5 i po raz nie wiadomo który zadał sobie pytanie, jak to możliwe, że robot o niezmiennym wyrazie twarzy o bardzo ograniczonej mowie ciała potrafi wyrazić tyle dezaprobaty.

– Jak się teraz czujemy? – zapytał I-5 kpiąco.

– Powiem tylko, że powstrzymam się od przeprogramowania. Przynajmniej dziś. – Lorn wstał ostrożnie, bo nadal miał wrażenie, że głowa mogłaby spaść mu z karku, gdyby poruszył się zbyt gwałtownie.

– Twoja wdzięczność jest budująca.

– A twój sarkazm zwala z nóg. – Lorn wszedł do modułu odświeżającego, opłukał twarz zimną wodą i wyczyścił zęby ultradźwiękową szczoteczką. – Nie zmartwiłbym się, gdybym w tym pokoju znalazł pełną spiżarnię – powiedział, wychodząc z łazienki.

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw powinienes chyba rzucić okiem na wiadomości, jakie przysły w czasie twojej pijackiej śpiączki.

– Jakie wiadomości? – Nie było sensu łądzić się, że Zippa nagle zmienił zdanie i jednak zechce sprzedać mu holocron. Wiedział jednak, że I-5 nie trzymałby wiadomości, gdyby nie była naprawdę ważna.

– Te wiadomości – odpowiedział cierpliwie robot, uruchamiając odtwarzacz.

Migotliwy obraz olbrzymiego, nalanego cielska pojawił się w powietrzu nad odtwarzaczem. Lorn rozpoznał sylwetkę Hutta Yantha.

– Lorn – zadudnił wizerunek Hutta. – Myślałem, że spotkamy się dzisiaj, żeby omówić sprawę pewnego holocronu, który chciałeś mi pokazać. Chyba wiesz, że to nieuprzejme kazać czekać klientowi?

Obraz zniknął.

– Dzięki – powiedział Lorn. – Jeśli masz trochę czasu, to zostało mi parę zadrapań, w które możesz wetrzeć sól.

– Myślę, że zmienisz nastawienie, kiedy obejrzysz kolejną wiadomość.

Nad rzutnikiem pojawił się drugi obraz. Nie był to ani Zippa, ani Yanth. Po chwili Lorn rozpoznał rasę osoby, która nagrała wiadomość: Neimoidianin. Już to samo było zdumiewające; władcy Federacji Handlowej rzadko zaglądali na Coruscant ze względu na napięte stosunki pomiędzy nimi a Senatem Republiki.

Neimoidianin rozejrzał się nerwowo dookoła, po czym pochylił i odezwał się ściszym głosem:

– Lornie Pavan, powiedziano mi, że potrafisz zachować... dyskrecję, jeśli chodzi o poufne informacje. – Mówił bełkotliwym głosem, charakterystycznym dla jego rasy. – Chciałbym omówić z tobą pewną potencjalnie bardzo zyskowną dla nas obu sprawę. Jeśli jesteś zainteresowany, spotkaj się ze mną w oberży Pod Dewbackiem o dziewiątej rano. Nikomu o tym nie mów. – Po tych słowach Neimoidianin zniknął.

– Odtwórz to jeszcze raz – polecił Lorn.

I-5 ponownie uruchomił wiadomość. Lorn zwrócił tym razem

większą uwagę na język ciała Neimoidianina niż na jego słowa. Niezbyt dobrze znał się na zachowaniach Neimoidian, ale nie potrzeba było międzyplanetarnego psychoanalityka, żeby zauważyć, że obcy jest zdenerwowany jak h'nemtheniański pan młody.

To mogło zwiastować kłopoty, ale i zyski. W swoim obecnym fachu Lorn przekonał się, że te drugie rzadko kiedy udaje się osiągnąć bez tych pierwszych.

Skasował drugą wiadomość i spojrzał na I-5.

– Co o tym myślisz?

– Myślę, że mamy jakieś siedemnaście republikańskich decykredytów na koncie w banku i może jeszcze jakieś drobne za tapczanem. Myślę, że za tydzień musimy zapłacić czynsz. I jeszcze myślę – dodał I-5 – że powinniśmy porozmawiać z tym Neimoidianinem.

– Ja też tak uważam – zgodził się Lorn.

Wieczorny posiłek dobiegał końca. Mahwi Lihnn sprawdziła w tym czasie cztery restauracje, których karty oferowały dania neimoidiańskiej kuchni. Tylko w jednym natrafiła na przedstawiciela, a właściwie przedstawicielkę tego gatunku. Lihnn zagadnęła ją, ale Neimoidianka stwierdziła, że nie zna wśród swoich ziomków żadnego Hatha Monchara. Powiedziała jednak Mahwi o innej jadłodajni w okolicy, znanej z tego, że odwiedzali ją Neimoidianie. Była to niewielka oberża Pod Dewbackiem, jedno z niewielu w tym sektorze oferujących agaryjskie piwo – trunek, w którym Neimoidianie znajdowali szczególne upodobanie.

Lihnn postanowiła zajrzeć do oberży.

Nietrudno było znaleźć kubik mieszkalny Lorna Pavana. Podchodząc bliżej, Darth Maul zauważył, że drzwi do mieszkania się otwierają. Stanęli w nich człowiek i robot protokolarny. Maul szybko ukrył się w cieniu podziemnej arterii komunikacyjnej; przyjrzał się dobrze przechodzącej obok parze. Obaj pasowali do opisu, jaki podał mu baragwiński barman.

Doskonale. Jeśli będzie miał szczęście, doprowadzą go do jego ofiary.

Śledził ich, zachowując bezpieczny dystans; krył się w cieniu tam, gdzie było to możliwe, lub okrywał się płaszczem Mocy w odświetlonych miejscach. Miał zamiar deptać im po piętach, aż doprowadzą go do Neimoidianina, a potem podjąć takie działania, jakie okażą się konieczne.

Maul czuł, jak wypełnia go Ciemna Strona, jak podsyca niecierpliwość i podpowiada, żeby zakończył zadanie jak najszybciej. Nie do tego zostałeś wyszkolony, myślał w duchu. To nie są przeciwnicy warci twojej klasy.

Starał się odsunąć te nielojalne myśli. Jego mistrz powierzył mu zadanie; tylko to powinno się dla niego liczyć. Nic potrafił jednak stłumić irytacji. Zadanie nie było dość ambitne. W końcu przecież wychowano go i wyszkolono na pogromcę Jedi, a nie do tropienia takich podrzędnych istot jak te.

Jedi... jakże ich nienawidził! Jak mierzyła go ich świętoszkowatość, ich mistyczne pretensje, ich hipokryzja! Jak tęsknił do dnia, gdy ich świątynia runie, pozostawiając gruzy i pogrzebane pod nimi trupy! Zamknął oczy i ujrzał zagładę zakonu równie wyraźnie, jakby już się, urzeczywistniła. W końcu to była rzeczywistość – przyszła rzeczywistość, ale wcale nie mniej przez to nieunikniona. Zaprogramowana, przeznaczona, ustalona. A on będzie instrumentem, przez który ten los się spełni. To był jedyny cel i sens jego życia.

A nie ściganie jakiegoś żalostnego nieudacznika przez slumsy Corascant.

Maul potrząsnął głową i skrzywił się. Celem i sensem jego życia było służyć swojemu panu, niezależnie od tego, jakie wyznaczy mu zadanie. Gdyby Darth Sidious wiedział, jakie wątpliwości trawia jego ucznia, ukarałby go surowo, tak jak wtedy, gdy Maul był jeszcze dzieckiem. A Maul by się nie bronił, choć był już teraz dorosłym mężczyzną. Bo Sidious miałby całkowitą rację.

Mężczyzna i jego robot wyłonili się, nagle z podziemnego skrzyżowania i szli wąską ulicą. Była późna noc, ale to miasto nigdy

nie spało. Ulice były zatłoczone niezależnie od pory doby. Pomyślna okoliczność, bo dzięki temu łatwiej było Maulowi śledzić swoją ofiarę, nie będąc zauważonym.

Nie potrwa to długo, powiedział sobie. Doprowadzi zadanie do pomyślnego końca, a wtedy może Darth Sidious nagrodzi go, powierzając mu godniejszą misję. Na przykład taką jak tamto zlecenie dotyczące Czarnego Słońca. Tak, to wyzwanie sprawiło mu wiele satysfakcji.

Pavan i jego robot skręcili w boczną uliczkę, tak wąską. i zabudowaną wysoki mi konstrukcjami, że z trudem mieściła dwie ścieżki pieszego ruchu. Weszli w drzwi pod dyndającym szyldem z wizerunkiem broniącego się dewbacka.

A więc tam włośnie się udawali. Mimo niemal idealnej kontroli nad swoim systemem nerwowym Maul poczuł, że serce zaczyna mu mocniej bić w oczekiwaniu na wydarzenia, które miały się rozegrać. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce to uciążliwe zadanie będzie miał już za sobą. Wszedł do tawerny.

ROZDZIAŁ

9

Lorn rozejrzał się po słabo oświetlonym wnętrzu. Gospoda Pod Dewbackiem miała jeszcze gorszą reputację niż Błyskotka, a to naprawdę o czymś świadczyło. Klientów było niewielu, a każdy z nich wyglądał, jakby mocno ucierpiał w niejednej bójce. Lorn zauważył Devaronianina z ułamanym rogiem, wyłysiałego Wookie z wypaloną połową sierści, Sakiyana z brudnym koloidowym opatrunkiem na łysej głowie.

I-5 rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Coraz lepiej – skomentował.

Lorn zauważył nad barem napis we wspólnym, który głosił: **ROBOTOM WSTĘP WZBRONIONY**. Kilku gości zaczynało podejrzliwie patrzeć na I-5.

– Lepiej zaczekaj na zewnątrz – powiedział do I-5. – Wybacz.

– Potrafię sobie radzić z odrzuceniem. I-5 ruszył do wyjścia.

Lorn zauważył samotnego Neimoidianina, który siedział przy stoliku w kącie, rozglądając się dookoła niespokojnym wzrokiem. Kiedy ruszył w jego stronę, usłyszał, jak z tyłu otwierają się drzwi i kątem oka zauważył postać w płaszczu z kapturem. Przybysz wyglądał złowrogo – ale w końcu, z wyjątkiem Neimoidianina, podobnie wyglądali wszyscy klienci gospody, więc Lorn przestał zaprzętać sobie głowę nowym gościem.

Kiedy był już obok stolika Neimoidianina, poczuł, że ktoś chwyta go za ramię żelaznym uściskiem.

– Hej! – próbował się wyswobodzić, ale Trandoszanin, który go

złapał, był znacznie silniejszy. Szamotanina przyciągnęła uwagę Neimoidianina, który zapytał:

– Ty jesteś Lorn Pavan?

– Tak. Weź na smycz swojego osiłka.

Neimoidianin machnął ręką.

– Puść go, Gorth.

Trandoszanin puścił Lorna, który odsunął krzesło i usiadł. Masował sobie ramię zdrewniałe od mocarnego chwytu gada.

– Przyjmij moje przeprosiny – odezwał się Neimoidianin, rozglądając się nerwowo po sali. – Chyba rozumiesz, że w miejscu takim jak to potrzebowałem pewnej ochrony. Gorth jest specjalistą w swoim fachu.

– Rzeczywiście – stwierdził Lorn. – Przejdźmy do interesów.

W czym rzecz?

Wszedłszy do szcurzej nory zwanej oberżą Pod Dewbackiem, Darth Maul nie ściągnął kaptura i skierował się w najciemniejszy kąt. Jeśli któryś ze słabych umysłowo gości chciał spojrzeć w jego stronę, Maul wpływał na niego Mocą, żeby zainteresował się czym innym. Jak zwykle w miejscach odwiedzanych przez słabe umysły był w gruncie rzeczy niewidzialny.

Natychmiast dostrzegł swoją ofiarę. Miał nieprzepartą ochotę podejść i od razu urwać głowę Neimoidianinowi, ale wiedział, że taki postępek byłby godny głupca. Najpierw musiałby zabić Trandoszanina ochroniarza, a prawdopodobnie także Korelianina. Zamordowanie trzech osób, nawet w miejscu takim jak to, nie przeszłoby niezauważone. A zwracanie na siebie uwagi w miejscach publicznych nie wychodziło nikomu na dobre – tę prawdę mistrz wbił mu do głowy, gdy Maul był jeszcze dzieckiem. Sithowie są potężni, ale jest ich tylko dwóch. Podstęp i działanie ukradkiem musiały więc być ich największą siłą. Wprawdzie umysły klientów spelunki były słabe i podatne na wpływy, zwłaszcza że rozmiękczone jeszcze najrozmaitszymi substancjami odurzającymi, było ich jednak zbyt wielu, aby Maul mógł całkowicie nad nimi zapanować. Nie zdołałby

wymazać z pamięci kilkudziesięciu osób wspomnienia popełnionego z zimną krwią mordu, tak jak nie mógł być pewien, że uda mu się zlikwidować ich wszystkich. A w tłumie gości tu i tam jarzył się umysł zbyt niezależny, żeby dało się go zwieść prostymi technikami kontroli. Łatwo było je wyczuć – jarzyły się jak lampy fotonowe na ciemnej płaszczyźnie.

Poza tym musiał dokładnie przesłuchać Neimoidianina i dowiedzieć się, komu jeszcze zdrajca wyjawiał skradziony sekret.

Tak czy owak, Maul miał przed sobą ofiarę. I tylko to się liczyło. Wypełnienie misji było tylko kwestią czasu. Zaczeka na odpowiedni moment.

Mężczyzna znany jako handlarz informacjami rozmawiał z Hathamem, co przypieczętowało i jego los. Później, gdy Maul przesłucha Hatha Monchara, dowie się dokładnie, jakie informacje wymienili. Jeśli ten Lorn Pavan przyszedł omówić z Moncharem jakieś inne sprawy i nic nie wiedział o jego zdradzie, będzie mógł dalej prowadzić swoją nic nie znaczącą egzystencję. Jeśli jednak przyłączył się do spisku – umrze. Tak po prostu.

Mahwi Lihnn wędrowała ulicami miasta, szukając oberży Pod Dewbackiem. Okolica nie robiła najlepszego wrażenia. Ulice w tym sektorze składały się wyłącznie z ciasnych zakrętów i wąskich chodników, którymi przelewał się tłum bardzo nieciekawych osobników, szukających łatwego łupu. Uzbrojona po zęby Mahwi nie była łatwym celem, więc lokalne zbiry i złodziejaszki przyglądały jej się tylko spode łba, mając dość rozumu, aby zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Lihnn nie przejmowała się specjalnie; bywała już w gorszych miejscach i jakoś przeżyła. Chodziło głównie o odpowiednie wrażenie. Roztaczała wokół siebie aurę agresywnej pewności siebie, jasno dając odczuć okolicznym opryszkom, że na pierwszy znak jakichkolwiek kłopotów postara się, żeby ich zwęglone zwłoki znalazły się na brudnym chodniku, gdzie szybko rozszarpią je uliczne drapieżniki i padlinożercy.

Doszła do skrzyżowania i po chwili wahania skrzyła w prawo.

Ktoś inny szybko by się zgubił w tym labiryncie, ale Mahwi Lihnn przez lata odwiedzania dziesiątków takich miejsc w całej galaktyce doskonale rozwinęła w sobie zmysł orientacji w terenie. Wiedziała, że zawsze dotrze tam, gdzie chce i że zrobi to przed innymi. Była po prostu najlepsza w swoim fachu.

Wkrótce przekona się o tym również Hath Monchar.

Darsha Assant dotarła po schodach na najniższe zamieszkane poziomy budynku. Na końcu nędznego korytarza znalazła marną namiastkę apteki. Po drodze zgubiła swoją standardową tabliczkę kredytową, miała jednak nadal awaryjną, opiewającą na bardzo drobną kwotę – za małą, żeby wynająć śmigacz, ale na szczęście wystarczającą na nasączony antybiotykami bandaż z tkanki syntetycznej, a nawet wynajęcie taksówki, jeśli nie chciała daleko jechać. Jej ubranie było w dość kiepskim stanie, ale środki z awaryjnej tabliczki kredytowej nie wystarczyłyby na pokrycie kosztów nowej odzieży. Nieważne – miała na głowie ważniejsze rzeczy niż martwienie się o swoją garderobą.

Czując się nieco lepiej po opatrzeniu ran, rozejrzała się, szukając spokojnego miejsca – najchętniej z co najmniej jedną ścianą, żeby nie obawiać ataku zza pleców – w którym mogłaby się zastanowić, co robić dalej.

Niewiele miała na pociechę. Była po prostu skończona. Straciła swojego podopiecznego – jastrzębionietoperze na pewno kończyły już ogryzać kości Fondorianina. Uliczny gang pozbawił ją jedyne go środka transportu. Jej komunikator był rozbity. Misja, mówiąc krótko, zakończyła się absolutną porażką. Mistrz Bondara miał rację, że wątpił, czyjej podoła.

Darsha usiadła na zasmarowanej napisami ławce i spróbowała skoncentrować się, tak jak ją uczono. Nic z tego – nie mogła odzyskać spokoju ducha, który powinien zawsze charakteryzować Jedi. Czuła tylko smutek, żal, gniew, a przede wszystkim wstyd. Zawiodła samą siebie, swojego nauczyciela, swoje dziedzictwo. Nigdy nie zostanie rycerzem Jedi. Jej życie, takie jakie znała i jakie sobie wyobrażała,

skończyło się.

Może byłoby lepiej, gdyby zginęła, gdyby i ją rozszarpały jastrzębionietoperze. Nie musiałyby przynajmniej stanąć przed mistrzem Bondarą i przyznać się do klęski, nie musiałyby oglądać zawodu w jego oczach.

Co teraz robić?

Mogła znaleźć publiczną stację komunikacyjną – nawet tutaj były takie, które działały – i wezwać pomoc. Rada wysłałaby po nią rycerza Jedi – prawdziwego Jedi, pomyślała gorzko – który przyprowadziłby ją z powrotem do Świątyni jak dziecko, które zabiera się do domu, aby nie narobiło więcej szkód.

Wyobraziła sobie, jak wraca do świątyni z taką eskortą. To dopełniło jej wstydu.

Darsha zacisnęła zęby. Nie. Nie dopuści do tego. Zawiodła, nie wypełniła swojej misji – to prawda, ale nadal miała świetlny miecz i resztki dumy. Nie będzie wzywać pomocy. Znajdzie jakiś sposób, żeby na własną rękę wrócić do swoich. Przynajmniej tyle była winna mistrzowi Bondarze, a przede wszystkim sobie samej.

Wzięła głęboki oddech, wypuściła powoli powietrze i ponownie spróbowała odnaleźć spokój w Mocy. Nie zostanie rycerzem Jedi. Nie było sposobu, aby to zmienić. Ale może przynajmniej poddać się tej decyzji, nie skamlać o pomoc.

Tak. Przynajmniej tyle mogła zrobić.

Lorn nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Wyglądało na to, że w końcu sprawy przybierają korzystny obrót. Starając się nie okazać zbyt dużego entuzjazmu, odezwał się do Neimoidianina:

– Więc mówisz, że masz zapisane te informacje... szczegółowe dane na temat planowanej blokady, za którą stoi Sith... na holocronie?

– Zgadza się – odparł Monchar.

– A czy mógłbym... eee... zobaczyć ten kryształ?

Monchar spojrział na Lorna wzrokiem, w którym nawet ktoś, kto nie zna mimiki Neimoidian, mógł wyczytać pytanie: „Myślisz, że

jestem aż taki głupi?" Na głos zaś powiedział:

– Nie przyniosłbym go ze sobą w miejsce takie jak to, nawet mając Gortha za ochroniarza. Holocron jest bezpiecznie schowany.

Lorn odchylił się do tyłu.

– Rozumiem. I chciałbyś go sprzedać. Za ile?

– Pół miliona republikańskich kredytów.

Lorn wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Wiedział, jak się gra w tę grę.

– Pół miliona? Jasne. A masz wydać resztę z miliona?

Neimoidianin rzucił mu podejrzliwy uśmiezek.

– Niestety nie.

Lorn nie był nowicjuszem; wiedział, że nadszedł czas na ruch z jego strony.

– Dobra – powiedział. – Jeśli rzeczywiście masz to, co twierdzisz, że masz, mogę ci zapłacić dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

– Obrażasz mnie – odparł Monchar. – Jeśli rzeczywiście mam to, co twierdzą, że mam... a zapewniam cię, że tak właśnie jest... to informacja zapisana w kryształach jest warta dwa razy tyle, ile żądam, a nawet więcej, jeśli trafi w odpowiednie ręce. Nie będziemy się targować jak handlarze banthów, człowieku. Pół miliona kredytów i kropka. Zarobisz na tym interesie dwa razy tyle albo i więcej, jeśli masz choć tyle rozumu, co zielona mucha z Sarkonii.

Lorn wiedział, że to prawda. Cóż, gdyby mógł położyć rękę na pół milionie kredytów, nie siedziałby w tej norze, negocjując sprzedaż trefnych, kradzionych danych. Nie mógł jednak pozwolić, by taka transakcja przeszła mu koło nosa. Druga taka okazja mogła się nigdy nie nadarzyć.

– Zgoda. Pół miliona kredytów. Gdzie dokonamy wymiany?

Neimoidianin dotknął przycisku bransolety na jednym z nadgarstków i nad powierzchnią stołu wyświetlił się niewielki holograficzny obraz wielkości paznokcia Lorna.

– Oto adres mojego kubika mieszkalnego – powiedział Monchar.

– Spotkajmy się tam za godzinę. Przyjdź sam.

– Za godzinę! – Lorn starał się zachować beznamiętny wyraz twarzy.

– Hmm... możliwe, że będę potrzebował więcej czasu, by zgromadzić odpowiednie fundusze.

– Za godzinę – powtórzył Monchar. – Jeśli w tym czasie nie załatwisz sfinansowania transakcji, poszukam klienta o lepszych możliwościach płatniczych. Słyszałem, że pewien Hutt, niejaki Yanth, byłby bardzo zainteresowany towarem, który oferuję.

– Znam Yantha. Uwierz mi, nie chciałbyś wdawać się w interesy z kimś takim. Jest bardziej śliski niż szklany wąż.

– W takim razie przynieś pieniądze, a dobijemy targu.

Lorn zapamiętał adres i kiwnął głową. Monchar wyłączył miniprojektor.

– Dobra. W porządku – powiedział Lorn. – Zobaczymy się za godzinę. – Wstał i ruszył w stronę drzwi.

I-5 czekał na zewnątrz.

– No i co? – zapytał robot, gdy ruszyli w dół ulicy.

Lorn zreferował mu sprawę po drodze.

– A zatem mamy godzinę, a właściwie pięćdziesiąt pięć minut, żeby zebrać pięćset tysięcy kredytów. – Spojrzał na robota. – Masz jakiś pomysł?

– To niewątpliwie wspaniała okazja. Dla ciebie to wręcz życiowa szansa, choć ja spodziewam się zawrzeć parę lepszych transakcji, zważywszy, że będę żył około 7,4 do 7,6 razy dłużej niż ty, i to według bardzo ostrożnych szacunków, nie uwzględniających poważnych wypadków, klęsk żywiołowych, stanu wojny...

– Czas ucieka, a ty serwujesz mi jakieś statystyczne brednie. Pytanie brzmi: skąd wziąć pół miliona kredytów w ciągu niecałej godziny?

– To rzeczywiście problem.

– Moglibyśmy spróbować hazardu. Jestem dobry w sabaka.

– Od przypadku do przypadku. Gdyby było inaczej, nie bylibyśmy teraz w tak opłakanej sytuacji. A skoro nie mamy grosza przy duszy, kto z tutejszego półświatka złoży za nas kaucję dostatecznie wysoką, żebyś mógł przystąpić do gry o taką stawkę?

– Jeśli mam być szczery... to nikt – przyznał Lorn.

– A poza tym, ile czasu potrwałaby gra o taką kwotę, nawet gdyby

cię do niej dopuszczono? Nawet gdybyś oszukiwał i nie został na tym przyłapany... sądzisz, że udałoby ci się wygrać tyle w pięćdziesiąt pięć minut, nie licząc oczywiście dojazdu do mieszkania tego Neimoidianina?

– No dobra, sabak to zły pomysł. Zakładam, że zaproponujesz coś lepszego.

I-5 oczyścił swoje obwody głosowe, wydając dźwięk do złudzenia przypominający ludzkie odchrząknięcie.

– Jest tylko jedno realistyczne rozwiązanie: oszustwo bankowe.

Lorn aż przystanął i spojrzął na robota. Wpadł na niego Givianin, bąknął coś przepraszająco i ruszył dalej. Nie spuszczać wzroku z I-5, Lorn chwycił Givianina za wyrostek egzoszkieletu, przyciągnął bliżej i odebrał mu swój portfel. Dopiero wtedy odepchnął kieszonkowca.

– Słucham uważnie – powiedział do robota.

– Już od pewnego czasu rozważałem ten pomysł – powiedział I-5.

– Jako plan awaryjny na wypadek kompletnej katastrofy finansowej. Jeśli wprowadzimy go w życie, będziemy musieli uciec z Coruscant najprawdopodobniej na zawsze, chyba że postanowimy diametralnie zmienić swój wygląd zewnętrzny i przez resztę życia stale oglądać się przez ramię.

– Gdybyśmy mieli na koncie milion kredytów, moglibyśmy uciec daleko, daleko stąd – rozmarzył się Lorn. – Nie będę tęsknił. Moglibyśmy przenieść kram na którąś z bardziej odległych planet, gdzie Republika nie ma takich wpływów, zrobić parę mądrych inwestycji i do śmierci żyć jak królowie. To na czym ma polegać ten plan?

Ruszyli dalej ulicą, a I-5 przedstawiał Lornowi zarys swojego pomysłu. Nie mogli wprowadzić fizycznie wykraść pieniędzy, ale robot był przekonany, że zdoła się włamać do strumienia danych jednej z licznych na Coruscant instytucji bankowych i dokonać sfingowanego przelewu środków na ich konto osobiste. Robot audytorski banku na pewno wykryje taki przelew niemal natychmiast, dlatego odpowiednie zgranie w czasie było kluczem do powodzenia planu. Jeśli jednak wszystko pójdzie dobrze, Lorn będzie mógł pokazać Hathowi Moncharowi potwierdzoną tabliczkę kredytową opiewającą

na pół miliona kredytów. Większa kwota, wyjaśnił mu robot, uruchomi natychmiast automatyczne systemy zabezpieczające, jeśli natomiast spróbują dokonać przelewu po kontroli robota audytorskiego, bank wyłapie i udaremni taką próbę. Cała sztuczka polegała na tym, żeby Neimoidianin przyjął tabliczkę jako zapłatę i dokonał przelewu nieistniejących środków, zanim wyczerpie się ich czas.

– Będziemy musieli się pospieszyć – podsumował I-5. – Ale teoretycznie wszystko powinno zadziałać.

Lorn poczuł, jak oblewa go ciepła fala podniecenia. To się mogło udać. A jeśli się uda, wyjdzie z tego z holocronem wartym milion kredytów w ręku, zostawiając Neimoidianina nad pustą sakiewką. Szkoda gościa, ale takie jest życie w tej galaktyce. Lorn wiedział, że ten postępek nie będzie mu spędzał snu z powiek.

– Dobra, zróbmy to – zdecydował. – Jeśli się nie uda, nie będziemy w gorszej sytuacji niż teraz.

– Jeśli nie brać pod uwagę niewątpliwej możliwości, że spędzisz kolejne trzydzieści lat życia w celi republikańskiego więzienia na odległej asteroidzie, a ja przejdą kompletne czyszczenie pamięci, to rzeczywiście niewiele ryzykujemy.

– Przesadzasz z tym pesymizmem.

– Ty za to z optymizmem.

Lorn wiedział jednak, że I-5 podejmie ryzyko. Roboty programowano w taki sposób, żeby były bardziej uczciwe niż ludzie i inne gatunki naturalne, ale nie zawsze tak wychodziło. W obwody I-5 wkradła się chciwość, a blask kredytów przemawiał do niego tak samo jak do Lorna. Pewnie dlatego ich stosunki tak dobrze się układały.

Rozważając plan robota, Lorn poczuł przyływ nadziei, jakiej nie czuł od wielu lat. Uda się, a za zdobyte pieniądze urządzi sobie nowe życie gdzieś na Rubieżach. Było tam wiele światów, na których przy odpowiedniej ilości pieniędzy można było bez trudu zniknąć, przybierając nową tożsamość i nie wzbudzając nadmiernej ciekawości.

Nowe życie – tym razem prawdziwe życie. Może nie takie, jak to,

które wiódł kiedyś, ale na pewno lepsze niż obecna żalosna szarpanina.

To oczywiście oznaczało kres wszelkich szans, że kiedykolwiek zobaczy jeszcze Jaksę.

No i co z tego? – zapytał w jego głowie pełen gorzki głos. Tak jakbym teraz miał jakąkolwiek możliwość spotkania go. To już przeszłość. Czas zacząć żyć od nowa.

Tak. Przeszłość. Zamierzchna przeszłość.

Spojrzał na I-5 i chociaż metalowa twarz robota nie mogła zmienić wyrazu, miał wrażenie, że I-5 dokładnie wie, o czym Lom teraz myśli.

– Nie ma na co czekać – powiedział. – Hutt nadal się spodziewa, że przyniesiemy mu holocron. Nie chcemy go rozczarować, prawda? Znajdźmy jakiś port danych i zrobmy to.

ROZDZIAŁ

10

Los uśmiechnął się do Mahwi Lihnn. W drzwiach oberży Pod Dewbackiem wpadła na Neimoidianina, który akurat wychodził z gospody w towarzystwie zwalistego Trandoszanina. Olbrzym miał twarz bezwzględnego brutala, parę blasterów – po jednym na każdym biodrze – i sposób bycia ochroniarza, którym niewątpliwie był.

Lihnn szybko zastanowiła się, co robić. Miejsce było zbyt tłumne, żeby zdjąć strażnika i przejąć Monchara, musiała więc iść za nimi, aż okoliczności staną się bardziej sprzyjające. Schowała się w wąskim przejściu między budynkami i pozwoliła, by ją minęli. Już miała ruszyć za nimi w bezpiecznej odległości, gdy z gospody wyszedł ktoś jeszcze – postać w płaszczu i kapturze, dwunożna, rozmiarów człowieka, która szybko ukryła się w cieniu budynku po drugiej stronie ulicy. Lihnn nie dostrzegła jego twarzy, ale kimkolwiek był nieznamy, wyraźnie interesował się Moncharem.

Lihnn szybko schowała się za słupem.

Złodziej przymierzający się do rabunku? – zastanawiała się, obserwując osobnika. Bez względu na to, kim był, musiał mieć sporo pewności siebie, skoro nie odstraszył go uzbrojony ochroniarz.

Tak jak oczekiwała, zakapturzona postać podążyła za Neimoidianinem i Trandoszaninem, trzymając się w cieniu i poruszając tak niezauważalnie, że Mahwi nie mogła nie podziwiać jego kunsztu. Jeśli ten gość umie strzelać choć w połowie tak dobrze jak śledzić, mógł łatwo podziurawić Trandoszanina i zabrać się za główny cel.

Lihnn zmarszczyła brwi i wyjęła własny DL-44s z kabury. Zlecenie zaczynało się komplikować. Uznała, że najlepiej będzie jak najszybciej pozbyć się ochroniarza i tajemniczego, zakapturzonego prześladowcy. Jeśli będzie musiała, użyje granatu ogłuszającego, aby pozbawić Monchara przytomności, zapakuje w bąbel żelowy i w takim stanie dostarczy Gunrayowi, chociaż nie przypuszczała, żeby okazało się to konieczne. Nie spotkała nigdy odważnego Neimoidianina, ba – nawet nie słyszała o kimś takim i nie wierzyła, że Hath Monchar będzie wyjątkiem.

Darth Maul wtopił się w ciemność, stając się cieniem wśród cieni, duchem w cuchnącym mroku. W głębi ferrobetonowych kanionów zawsze panowała noc. Nieliczne lampy uliczne rozmieszczono rzadko, w dodatku w wielu miejscach elementy jarzeniowe były wypalone, rozkradzione albo rozbite przez wandalów. Maul nie miał problemów ze znalezieniem miejsc, w których mógłby się schować, tym bardziej że wlokąca się przed nim para nie miała pojęcia, że jest śledzona. Od czasu do czasu ochroniarz rozglądał się dookoła, żeby sprawdzić, czy w ich najbliższym otoczeniu nie czai się żadna groźba, ale widać było, że to prymityw bez żadnego wyszkolenia czy umiejętności. Maul nie musiał nawet korzystać z Mocy, aby ukryć się przed kimś takim.

Śledząc Neimoidianina i jego strażnika, Maul w pewnym momencie poczuł, że coś – nie prawdziwe niebezpieczeństwo, ale rodzaj niepokoju – dotyka jego świadomości. Rozejrzał się dookoła i zaczął uważnie nasłuchiwać, ale nie dostrzegł nic, co mogłoby być przyczyną tego wrażenia. Rozciągnął świadomość, pozwalając Ciemnym prądom Mocy popłynąć w przestrzeń dookoła, i dzięki temu wyczuł za sobą kogoś, kto bardzo się starał pozostać niezauważonym i niesłyszonym.

Pewnie jeszcze jedna drapieżna istota, polująca w tym koszmarnym miejscu na kolejną ofiarę. Rozpoznawszy źródło odebranego wrażenia, przestał się nim interesować. Nie wyczuł szczególnej koncentracji Mocy wokół tego osobnika, a zatem kimkolwiek był i jakie miał powody się tu znajdować, nie stanowił

zagrożenia.

Neimoidianin i jego ochroniarz szli okreśną drogą, zawracając i klucząc, ale w końcu dotarli do bloku małych pomieszczeń mieszkalnych, strzelającego w górę na jakieś dwanaście pięter i pewnie tyle samo w dół, po dwadzieścia kubików na piętrze. Para ściganych weszła do budynku przez durastalowe drzwi, które Monchar otworzył, przykładając kciuk do płytki zamka.

Maul chwilę odczekał, a potem podszedł do wejścia.

Mahwi Lihnn spóźniła się pod blok mieszkalny. Chociaż nie wiedziała dlaczego, czuła, że tajemniczy osobnik w płaszczu śledzący Neimoidianina w jakiś sposób wyczuł jej obecność. Nie sądziła, że ją zauważył. Poruszała się tak cicho i niepostrzeżenie, jak tylko umiała, a to coś znaczyło. Nadal jednak miała to dziwne uczucie, więc pozostała nieco z tyłu. Była przekonana, że gość w płaszczu na pewno nie zgubi Monchara, pozwoliła więc, żeby Neimoidianin i jego ochroniarz wysforowali się mocno do przodu, tak że straciła ich z oczu. Siedzenie śledzącego, a nie samej ofiary, było cokolwiek ryzykowne, ale uważała, że nie ma wyboru.

Dlatego też, zanim dotarła do budynku, Neimoidianin i jego ochroniarz byli już w środku, a przynajmniej tak zakładała – natomiast śledzący ich zakapturzony osobnik właśnie podchodził do drzwi.

Coś nagle rozbłysło – Mahwi nie wiedziała dokładnie co, bo sylwetka śledzącego zasłoniła źródło błysku. Na wszelki wypadek uskoczyła za kontener na śmieci. Kiedy zza niego wyjrzała, drzwi stały otworem, a zakapturzonego nie było nigdzie widać.

Lihnn wyjęła lewy blaster, pozostawiając prawą rękę wolną, żeby móc w każdej chwili użyć przymocowanej na nadgarstku wyrzutni rakiet – broni cichszej, a więc niekiedy wygodniejszej. Przebiegła na drugą stronę pogrążonej w mroku ulicy.

Dotarwszy do drzwi zatrzymała się jak wryta. W miejscu zamka świeciła dymiąca dziura o rozjarzonych krawędziach wytopionych tak równo, jakby ktoś wyciął je laserem chirurgicznym. Zamek i klamka

leżały na ziemi, nadtopione i dymiące po kontakcie z czymś, co je wycięło. Lihnn знаła tylko dwa narzędzia zdolne przeciąć durastal tak szybko i gładko – pochodnia plazmowa, zbyt duża, żeby mocją ukryć pod płaszczem, albo świetlny miecz.

A jedynymi ludźmi, którzy używali mieczy świetlnych, byli rycerze Jedi.

Lihnn przełknęła ślinę, nagle bowiem zaschło jej w ustach. Jeśli w sprawę zaangażowani byli Jedi, ryzyko wzrastało do nieskończoności. Z Jedi lepiej było nie zadzierać. Miało się wtedy do oddania jeden strzał, zanim Jedi się zorientuje, co jest grane; potem człowiek bardzo szybko kończył poszatkowany na kawałki. Widziała raz, jak Jedi odbija nadlatujące strzały z blastera swoim świetlnym mieczem. Coś takiego wymagało nadludzkiego refleksu.

Przez chwilą poważnie rozważała możliwość zawrócenia i powrotu do kosmoportu. Haako nie wspominał o Jedi.

Została jednak. Była zawodowcem wyszkolonym i u szczytu sprawności. Nie mogła sobie pozwolić, aby rozeszła się wiadomość, że wycofała się nie wykonawszy zleconego zadania – niezależnie od powodów. Nie mogła przecież być pewna, że zakapturzony prześladowca był na pewno rycerzem Jedi. Poza tym słyszała, że Jedi, choć tak wspaniale umieją walczyć, nie zabijają, chyba że naprawdę nie mają innego wyjścia. Nie chciałyby się znaleźć w sytuacji, w której musiałyby się przekonać, czy to prawda.

Trzeba po prostu od tej chwili działać bardzo powoli i ostrożnie.
Naprawdę powoli i ostrożnie.

Lorn i I-5 szli w dół wąskiej ulicy – samym środkiem, żeby uniknąć zaskoczenia przez ewentualnych rabusiów. Lorn ścisnął w kieszeni tuniki mały blaster; zauważył, że ręka jakoś bardziej niż zwykle mu się spociła. Myśl, że mógłby mieszkać na planecie, gdzie nie musiałby się martwić o takie rzeczy za każdym razem, gdy wychodzi na ulicę, wydała mu się nagle bardzo atrakcyjna. Oglądanie otoczenia w naturalnym świetle słonecznym też byłoby interesującą odmianą. Zbyt długo tu siedzieli. Zdecydowanie przyszedł czas na

odmianę.

– A więc przelew się udał, tak? – zapytał.

– Powtarzam ci to już siódmy raz: tak, udał się – powiedział I-5. Mamy dokładnie godzinę i dwadzieścia sześć minut, zanim robot audytorski wykryje i sprostuje błąd. Plus następne cztery, zanim namierzą naszą tabliczką kredytową. No i w zależności od tego, ile pracy będzie miała policja w danym rejonie, następne sześć do czternastu minut, zanim się pojawią, aby aresztować posiadacza tabliczki pod zarzutem kradzieży i nielegalnego użycia protokołu komunikacyjnego THX-113...

– Oszczędź mi szczegółów. Mamy niecałą godzinę i czterdzieści pięć minut, żeby zamknąć transakcję i zmyć się. Jak daleko jeszcze?

– Przy naszym tempie będziemy na miejscu za 2,6 minuty. Mamy mnóstwo czasu na wykonanie zadania, a potem przekazanie holocronu Hurtowi.

– Zakładając, że Neimoidianin nie będzie miał ochoty na rozmowę przy kielichu o sytuacji politycznej w Republice i ostatecznych wynikach rozgrywek w piłkę hi-lo.

– Ty będziesz kierował rozmową. Zakładam, że uda ci się wykręcić z pogawędki o pogodzie. Czas ucieka, a fałszywy identyfikator, którego użyłem do dokonania przelewu, daje nam zaledwie parę minut dodatkowej ochrony, gdy tutejsze władze dostaną w swoje ręce tabliczką kredytową. I tylko wtedy, jeśli założymy, że Hath Monchar nie poda twojego nazwiska aresztującemu go oficerom... co jest dość niebezpiecznym założeniem, bo ja na jego miejscu podałbym je natychmiast, tak samo jak ty, gdyby ktoś w taki sposób cię wykiwał. A wtedy będziemy siedzieć po uszy i audioreceptory w głównej bania. Więc lepiej omiń poczęstunek i częstą gadaninę i od razu przejdź do rzeczy. Przyjmij to za dobrą radę.

Odnalezienie Neimoidianina było dziecinnie łatwe. Ściany nie mogły zatrzymać ciekawskich palców Mocy. Dotarłszy do odpowiedniego mieszkania, wyczuł za drzwiami obecność czterech osób. Na pewno Monchar i ten ochroniarz, z którym Maul go widział.

Niewyraźne emanacje dwóch innych sugerowały powstrzymaną agresję. Pewnie kolejni strażnicy.

Mniejsza o to. Trzech strażników czy trzydziestu, efekt będzie taki sam. Dla Hatha Monchara nadszedł czas zapłaty za próbę wyprowadzenia w pole Lorda Sidiousa.

Darth Maul dobył dwustronny świetlny miecz zza pasa i położył kciuk na przycisku aktywatora. Wziął głęboki oddech, koncentrując się na zawirowaniach i pływach Mocy, a wyostrzywszy w ten sposób koncentrację i siłę, wyciągnął przed siebie wolną rękę, jakby chciał pchnąć niewidzialną kulę.

Roztrzaskane drzwi wpadły do środka.

Mahwi Lihnn szła słabo oświetlonymi korytarzami budynku z najwyższą ostrożnością, gotowa strzelać do wszystkiego, co się rusza. Otworzyły się drzwi, w których ukazała się stara kobieta, ale widząc Mahwi z wycelowanym blasterem, cofnęła się szybko do mieszkania.

Lihnn omal jej nie zastrzeliła. Udało jej się jednak powstrzymać palec zaciskający się na spuście.

To może być problem, stwierdziła. W tej dziurze były setki pokoi, a nie była w stanie przeszukać wszystkich. Początkowo planowała pójść za zakapturzonym osobnikiem, który dążył w to samo miejsce, ale chwila wstrząsu przy drzwiach wejściowych, gdy zorientowała się, w jaki sposób poradził sobie z zamkiem, wystarczyła, żeby jej ofiary zniknęły w labiryncie korytarzy. Lihnn wiedziała, że może tu błędzić całymi dniami i nie natrafić na Neimoidianina. Może powinna wyjść z budynku i zacząć się na nich przy wyjściu?

Problem polegał na tym, że nie wiedziała, po co zakapturzony gość ściga Monchara. Polecenie Federacji Handlowej było jasne: miała dostarczyć Hatha Monchara żywego. Jeśli szybko nie trafi na Neimoidianina, niewykluczone, że odnajdzie tylko jego zwłoki, co nie uszczęśliwi jej zleceniodawców.

Nie miała wyjścia, musiała kontynuować poszukiwania.

Wpadłszy do wnętrza, Maul natychmiast włączył świetlny miecz.

Jasne promienie wystrzeliły z obu końców rękojeści na pełną długość.

Obrzucił pokój spojrzeniem: Neimoidianin siedział na krześle w przeciwnym końcu. Dwa mackogłowy sięgnęły po blastery. Trandoszanin już miał swój w rękę i właśnie on wystrzelił.

Maul poruszył lekko mieczem, ustawiając broń pod odpowiednim kątem. Odbicie strzałów było łatwe; skierowanie ich rykoszetem w określonym kierunku nieco trudniejsze, ale przecież nie niemożliwe. Promień blastera odbił się od wysokoenergetycznego ostrza i poleciał w kierunku najbliższego mackogłowa, trafiając go w klatkę piersiową. Quarren padł.

Maul zmarszczył brwi. Odbity strzał trafił o dwa centymetry niżej niż zaplanował. Słaby wynik. Drugi wystrzał Trandoszanina rozciął już powietrze. Kolejny lekki ruch mieczem, wspomagany Ciemną Stroną, przechwycił strzał i skierował z powrotem tam, skąd przyleciał, trafiając Trandoszanina prosto w twarz. Ochroniarz padł, wstrząsany przedśmiertnymi drgawkami, z twarzą zmienioną w poczerniałą miazgę, prosto do stóp przerażonego Neimoidianina.

Tym razem poszło lepiej.

Maul podskoczył w stronę ostatniego Quarrena, który zdążył do połowy unieść broń. Mackogłów puścił dookoła rozpaczliwą serię, za nisko jednak, żeby uszkodzić cokolwiek oprócz podłogi. Miecz zatoczył łuk, a Maul jednym skrzętem nadgarstka przeciął szyję Quarrena.

Bitwa rozpoczęła się i zakończyła zbyt szybko, by Neimoidianin zdążył cokolwiek pomyśleć. Skulił się na krześle, wyciągając przed siebie ręce w obronnym geście. Nawet nie był uzbrojony.

Maul zgasił miecz i przypiął go z powrotem do paska. Rzucił pogardliwe spojrzenie na trzy trupy dookoła. Jego roboty bitewne potrafiły walczyć lepiej niż ta trójka. Żałosne.

Odwrócił się w stronę przerażonego Neimoidianina, powoli uniósł okryte rękawicami dłonie i zsunął z głowy kaptur, odsłaniając budzące grozę oblicze. Uśmiechnął się pokazując zęby, co tylko wzmogło przerażający efekt.

Ostry smród dołączył do woni śmierci w pokoju. Pęcherz Neimoidianina nie wytrzymał napięcia.

– Hath Monchar, prawda? – odezwał się Darth Maul. – Mamy parę spraw do omówienia.

Kiedy Lorn i I-5 dotarli do bloku mieszkalnego, robot oznajmił:

– Mamy około godziny i trzydziestu trzech minut. Musimy się spieszyć. Nawet zakładając, że spotkanie z Huttem pójdzie gładko, policja pewnie zacznie nas już szukać, gdy będziemy w drodze do kosmoportu.

– Nie martw się o mnie, bądź tylko przygotowany na... A niech mnie! Co się stało z drzwiami?

– Wygląda na to, że nie przypadły komuś do gustu – powiedział I-5. – Trudno się dziwić, w tej okolicy! Tak czy owak, to nie nasza sprawa. A teraz szybko!

Lorn przytaknął i wszedł do budynku. W niewielkim holu znalazł windę, która miała ich zawieźć na czwarte piętro, gdzie mieściło się mieszkanie Neimoidianina.

Moncharowi najwyraźniej nie wiodło się zbyt dobrze, jeśli musiał zatrzymać się w takim miejscu. A może po prostu bardzo chciał pozostać anonimowy. Tak czy owak, im szybciej pójdzie wymiana, tym bardziej Lorn będzie się cieszył. Czekać na windę, trzymać palce zaciśnięte na blasterze w kieszeni, próbując wyglądać beztrosko. Nonszalancja nie wychodziła mu najlepiej. Tabliczka kredytowa w jego portfelu parzyła go, jakby wykonano ją z rozszczepialnego materiału. Nie co dzień trafiało mu się płacić wyłudżonym z banku pół milionem kredytów.

Pochwycony uściskiem Ciemnej Strony Neimoidianin z trudem walczył o łyk powietrza. Lewa ręka Maula, wyciągnięta i uniesiona na poziomie gardła Monchara, zacisnęła się w pięść, a Neimoidianin poczuł, że się dusi.

– Dojrzałeś do rozmowy? – zapytał Maul.

Neimoidianin nie był w stanie mówić, ale zdołał kiwnąć głową. Szkarłatne żyłki w białkach jego oczu pociemniały pod wpływem niedotlenienia.

Maul rozluźnił pięść i uścisk Ciemnej Strony. Hath Monchar upadł na podłogę, z trudem łapiąc powietrze.

– Kto jeszcze wie?

– Nikt... tylko jeden człowiek, Lorn Pavan.

Maul wyczuł prawdę w tych słowach. Dobrze. Musiał więc zabić Neimoidianina, a potem odszukać i zabić człowieka. Jego nieprzyjemna misja wkrótce dobiegnie końca.

– Gdzie mogę teraz znaleźć tego Pavana?

– Nie wiem.

Maul ponownie zacisnął pięść. Monchar zakrztusił się, próbując nabrać powietrza. Maul puścił go.

– Gdzie?

– On... on przyjdzie tu kupić holocron!

– Kiedy?

– Teraz, zaraz. Może nadejść w każdej chwili.

Maul uśmiechnął się. Miał już wszystkie informacje, których potrzebował.

– Doskonale. To miło, że okazałeś się skłonny do współpracy, Monchar.

Monchar spojrział w górę na Maula. W jego oczach błysnęła nadzieja, zgasła jednak szybko, gdy wyczytał swój los w oczach gościa. Maul wyciągnął miecz.

– Czas umierać – powiedział.

– Zaczekaj! – W głosie Neimoidianina słychać było panikę. – Mogę ci zapłacić! Dam ci...każdy kredyt od tego człowieka będzie twój! Błagam...

– Wstań – rozkazał Maul. – Mógłbyś przynajmniej spotkać swój los bez skamlania i jęków.

Monchar był jednak zbyt porażony strachem, żeby go usłuchać. Maul poczuł odrazę do tego płaszczącego się stworzenia. Wolną rękę szarpnął do góry, podrywając Neimoidianina jak marionetkę. Monchar wisiał bezwładnie w uścisku Mocy.

– Niiieee!!!

Darth Maul zapalił miecz i zamachnął się nim poziomo; przerwał ostatnie słowa Neimoidianina, odcinając mu głowę. Dopiero wtedy

puścił go z uścisku Mocy, który podtrzymywał martwe ciało w pozycji pionowej, i popatrzył, jak pada.

Na podłodze za ciałem stał durastalowy sejf. Maul otworzył go starannym cięciem miecza. A oto holocron, o którym mówił Monchar. Maul wyłączył miecz, przypiął do paska i pochylił się, żeby zabrać kryształ. Zanim jednak dotknął go palcami, poczuł, że nie jest sam.

– Nie ruszaj się! – dobiegło od strony drzwi. – Nie próbuj nawet odetchnąć, bo usmażę cię tam, gdzie stoisz!

Maul spojrział w stronę drzwi. Stała tam kobieta w stroju wzmocnionym jedwabiem pancernego pajaka, celując do niego z pary Masterów.

Uświadomił sobie, że to ta sama osoba, której obecność wyczuł wcześniej. Skrzywił się z niezadowolenia. Spróbował wysondować jej umysł, ale łowczyni nagród – bo niewątpliwie nią była – okazała się zbyt skoncentrowana, żeby poddać się umysłowym sztuczkom.

Maul zastanowił się, co robić. Nie zdążył dobyć miecza, mimo swojej szybkości. Może uda mu się uchylić przed jednym strzałem, może nawet przed dwoma, ale osaczony w maleńkim pokoiku przez kobietę, która mogła oddać tuzin strzałów z każdego półautomatycznego blastera w ciągu pół sekundy, musiał jakoś odwrócić jej uwagę.

U jego stóp leżał blaster Trandoszanina. Nada się doskonale.

Posługując się Mocą, Darth Maul chwycił blaster ciemną macką energii i cisnął nim z całej siły w twarz kobiety.

Była szybka. Uchyliła się, strzelając do nadlatującego blastera. Spudłowała, ale moment odwrócenia uwagi wystarczył. Zanim broń odbiła się od ściany i upadła, Maul miał już w dłoni świetlny miecz. Włączył go w samą porę, żeby odbić następną blasterową serię. Dłonie Sitha poruszały się tak szybko, że wzrok nie nadążał za nimi. Poddał się Ciemnej Stronie, aż całkowicie nim opanowała, sterując ruchami rąk i ciała.

Wirujący miecz odbijał blasterowe strzały, kierując je w sufit, ściany, podłogę. Choć Maul nie miał czasu na celowanie, jeden czy dwa strzały trafiły w kobietę, nie czyniąc jej jednak żadnej szkody. Jej pancerne ubranie było widać najwyższej jakości.

Łowczyńni nagród rzuciła bezużyteczny blaster i sięgnęła do nadgarstka, gdzie miała przymocowaną wyrzutnię rakiet. Idiotka! – pomyślał ponuro Maul. Jeśli w pokoju eksploduje rakietka, zabije ich oboje!

Nie miał czasu, by ją powstrzymać. Poddał się więc prądom Mocy i przesunął z nadnaturalną prędkością w stronę najbliższej ściany – cienkiego panelu z tworzywa sztucznego. Puścił miecz w ruch obrotowy. Tworzywo roztopiło się łatwo pod wpływem gorącej plazmy ostrza, a Maul rzucił się przez otwór w ścianie, przeskoczył krzesło w sąsiednim pokoju – który na szczęście dla jego mieszkańców był w tej chwili pusty – i zarył jednym z ostrzy miecza w podłogę, wycinając w niej poszarpany owal. Wpadł przez sufit do mieszkania poniżej w tym samym momencie, gdy rakietka uderzyła w ścianę pokoju Neimoidianina i eksplodowała.

Lihnn nigdy nie widziała, żeby ktokolwiek poruszał się tak szybko jak ten mężczyzna z twarzą całą w tatuażach i z rogami na czaszce. Nie był ubrany jak Jedi, a jego biegłość w posługiwaniu się dwustronnym mieczem świetlnym znacznie przewyższała wszystko, co kiedykolwiek słyszała o tych rycerzach. Odbijał laserowe strzały, jakby to były muchy. A skoro tak, Lihnn nie była w stanie go powstrzymać. Tym samym mieczem posiekają na kawałki.

Zdesperowana sięgnęła do nadgarstka. Jedyłą szansą było wystrzelić rakietę prosto w przeciwnika i mieć nadzieję, że jego ciało zaabsorbuje dość energii wybuchu, żeby ona zdołała przeżyć. Ale w tej samej chwili, gdy zwolniła spust wyrzutni, wytatuowany mężczyzna zniknął bez śladu, a w solidnej ścianie ziała dziura, której nie było tam jeszcze przed ułamkiem sekundy.

Lihnn za późno spróbowała zatrzymać pocisk; mechanizm wyrzutowy nie zareagował, a rakietka wystrzeliła z jej nadgarstka. Skoczyła w stronę korytarza.

Lorn był przy drzwiach do mieszkania, w którym miał spotkać Neimoidianina, gdy nagła eksplozja odrzuciła go do tyłu na dobre trzy

metry, ciskając o ścianę w miejscu, gdzie krzyżowały się trzy odnogi korytarza. Uniesiony falą uderzeniową, zauważył przed sobą coś, co wyglądało jak ludzka postać szybująca w powietrzu i po chwili roztrzaskująca się o przeciwległą ścianę. W tej samej chwili sam uderzył w ścianę i przestał myśleć o czymkolwiek.

Był nieprzytomny zaledwie przez minutę czy dwie. Kiedy znów zdołał skupić wzrok, korytarz nadal wypełniały kłęby dymu i opadające szczątki. W uszach słyszał dzwonienie, które było albo efektem eksplozji, albo wyciem syren alarmowych, które włączyły się w całym budynku.

Lorn podniósł się z trudem, wyciągnął blaster i niepewnie ruszył do przodu. Przed sobą widział tylko parę nóg, niewątpliwie kobiecych, sterczących z dziury w ścianie, mógł więc z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że ich właścicielka była martwa.

Skreślił i zajrzał do mieszkania. Zwęglone, dymiące zwłoki czterech osób leżały na podłodze. Wszedł do środka. Jeden ze szerniałych trupów wyglądał trochę jak Monchar, ale trudno było to stwierdzić z całkowitą pewnością, zwłaszcza że nie miał głowy.

Lorn poczuł, że robi mu siej niedobrze. Zarówno od widoku, który miał przed oczami, jak i na myśl o tym, co on oznaczał – a mianowicie że Hath Monchar nie zawrze już z nikim żadnej transakcji. Był martwy, a Lorna i I-5 spotka zapewne to samo, jeśli nie opuszczą Coruscant w ciągu najbliższej godziny. A zatem cała afera bankowa była na nic!

Szlag by to trafił!

Lorn odwrócił się, żeby wybiec z pokoju. Nawet w tym sektorze eksplozja o podobnej sile ściągnie wkrótce policję. Musiał uciekać i to szybko. Już miał wyjść, gdy błysk w kącie pokoju przyciągnął jego uwagę. Odruchowo spojrział w tamtą stronę.

To, co zobaczył, spowodowało, że stanął jak wryty.

Czy to możliwe? Nie miał odwagi łudzić się nadzieją. Kiedy jednak podszedł bliżej i schylił się, dotarło do niego, że gra nie jest jeszcze skończona.

Kryształ holocronu spoczywał w na pół otwartym sejfie, który niewątpliwie ochronił go przed skutkami eksplozji. Lorn chwycił holocron, zacisnął mocno w jednej dłoni, bo w drugiej kurczowo trzymał blaster i dopiero teraz puścił się biegiem najszybciej, jak umiał, w dół korytarza, mijając zmieszanych i wystraszonych mieszkańców, którzy ostrożnie wychylali głowy zza drzwi, żeby zorientować się, co się stało. Wpadł do klatki schodowej. Miał jeszcze cień szansy, że razem z I-5 zdążą przekuć porażkę w zwycięstwo, ale musiał jak najszybciej znaleźć się jak najdalej stąd.

ROZDZIAŁ

11

Budynek, do którego weszła Darsha, był monadą – wysokim na kilometr, całkowicie samowystarczalnym środowiskiem. Nie tylko kompleksem mieszkalnym – olbrzymia budowla, jak niezliczone inne wieżowce strzelające w niebo Coruscant, zawierała niemal wszystko, czego jej mieszkańcy mogli potrzebować do życia: mieszkania, sklepy, ogrody hydroponiczne, a nawet wewnętrzne parki. Wiedziała, że wielu ludzi spędza praktycznie całe życie w tego rodzaju kompleksach, łącząc się przez HoloNet z biurami choćby na antypodach, bez wychodzenia na zewnątrz.

Nigdy dotąd nie rozumiała, co mogło ludzi pociągać w takim trybie życia. Teraz jednak przynajmniej pod jednym względem łączyło ją coś z mieszkańcami monady – też wolała się stąd nie ruszać. Jej niechęć nie wypływała jednak z nagłej agorafobii, ale z faktu, że opuszczenie budynku oznaczało nieuchronnie powrót do Świątyni Jedi, gdzie będzie musiała stanąć przed Radą i przyznać się do porażki.

Nie miała jednak wyjścia. Rada musiała dowiedzieć się o śmierci Fondorianina i to szybko. Jej obowiązkiem było zameldować o porażce, niezależnie od wstydu, jaki miało jej to przynieść.

Musiała wejść po schodach jeszcze cztery piętra, zanim dotarła na poziom, na którym działała turbowinda; pokonała nią kolejnych dziesięć poziomów. Znalazła się przy bramce strażniczej, której strzegł uzbrojony robot; bramka oddzielała getto dolnych poziomów od sprawnie działających górnych pięter monady. Robot przyjrzał się

jej podejrzliwie, ale przepuścił, gdy poznał, że należy do zakonu Jedi.

Wyszedłszy z budynku, Darsha znalazła się w bardziej znajomym świecie. Weszła na przezroczysty powietrzny most i spojrzała w dół przez permabetonową podłogę. Eleganckie ściany budynków wokół niej ginęły w dole w mroku i mgłę. Pod warstwą mgły znajdowała się otchłań, z której właśnie uciekła. Gdyby dano jej wybór, czy wrócić do slumsów, czy do świątyni, gdzie będzie musiała przyznać się do porażki, naprawdę nie wiedziałaby, co wybrać.

Nie miała jednak takiego wyboru.

Udała się na postój taksówek powietrznych, zdając sobie sprawę z tego, że jej poszarpane ubranie i opatrunki przyciągają uwagę przechodniów. Nadal tkwiąc w pułapce pomiędzy tymi dwoma światami, pomyślała.

Na tabliczce awaryjnej pozostało dość kredytów na powrót do świątyni. Siadając na tylnym siedzeniu taksówki, Darsha poczuła, że ogrania ją znużenie. Starła się nie zasnąć, bo czuła, że senność jest nie tyle reakcją na próby, którym została poddana, ile usiłowaniem ucieczki przed tym, co niosła przyszłość.

Podróż trwała stanowczo za krótko. Darsha zapłaciła kierowcy i weszła do świątyni. Od kiedy sięgała pamięcią, przejście przez te drzwi zawsze przynosiło jej ulgę. Oznaczało azyl, bezpieczeństwo, powrót do miejsca, do którego troski i kłopoty reszty świata nie miały wstępu. Teraz jednak, widząc wysokie ściany i miękkie światło, odczuła zmęczenie i atak klaustrofobii.

Potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami. Lepiej z tym skończyć. O tej porze najprawdopodobniej znajdzie mistrza Bondarę w jego kwaterze. Najpierw zamelduje się u swojego nauczyciela; potem oboje stawią się przed Radą.

Darth Maul popełnił błąd.

Potworność tego faktu ciążyła mu jak olbrzymia planetoida. Nie docenił łowczyni nagród, bo nie była silna Mocą. Ta pomyłka omal nie kosztowała go życia – to dopiero byłaby hańba, gdyby zginął z ręki pospolitego łowcy nagród, on, szkolony, żeby walczyć i zabijać

Jedi!

Nie powinien przyjmować tak niebezpiecznych założeń.

Nie robi tego więcej.

Wiedział, jaki musi być jego kolejny ruch. Hath Monchar nie żył, ale pozostawał mężczyzną, z którym się kontaktował. Kiedy Maul wychodził z budynku, zaczęła już się tam pojawiać policja i roboty strażackie. Obwodów kognitywnych robota nie dałoby się zwieść, otaczając się płaszczem Mocy, musiał więc szybko przemykać pogrążonymi w cieniu ulicami, aby uniknąć przesłuchania.

Znalazł opuszczony ślepy zaułek kilka przecznic dalej i uruchomił podręczny komunikator. Po chwili pojawił się przed nim wizerunek Dartha Sidiousa.

– Powiedz, jakie postępy poczyniłeś – rozkazał Sidious.

– Zdrajca Hath Monchar nie żyje. Podzielił się swoją wiedzą z jedną tylko osobą, mężczyzną o nazwisku Pavan. Znam adres tego człowieka. Udam się tam teraz, żeby go zabić.

– Doskonale. Zrób to jak najszybciej. Jesteś pewien, że nikt więcej się nie dowiedział?

– Tak, mistrzu. Bardzo dokładnie... – Maul przerwał, bo uświadomił sobie nagle coś strasznego. Holocron!

Jak zawsze Sidious od razu się zorientował, że coś jest nie tak.

– O co chodzi? – zapytał.

Darth Maul wiedział, że musi się przyznać do porażki. Nie zawahał się. Nawet do głowy by mu nie przyszło okłamywać mistrza.

– Monchar miał holocron, na którym zapisał informacje. Miałem okazję zabrać kryształ, ale zawiodłem. – Nie było sensu próbować się tłumaczyć, opowiadać Sidiousowi o niespodziewanym pojawieniu się łowczyni nagród i eksplozji, która później nastąpiła. Jedyne, co się liczyło, to że nie zabrał holocronu.

Maul zauważył, że Darth Sidious mruży oczy w wyrazie potępienia.

– Rozczarowałeś mnie, Lordzie Maul.

Słowa przeszyły go jak lodowate ostrze. Nie okazał jednak swoich uczuć.

– Ogromnie żałuję, mój panie.

– Twoje zadanie jest więc dwojakie: zniszczyć Pavana i odnaleźć kryształ.

– Tak, mój panie.

Sidious przyglądał się przez chwilę Maulowi.

– Nie zawieź mnie tym razem – powiedział i hologram zniknął.

Darth Maul stał nieporuszony w odwiecznym mroku powierzchni miasta. Oddychał równo i spokojnie. Tylko ktoś wyszkolony w śledzeniu przepływów Mocy wyczułby mroczne wzburzenie, które w nim szalało.

Jego mistrz go skarcił. I miał słuszność. Ten kryształ mógł zniweczyć wszystkie starannie przygotowane plany Dartha Sidiouisa. I to on, Darth Maul, dziedzic spuścizny Sithów, zostawił go, ratując własne życie.

Głupiec!

Maul nabrał w płuca powietrza. Nie miał czasu na robienie sobie wyrzutów. Kubik mieszkalny Neimoidianina był już pewnie pełen robotów policyjnych szukających śladów, które mogłyby wytłumaczyć eksplozję. Na pewno nie przegapią kryształu informacyjnego spoczywającego w otwartym sejfie.

Istniała oczywiście również możliwość, że holocron uległ zniszczeniu podczas wybuchu, ale nie wolno mu na to liczyć. Musi wrócić i dowiedzieć się co się stało z kryształem, nawet gdyby w pokoju Monchara tłoczyły się wszystkie roboty policyjne Coruscant.

A kiedy już znajdzie holocron i zlikwiduje mężczyznę, podda się karze, jaką Darth Sidious niewątpliwie mu wymierzy za jego pożałowania godną porażkę.

Maul wyszedł z zaułka i ruszył z powrotem w stronę budynku.

Lorn znalazł I-5 próbującego dostać się na pierwsze piętro; bez skutku, bo tłum przerażonych mieszkańców zatarasował wszystkie wyjścia. Choć metalowa twarz robota pozostawała jak zawsze bez wyrazu, Lorn widział jego niepokój, a potem ulgę, kiedy współnik go zauważył.

– Wychodzimy stąd – mruknął Lorn do robota. -I to szybko.

– Niezwykle przebiegła rada.

Szybkim krokiem oddalili się o parę przecznic od miejsca eksplozji. Dopiero tam I-5 powiedział:

– Wygląda na to, że nie wszystko poszło zgodnie z planem.

– Uwielbiam te twoje eufemizmy. – Lorn wyjaśnił mu pokrótce, co się stało. – Nie mam pojęcia, kim była ta martwa kobieta. Nie mam pojęcia, co spowodowało eksplozję. Nie mam pojęcia, kto zabił Neimoidianina i jego osiłków. Mam jednak to. – Wyciągnął z kieszeni holocron.

I-5 wziął od niego kryształ i dokładnie mu się przyjrzał.

– Wygląda na zakodowany – powiedział. – Niewątpliwie zawiera jakieś informacje. Bez aktywacji holocronu trudno jednak powiedzieć, czy są to plany blokady handlowej Naboo, czy przepis na alderaaniański gulasz.

– Lepiej, żeby było tak, jak twierdził Monchar. – Lorn spojrział na zegarek. – Ledwie starczy nam czasu na spotkanie z Hurtem i dotarcie do kosmoportu.

– Przypuszczam, że mamy dodatkowo jakieś pół godziny. Większość miejscowej policji będzie bardziej zainteresowana eksplozją niż łapaniem nas. Zgadzam się jednak, że pospieszny odwrót byłby wskazany. Pozwoliłem sobie wykorzystać część naszego chwilowego bogactwa na zarezerwowanie dwóch miejsc na transportowcu z przyprawą lecącym na Rubieże. Kiedy dostaniemy pieniądze od Hutta, będziemy mogli zapłacić gotówką.

Lorn kiwnął głową. I-5 miał rację – najważniejszą rzeczą było teraz jak najszybsze pozbycie się holocronu i odlot z planety. Z całą pewnością ten, kto wykończył Monchara, szukał właśnie kryształu, a Lorn zdecydowanie nie chciał tego kogoś poznać. Nadal miał przed oczami wyraźny obraz pozbawionego głowy ciała Neimoidianina na podłodze mieszkania, w otoczeniu martwych strażników. Jeden z nich też nie miał głowy.

Nagle stanął, uświadomiwszy sobie coś, co do tej pory umknęło jego uwadze. I-5 spojrział na niego i szybko wyciągnął go spod między tłumem przechodniów.

– O co chodzi?

– Nie było krwi – poinformował Lorn.

I-5 nie odpowiedział. Czekał.

– Ten, kto załatwił Monchara, odciął mu głowę. Jeden ze strażników, Quarren, został potraktowany podobnie. Ale wokół nie było w ogóle krwi. Rozumiesz? Ani śladu. A to oznacza...

– Koagulację. Zasklepienie odsłoniętych tkanek pod wpływem nagłej, wysokiej temperatury. – I-5 przerwał, a Lorn wiedział, że doszedł do tego samego wniosku co on. – Może szybki poziomy ruch blastera nastawionego na ciągły ogień...

– Strumień cząstek z ręcznego blastera, nawet z DL-44, nie ma dostatecznie wysokiej temperatury. Wycelowany prosto może i jest w stanie zasklepić ranę, ale w przypadku całej szyi trwałoby to dość długo. Ktoś musiałby to zrobić już po śmierci Monchara, co nie miałoby sensu.

– Jest tylko jedna broń zdolna dokonać tego momentalnie. Ta sama. której użyto do wyciągnięcia zamka z durastalowych drzwi.

– Miecz świetlny. -I-5 rozejrzał się dookoła, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje. – Twierdzisz, że Monchara zabił Jedi?

– Chociaż trudno mi to przyznać, egzekucje nie leżą w ich stylu. – Lornowi nagle zaschło w ustach; musiał kilkakrotnie przełknąć ślinę, zanim był w stanie mówić dalej. – Co pozostawia nam tylko jedno logiczne rozwiązanie.

– Sith? To niemożliwe. Ostatni z nich zginął tysiące lat temu.

– Takie jest powszechne przekonanie. Ale to jedyny sensowny wniosek. Jedi przez tysiąclecia trzymali w tajemnicy sekret wyrobu świetlnego miecza. Aby go zbudować i użyć, trzeba umieć posługiwać się Mocą. A oprócz Jedi tylko zakon Sithów był znany z tego, że jej używał.

– A może to po prostu zbuntowany Jedi? Cierpiący na jakiś rodzaj psychozy? Zauważyłem, że istoty organiczne są bardzo podatne na takie zaburzenia. Myślę, że posuwasz się za daleko w swoich wnioskach – powiedział I-5.

– Nieprawda. – Lorn złapał robota za rękę i pociągnął za sobą; szli teraz szybciej niż poprzednio. – Mam zamiar wskoczyć na ten

przyprawowy transportowiec i wynieść się z tej przeinwestowanej kupy skał. Razem z tobą. – Rozejrzał się i wypatrzył publiczny dezintegrator śmieci po drugiej stronie ulicy. Zaczął kierować się w jego stronę, ciągnąc za sobą robota. – I pozbyć się tego holocronu.

Zatrzymali się przed otworem dezintegratora. Lorn wyjął z kieszeni kryształ, ale zanim zdążył wyrzucić, I-5 złapał go za rękę.

– Oszalałeś! – powiedział. – Ten holocron jest naszą jedyną szansą na rozpoczęcie nowego życia. Jak zapłacimy za przelot? Nie możemy tak po prostu...

Lorn pchnął robota pod pokrytą graffiti ścianę wielkiego budynku oczyszczalni ścieków. Przechodnie najrozmaitszych ras mijali ich, nie zwracając uwagi na incydent.

– Słuchaj – powiedział Lorn przez zaciśnięte zęby. – Jeśli mam rację, gdzieś tu krąży Sith. Pewnie szuka właśnie tego – podsunął holocron pod fotoreceptory robota. – Nie można go kupić, nie można go odstraszyć, nie można go zgubić. Nic go nie powstrzyma przed zabranie nam tego holocronu. Nie chcę, żeby moja szyja zasklepiła się pod wpływem kontaktu z jego mieczem świetlnym.

– Przyjmijmy, że masz rację- odparł I-5. – Przyjmijmy, że tajemniczym zabójcą Monchara jest Sith. Przyjmijmy, że szuka holocronu i wie, że to my go mamy. Przyjmijmy, że przyprze nas do muru, zanim dotrzemy do Hutta, i zażąda, byśmy mu oddali holocron. Czym go bardziej uszczęśliwimy: oddając mu kryształ czy mówiąc, że wpadł do dezintegratora?

Lorn zamilkł, próbując opanować panikę. Wiedział, że już nie kieruje się rozumem – a w każdym razie nie tą częścią mózgu, która mieściła się pod czołem. Myślał teraz najbardziej prymitywną jego częścią, odpowiedzialną za podstawowe decyzje: uciekać czy walczyć.

Jednak takie podejście – a konkretnie „uciekać” – wydawało się jedynym możliwym rozwiązaniem. W swoim poprzednim życiu Lorn dokładnie przestudiował wiadomości o Sithach i wiedział, że to fanatycy czystej wody. Jeśli Sith deptał im po piętach, najrozsądniejszym wyjściem było jak najszybciej znaleźć się na drugim krańcu galaktyki.

Musiał jednak przyznać, że argument I-5 miał sens. W końcu

przekazanie holocronu Hunowi mogło wystarczyć, żeby Sith przestał się nimi interesować. Założenie, że szukał kryształu, a nie ich, wydawało się rozsądne.

Poza tym wszystko opierało się na przypuszczeniu, że to Sith zabił Monchara. Ale galaktyka jest ogromna, a Coruscant to największy tygiel ras i gatunków ze wszystkich zamieszkałych światów. Istniała możliwość, że ktoś – nie Jedi i nie Sith – zdobył miecz świetlny i nauczył się nim posługiwać. W końcu odcięcie czyjejś głowy od szyi nie wymagało chyba szczególnie zaawansowanych umiejętności w posługiwaniu się Mocą.

Wszystkie te argumenty nie uspokoiły jednak Lorna. Gdyby zdali się tylko na łut szczęścia, nie przeżyliby z I-5 na najniższych poziomach miasta. Sam nieraz powtarzał robotowi, że nie chodzi o to, by mieć manię prześladowczą, tylko by mieć ją rozwiniętą w odpowiednim stopniu.

Nie mieli jednak specjalnie wielu możliwości. Mogli zatrzymać holocron i pozostać na Coruscant w nadziei, że oddanie go zabójcy Monchara odwiedzi go od pomysłu dekapitacji. Albo mogli sprzedać go, z uzyskanych kredytów opłacić ucieczkę i mieć nadzieję, że nikt ich nie będzie ścigał.

Żadna z tych możliwości nie dawała im wielkich szans na dożycie spokojnej starości.

Lorn westchnął i puścił robota.

– Dobra – powiedział. – Chodźmy do tego Hutta.

ROZDZIAŁ

12

Sam w swojej sekretnej komnacie Darth Sidious kontemlował rozwój ostatnich wypadków.

Pod wieloma względami Darth Maul był wzorowym uczniem. Jego lojalność była niekwestionowana i niewzruszona; Sidious wiedział, że jeśli otrzyma taki rozkaz, Maul poświęci własne życie bez chwili wahania. A jego umiejętności jako wojownika nie miały sobie równych.

Mimo wszystko jednak Maul miał swoje wady, a wśród nich najważniejsza była pycha. Choć nic nie powiedział, gdy powierzano mu zadanie, Sidious wiedział, że według Maula taka misja była poniżej jego możliwości. Były chwile – i to nierzadkie – kiedy Sidious widział, jak aura Maula pulsuje ciemną plamą niecierpliwości. Czasami się zastanawiał, czy nie wzbudził w swoim uczniu zbyt wielkiej nienawiści do Jedi i wszystkiego, co sobą reprezentowali. Maul miał tendencję do przesadnego koncentrowania się na kwestii ich zniszczenia kosztem znacznie szerszej zakrojonych planów.

Jednak Sidious ani przez chwilę nie wątpił, że Maul wywiąże się z zadania, które mu wyznaczył. Można było się spodziewać komplikacji i przeciwności, które jednak niewątpliwie zostaną przewyciężone. Przede wszystkim liczył się wielki plan, a tu sytuacja rozwijała się z minuty na minutę. Wkrótce Jedi zostaną wycięci co do nogi. To powinno zadowolić jego popędliwego wychowanka.

Wkrótce. Już niedługo.

Kiedy mistrz Anoon Bondara wysłuchał relacji Darshy, siedział w milczeniu przez kilka minut. Były to prawdopodobnie najdłuższe minuty w życiu padawanki. Twi'lekianin siedział z pochyloną głową i złączonymi palcami, wpatrując się w podłogę. Jego postawa w niczym nie zdradzała, o czym myśli. Nawet jego lekku przestały się poruszać. Darsha wyobrażała sobie jednak dość dokładnie, że niezależnie od tego, jakie myśli chodzą po głowie jej mistrza, nie wróżą najlepiej jej przyszłej kariery jako Jedi.

W końcu mistrz Bondara westchnął i uniósł głowę. Napotkał wzrok swej uczennicy.

– Cieszę się, że wyszłaś z tego żywa – powiedział, a Darsha poczuła, jak wzbiera w niej z przemożną siłą wdzięczność i miłość do nauczyciela. Jej bezpieczeństwo więcej znaczyło dla mistrza Bondary niż powodzenie misji.

A teraz powiedz – ciągnął Twi'lekianin – czy widziałaś, jak umarł Fondorianin?

– Nie. Ale to niemożliwe, aby przeżył upadek z takiej...

Mistrz Bondara uniósł dłoń, przerywając jej.

– Nie widziałaś, jak umarł, i zakładam też, że nie wyczułaś żadnego zakłócenia w Mocy, które mogłoby świadczyć o jego śmierci.

Darsha powróciła myślami do koszmarnych wydarzeń sprzed kilku godzin. Analizowanie fal Mocy pod kątem tak drobnego zakłócenia nie było jej priorytetem w tamtej chwili. Czy odczułaby je, zaabsorbowana ratowaniem własnego życia? Jej mistrz na pewno by wyczuł, co do tego nie miała wątpliwości. Ale czy ona była równie mocno zespolona z Mocą?

– Nie... – odpowiedziała powoli i poczuła się w obowiązku dodać:
– Ale w tych okolicznościach...

– Okoliczności trudno nazwać sprzyjającymi, to prawda – przyznał mistrz Bondara. – Ale dopóki jest choć cień szansy, że Oolth nadal żyje, musimy to sprawdzić. Tak ważne są informacje, których może udzielić.

– Mam wrócić tam i potwierdzić jego śmierć? – Na samą myśl o powrocie do Karmazynowego Korytarza ciarki przeszły jej po plecach.

Wiedziała jednak, że jeśli będzie to konieczne, zrobi to bez wahania.

Mistrz Bondara wstał; widać było, że podjął nieodwołalną decyzję.

– Udamy się tam razem. Chodźmy! – ruszył w stronę drzwi do swoich komnat, a Darsha pospieszyła w jego ślady.

– A co z Radą? Czy nie powinniśmy powiedzieć im...

Rycerz zatrzymał się przed drzwiami i spojrzał na swoją padawanę.

– Co powiedzieć? Na razie nie mamy nic definitywnego do zakomunikowania. Kiedy już sprawdzimy, czy Fondorianin żyje, czy też nie, wtedy ich zawiadomimy.

Odwrócił się w stronę płyty drzwi, która rozsunęła się przed nim, i ruszył korytarzem. Darsha szła za nim i powoli uświadamiała sobie, że jest jeszcze szansa, choć nieskończenie mała, że jej misja nie zakończy się niepowodzeniem. Był to wprawdzie zaledwie wąty cień szansy, ale dopóki istniał, nie mogła z niej nie skorzystać.

Maul postawił kołnierz i przypiął miecz do pasa, wchodząc do budynku. Na szczęście wstępu bronił żywy oficer, nie robot; wypytywał wszystkich wchodzących i wychodzących o cel ich wizyty. Śmiesznie łatwo było Maulowi otoczyć się ochronnym płaszczem Mocy i przejść niezauważenie obok głupawego oficera.

Roboty z ekipy technicznej przeprowadzały właśnie laserowy skan pomieszczenia, gdy dotarł tam Maul. Pracowało tu też dwóch kryminologów – Mrlssi i Sullustianin. Maul stał w korytarzu, nasłuchując strzępków rozmów dochodzących z apartamentu. Nie usłyszał nic, co kazałoby mu sądzić, że ekipa znalazła holocron. Ostrożnie zbadał umysły najpierw Mrlssi, potem Sullustianina, ale nie natrafił na żadne myśli na temat kryształu. Nadal osłonięty Ciemną Stroną Mocy przeszedł obok drzwi do apartamentu, przyglądając się uważnie otwartemu sejfowi. Nie było w nim holocronu. Maul zaczął się zastanawiać, co się stało. Jeśli kryształu nie było, musiał go zabrać ktoś inny, nie policja. Kim był ten ktoś? Oczywiście potencjalny kupiec, którego nadejścia oczekiwał Monchar; mężczyzna znany jako Lorn Pavan. Cieszył się na myśl o tym, że wkrótce dostanie go w

swoje ręce.

Darth Maul odwrócił się i skierował w stronę wyjścia.

Teraz miał podwójny motyw, żeby odszukać mężczyznę i jego robota. Bez wątplenia należało rozpocząć poszukiwania w tym żalonym podziemnym kubiku mieszkalnym. Znajdował się zresztą niedaleko -zaledwie kilka minut drogi od miejsca, gdzie był teraz Maul.

Jeśli los się do niego uśmiechnie, będą to zarazem ostatnie minuty życia Lorna Pavana.

Lorn nie uważał się za ksenofoba – w końcu przy jego sposobie zarabiania na życie przez ostatnie pół dekady uprzedzenia w stosunku do innych ras nie tylko zaszkodziłyby mu w interesach, ale wręcz mogły je uniemożliwić.

Nie cierpiał jednak kontaktów z Huttami.

Wszystko w tych olbrzymich ślimakach budziło jego odrazę: wielkie gadzie oczy; odrażający, pełzający sposób poruszania się a przede wszystkim oślizgła, pokryta śluzem skóra. Samo przebywanie w jednym pokoju z Yanthem wywoływało w nim obrzydzenie, które z najwyższym trudem ukrywał.

Yanth był młody jak na Hutta – nie miał nawet pięciuset standardowych lat. Dzięki sprytowi i przebiegłości szybko jednak awansował w hierarchii przestępczego podziemia. Chociaż Lorn z trudem wytrzymał w jednym pokoju z tym przerośniętym ślimakiem, nie mógł zaprzeczyć, że czuje niechętny podziw dla jego braku skrupułów, przebiegłości i pomysłowości. Nikt nie potrafił rozgryźć skomplikowanej sytuacji tak szybko i tak kompleksowo jak Yanth.

W tej chwili spoczywał na podium w swej podziemnej kwaterze, od niechcienia pykał chakroot hookah, jednocześnie badając kryształ holocronu. Kilku gamorrańskich strażników stało w pobliżu, obserwując Lorna i I-5.

– Dlaczego nie poszedłeś z tym prosto do Jedi? – zapytał Hutt Lorna dudniącym głosem, którego głębokie wibracje odezwały się

nieprzyjemnym echem we wnętrzościach Lorna. – To byłby najbardziej logiczny krok.

Lorn nie widział powodu, żeby rozwodzić się nad osobistą niechęcią do Jedi przed Yanthem.

– Twierdzą, że dysponują bardzo niewielkimi funduszami na tego rodzaju cele – powiedział. – Zresztą tymi swoimi sztuczkami mogliby skłonić mnie, żebym go oddał za darmo. – Zerknął ukradkiem na zegarek i dodał: – To jak, jesteś zainteresowany czy nie? Zawsze mogę go zabrać bezpośrednio do przedstawicieli Naboo na Coruscant.

Yanth wykonał tłustą ręką gest, który miał uspokoić Lorna.

– Cierpliwości, przyjacielu. Tak, jestem zainteresowany. Ale... proszę, nie traktuj tego jako wyrazu najmniejszych wątpliwości co do twojej osoby... byłbym głupcem, gdybym nie sprawdził autentyczności holocronu, zanim wręcę ci taką kupę kredytów.

Lorn starał się, żeby jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Jeśli Yanth się dowie, jak bardzo czas ich goni, bez skrupułów wykorzysta to, żeby zapłacić niższą cenę. Z drugiej strony, czas naprawdę uciekał.

– A jak niby masz zamiar to zrobić?

Yanth uśmiechnął się tylko i przekreślił kilkakrotnie ścianki kryształu w różnych kierunkach, manipulując nim od niechcienia, jakby to była dziecięca zabawka zrzecznościowa. Po chwili górna ścianka holocronu wysłała w powietrze promień światła, który uformował się w jaśniejące słowa i znaki; przesunęły się powoli w górę hologramu, a po chwili zgasły. Lorn był za daleko, żeby odczytać tekst, a poza tym znajdował się po przeciwnej stronie obrazu, więc litery i znaki musiałby czytać wspak. Wyglądało na to, że tekst jest we wspólnym, a diagramy wyglądały jak schematy gwiazdnych myśliwców Naboo-1 i statków Federacji Handlowej.

Yanth obrócił ściankę kryształu i obraz zniknął.

– Uruchomienie takiego holocronu wymaga czasem trochę zachodu – powiedział. – Ale Neimoidianie jako gatunek nie są zbyt bystrzy.

Tym razem odpowiedział mu I-5.

– Świetnie. Teraz już wiesz, że towar jest prawdziwy. Chcemy za niego milion kredytów.

– Zgoda – odparł Yanth ku zaskoczeniu Lorna. – Jest wart dziesięć razy tyle. – Hutt odwrócił się w stronę konsoli sterowniczej i wcisnął przycisk.

Lora pozwolił sobie rzucić okiem na zegarek. Nadal mieli szansę dotrzeć do kosmoportu, jeśli wszystko pójdzie gładko. Za godzinę Coruscant, tajemniczy zabójca Sith i policja przestaną być dla nich problemem.

Darth Maul schludnie i szybko wyciął zamek podziemnego mieszkania jednym z ostrzy świetlnego miecza, podobnie jak wcześniej w budynku Hatha Monchara. Szybko wszedł do środka, pozwalając, żeby drzwi same zasunęły się za nim. Surowe światło jarzeniowe włączyło się samoczynnie, oświetlając mieszkanie jeszcze mniejsze i bardziej obskurne niż to, które wynajmował Neimoidianin. Pokój był pusty. Jedyne miejsce, w którym można by się ukryć, był moduł odświeżający; wystarczyły sekundy i upewnił się, że tam też nikogo nie ma.

Maul podszedł do tej części ściany, na której wisiał holoprojektor i nagrywarka wiadomości. Włączył odtwarzanie. W powietrzu uformował się obraz Hutta. Maul rozpoznał go: to był Yanth, gangster szybko pnący się w górę w organizacji Czarne Słońce, jeden z niewielu, którzy przeżyli rzeź dokonaną niedawno przez Maula.

Wizerunek Hutta odezwał się:

– Lorn myślałem, że spotkamy się dzisiaj, żeby omówić sprawę pewnego holocronu, który chciałeś mi pokazać. Chyba wiesz, że to nieuprzejme kazać czekać klientowi?

Maul odwrócił się i szybkim krokiem opuścił mieszkanie.

ROZDZIAŁ

13

Darsha Assant zbyt prędko jak na swój gust znalazła się z powrotem w trzewiach Coruscant.

Kiedy uciekała stąd wcześniej tego samego dnia, przewidywała, że o tej porze, pozbawiona pozycji padawanki, będzie się przenosić do korpusu rolniczego. Wyobrażała sobie, jak pakuje rzeczy i żegna się z przyjaciółmi. Nawet przez myśl jej nie przemknęło, że mogłaby powrócić do miejsca swojej hańby w towarzystwie nauczyciela.

A jednak tak właśnie się stało; siedziała obok Anoona Bondary w jego czteroosobowym aerowozie, kierując się z powrotem ku Karmazynowemu Korytarzowi i monadzie, przy której straciła z oczu Fondorianina i o mało nie straciła życia.

Ścieżki Mocy były naprawdę nieprzewidywalne.

– To tam – powiedziała, wskazując na wieżowiec wznoszący się na wprost nich, surowy i nagi w świetle popołudniowego słońca. – Tam na dole.

Mistrz Bondara nie odpowiedział; wyprowadzał akurat aerowóz ze strumienia innych pojazdów podążających powietrzną aleją. Weszli w pionowy korytarz w dół i zaczęli opadać w kierunku powierzchni planety.

Mgła zalegająca zawsze na wysokości około stu metrów, która odcinała ożywione górne poziomy miasta od slumsów poniżej, spowiła ich, rozwiła się już po chwili i ukazała pogrążone w mroku ulice. Choć na górze panował jeszcze dzień, tu w najlepszym wypadku można było mówić o ponurym zmierzchu.

Darsha obserwowała ścianę budynku, wzdłuż której opadali; pokazała nauczycielowi hak pistoletu harpunniczego nadal wbity w parapet. Dalej spadali wzdłuż jego liny, w ciemniejące opary dolnego miasta.

Dziesięć metrów nad chodnikiem mistrz Bondara włączył reflektory, które oświetliły fragment ulicy pod nimi. Wyglądając przez burzę Darsha zauważyła sylwetki istot przyzwyczajonych od dawna raczej do mroku niż ciemności; szybko umknęły w cień.

Nigdzie nie było widać Fondorianina. Jego ciało z pewnością zawlekły gdzieś padlinożerne istoty zamieszkujące Karmazynowy Korytarz. Zauważyła jednak ciemną plamę zaschniętej krwi na chodniku, a obok ciało jastrzębionietoperza ze skrzyconym podczas upadku karkiem. Mistrz Bondara skierował w tę stronę jeden z reflektorów i przyjrzał się plamie oraz zwierzęcym zwłokom. Jego lekko zadrgały. Obserwując go, Darsha zrozumiała, że oto umarła ostatnia nadzieja na to, że jej misja się uda.

– Co teraz zrobimy? – zapytała cicho.

Przed chwilę nie odpowiadał. Wreszcie westchnął i powiedział:

– Wrócimy do świątyni. Musimy zawiadomić Radę o tym, co się stało.

A więc koniec, pomyślała. Co najdziwniejsze, teraz, kiedy jej nadzieje zgasły, nie czuła przytłaczającego smutku, którego się spodziewała. Zamiast tego, ku własnemu zaskoczeniu, poczuła ulgę. Najgorsze już się stało, a teraz musi po prostu jakoś sobie z tym poradzić. Podobnie jak w przypadku większości nadciągających katastrof, rzeczywistość nie była nawet w połowie tak straszna jak pełne grozy oczekiwanie.

Do tej chwili obawy o powierzoną jej misję nie pozostawiały wiele miejsca na współczucie dla Fondorianina Ooltha. Poczowała je dopiero teraz, kiedy patrzyła na plamę krwi na chodniku. Był wprawdzie odrażającym tchórzem i bez wątplenia pozbawionym skrupułów przestępcą, ale mało kto zasługiwał na tak okropną śmierć.

Mistrz Bondara zwiększył dopływ mocy do repulsorów i pojazd zaczął powoli unosić się w górę.

Lorn obserwował, jak jeden ze sługusów Hutta podaje swemu panu dużą kasetkę. Yanth otworzył ją, a Lornowi aż się w głowie zakreśliło na widok zawartości. Równiutko ułożone leżały tam pliki standardowych republikańskich kredytów w nominałach po tysiąc. Yanth podsunął mu kasetkę, demonstrując całe to bogactwo; Lorn poczuł, że palce aż go świerzbią, by dotknąć pieniędzy. Dawno nie widział takiej ilości gotówki – co tam, nigdy nie widział takiej ilości gotówki w jednym miejscu.

– Milion republikańskich kredytów w różnych seriach i nominałach – powiedział Yanth zdawkowo, jakby rozmawiał o pogodzie. – To dla ciebie, a to – uniósł holocron – dla mnie. I tym sposobem wszyscy są szczęśliwi.

Lorn nie dbał o wszystkich, ale był pewien jednego – on sam był szczęśliwy. Patrzył, nie dowierzając własnym oczom, jak I-5 daje krok do przodu, żeby przejąć to bogactwo, które miało zmienić ich życie. Spojrzał na zegarek. Jeśli wyjdą w tej chwili, zdążą na czas do kosmoportu.

I-5 sięgał po kasetkę, gdy drzwi za ich plecami nagle się otworzyły. Do sanktuarium Yantha wszedł zataczając się cheviniański strażnik. Wypuścił z pozbawionych czucia dłoni pikę porażającą, która ze stukotem potoczyła się po podłodze w stronę podium Hutta. Strażnik zerknął w dół na pokrytą szorstką skórą własną pierś z dymiącą pośrodku dziurą na wylot, po czym nogi ugięły się pod nim i upadł.

Przez drzwi weszła postać jak z sennego koszmaru.

Lorn zszokowany patrzył na intruza. Zabójca Chevina miał prawie dwa metry wzrostu; cały odziany w czerń, nie wyłączając płaszcza z kapturem, długich butów i rękawic. W ręku trzymał świetlny miecz niepodobny do żadnego, który Lorn dotąd widział – miał nie jedno, a dwa energetyczne ostrza, strzelające z obu końców rękojeści. Choć zdecydowanie onieśmielająca, broń nie przerażała ani w połowie tak jak jego twarz, której widok napełnił serce Lorna panicznym lękiem. Zabójca zsunął kaptur, ukazując oblicze pokryte budzącym grozę czarno – czerwonym tatuażem wokół płonących żółtych oczu i czarnych zębów. Z łysej czaszki sterczały, niczym korona, krótkie

czarne rogi. Rozejrzał się złowrogo po sali i przemówił gardłowym głosem:

– Nikt z was nie ujdzie stąd żywy.

Lorn zamarł, niezdolny stawić oporu. Zabójca skierował się w jego stronę. Oczy jarzyły mu się jak dwa słońca w blasku emanującym ze świetlnego miecza.

I-5 wyrwał kasetkę z rąk Yantha i cisnął nią pomiędzy Lorna a jego napastnika, który zamierzył się mieczem w poziomym łuku, chcąc odciąć głowę od tułowia Korelianina. Kasetka natrafiła na ostrze miecza; klinga przecięła metal, rozrzucając na wszystkie strony płonące kredyty. Siła ciosu była tak duża, że miecz najprawdopodobniej nadal mógłby pozbawić Lorna głowy, ale kasetka spowolniła nieco ruch broni, dając robotowi czas, żeby zanurkował na podłogę i podciął przyjaciela, który dzięki temu uniknął śmierci. Lorn poczuł, jak niewyobrażalnie gorący czubek miecza muska jego włosy.

Sith – Lorn nie miał wątpliwości, że stoi twarzą w twarz z jednym z tych legendarnych Ciemnych Lordów z zamierzchłej przeszłości – niemal natychmiast doszedł do siebie i złożył się do kolejnego ciosu. Tym razem jednak gamorreanscy strażnicy ostrzelali go z Masterów. Sith zakręcił młynka podwójnym mieczem, odbijając strzały z powrotem w stronę Gamorrean. Lorn nie widział już nic, bo I-5 poderwał go na nogi i szarpnął w stronę drzwi.

Biegąc wąskim korytarzem prowadzącym do sanktuarium Yantha, minęli kilku innych martwych strażników i stopione, poskręcane metalowe resztki dwóch robotów. Kwatera Yantha znajdowała się pod nocnym klubem – Oazą Tuskena – którego był właścicielem; pokonawszy kilka schodków Lorn i I-5 wpadli do zalanej niebieskim światłem sali pełnej stolików do sabaka, plansz do gry w *dejarik* i skąpo odzianych samic różnych gatunków, tańczących na podwyższeniu pośrodku. Przebiegli przez salę i wypadli na zewnątrz.

– Dokąd biegniemy? – krzyknął Lorn, kiedy znaleźli się już na ulicy.

– Jak najdalej stąd! – warknął w odpowiedzi I-5.

Lorn chciał zaprotestować, że to i tak bez różnicy; patrząc w oczy Sitha, zobaczył w nich swoją zgubę równie wyraźnie, jak wytatuowane kręgi wokół tych dzikich oczu – nieunikniony los, który doścignie go niezależnie od tego, jak daleko i jak szybko będzie uciekał. Nie starczyło mu jednak tchu na to, żeby coś powiedzieć; tylko strach przed tym, co zobaczył w oczach Maula, zmuszał go do dalszego biegu.

Maul zobaczył, że jego zwierzyna ucieka, ale nie mógł nic zrobić, zajęty dwoma gamorrearriskimi strażnikami. Jedną dłonią zakreślił młynka mieczem, aby zablokować nadlatujące strzały, drugą wykonał ruch, zbierając linie Mocy i odbijając je tak, że wyrwały blastery z rąk zdumionych strażników.

Zanim otrząsnęli się ze zdumienia, Maul skoczył do przodu; przebił najpierw jednego, potem drugiego szybkim, zabójczym pchnięciem. Martwi Gamorreanie runęli na podłogę, Maul zaś obrócił się szybko, aby zająć się Huttem.

Mimo swej masy Yanth umiał poruszać się w razie potrzeby nadzwyczaj szybko. Zsunąwszy się z podium, złapał pikę porażającą upuszczoną przez Chevina. Cisnął nią w Maula, ten jednak trafił broń swoim mieczem, powodując zwarcie generatora w jej drzewcu i eksplozję wśród snopów tryskających iskier.

Yanth nie czekał, żeby zobaczyć skutki swojego ataku. Szybkimi skrętami cielska sunął po zaśmieconej spalonymi kredytami podłodze, ściskając w rękę kryształ holocronu. Był już niemal przy wyjściu, gdy Maul wyskoczył w górę, koziołkując w powietrzu, pokonał całą długość komnaty, wylądował tuż przed uciekającym Hurtem.

Zanim zaskoczony Yanth doszedł do siebie, Darth Maul wbił mu jedno z ostrzy swojego miecza głęboko w pierś. Salę wypełnił swąd spalonego ciała i tłuszczu. Umierający Yanth zagulgotał, a jego galaretowate, pozbawione kości cielsko zapadło się pod własnym ciężarem i z głośnym plaśnięciem runęło na podłogę.

Maul wyłączył oba ostrza i wyrwał holocron z rąk Hutta. Schował kryształ do kieszeni, odwrócił się i wybiegł z pokoju. Pokonał schody,

wpadł do sali klubowej i jednym wściekłym ruchem wspomaganą Mocą ręki posłał wszystkich gości i pracowników na podłogę.

Wyskoczył na ulicę i tam przystanął; rozejrzał się najpierw w jedną, potem w drugą stronę w poszukiwaniu swej ofiary. Nigdzie nie było widać Pavana ani robota. Maul zagryzł wargi. Nie pozwoli, by znowu mu się wymknęli. Tak czy owak, postanowił zakończyć to zadanie. I tak już zajęło mu o wiele za dużo czasu.

Pograżył się w Ciemnej Stronie, prosząc, by wskazała mu drogę, którą wybrały jego ofiary. Potem ruszył, przeciskając się przez tłum przechodniów.

Chociaż sam jego widok wystarczył, by ludzie rozstępowali się przed nim ze strachem, nadał poruszał się zbyt wolno. Dosyć tego! - pomyślał. Wysunął przed siebie siły Ciemnej Strony, bijąc nią niczym taranem w tych, którzy znaleźli się na jego drodze.

Skreślił w wąską przecznicę. Niedaleko stał zaparkowany jego motor pościgowy; mógł zdalnie uruchomić obwód podporządkowania i sprowadzić maszynę w ciągu kilku minut. Ale był szybszy sposób, by dogonić uciekających. Wezwał Moc, z której pomocą mógł poruszać się pięć razy szybciej niż jakikolwiek człowiek. Tym razem nie mieli szansy mu się wymknąć.

Już po chwili miał swoje ofiary w zasięgu wzroku. Jeszcze kilka sekund i dopadnie ich – a wtedy zaprzęgnie znów do pracy miecz świetlny. Tnąc ciało i metal, nareszcie doprowadzi swoją misję do końca.

Uśmiechnął się złowrogo i przyspieszył, przeskakując nad szerniałym od ognia kadłubem śmigacza. Pavan i robot obejrżeli się i zauważyli go; w twarzy człowieka zobaczył paniczny strach. Ten widok sprawił mu sporą przyjemność.

Jeszcze jeden skok i obaj będą w jego ręku.

Nagle niewidzialny młot powalił go w pół skoku i rzucił o ziemię. Co to było? Kto ośmielił się wmieszać w jego sprawy? Maul spojrzał w górę i zobaczył samochód powietrzny, lądujący na ziemi tuż obok Pavana i robota. To strumień z repulsorów spod jego podwozia powalił go przed chwilą, kiedy pojazd przeleciał nad jego głową. Był teraz nie dalej niż o pięć metrów od niego; Maul widział wyraźnie

kierowcę i pasażera.
Dwoje rycerzy Jedi.

ROZDZIAŁ

14

Darsha wyczuła zakłócenie Mocy w tym samym momencie co mistrz Bondara. Zeszli właśnie poniżej pułapu chmur, gdy wyczuli w dole mroczne wibracje. Zdumieni spojrzeli po sobie, po czym Twi'lekianin sprowadził pojazd ostro w dół w kierunku ulicy.

Żadne z nich się nie odezwało; Darsha nie była pewna, jaki wpływ miało to uderzenie skoncentrowanej nienawiści i destrukcji na jej nauczyciela, ale sama czuła się wciąż rozdygotana i bliska wymiotów od siły wybuchu. Ktoś tam na dole był doskonale wyszkolony w użyciu Mocy i niezwykle potężny. Kilka osób już nie żyło, a miały zginąć następne – tego była pewna. Nie wiedziała, kto zginął ani kto znalazł się w niebezpieczeństwie, ale rozumiała, że nie mogą zignorować tak silnego i złego zastosowania Mocy. Musieli się dowiedzieć, kto za to odpowiada i powstrzymać go, ktokolwiek to był, jeśli tylko zdołają.

Mistrz Bondara wyrównał lot na wysokości jakichś dwudziestu metrów nad ziemią, poruszał się szybko, ale ostrożnie przez miejski labirynt. Reflektory pojazdu oświetliły niewielkie skrzyżowanie, a kiedy skręcili za róg, zobaczyli jakieś sto metrów przed sobą osobę odpowiedzialną za pulsację Mocy – czarno ubraną, wysoką postać, przemierzającą ulicę kilkumetrowymi krokami, niewątpliwie wspomaganymi Mocą.

Kim – albo czym – mógł być ten osobnik? Na pewno nie Jedi. Władał mocą z siłą mistrza, ale żaden Jedi nie emanował nigdy tak ciemnymi sygnałami.

Było tylko jedno wyjaśnienie – ale Darsha natychmiast odsunęła od siebie podobną możliwość. To nie mogło być to. Niemożliwe.

Nie miała czasu na zastanawianie się. Przed sobą zobaczyli dwójkę ściganą przez mroczną postać – trudno było się pomylić, widząc ich paniczną ucieczkę.

Jeszcze jeden skok i przeciwnik pochwyci swoją zdobycz. Darsha miała tylko jeden pomysł na to, jak go powstrzymać, a sądząc po kursie, jaki obrał mistrz Bondara, jemu również przyszło do głowy to samo rozwiązanie.

Pojazd przeleciał nad czarnym osobnikiem na dokładnie wymierzonej wysokości, tak by odrzut repulsorów powalił go, ale nie zabił. Udało się – Darsha zobaczyła, że tajemniczy napastnik leży na ulicy, a jego czarne szaty łopocą w powietrzu ciemniejszą plamą wśród otaczającego ich mroku. Mistrz Bondara zatrzymał pojazd tuż obok dwóch uciekinierów. Darsha zauważyła ze zdumieniem, że jeden z nich to robot.

– Wskakujcie – powiedział mistrz Bondara do mężczyzny. – Jest nieprzytomny, ale nie wiem, jak długo...

– Niedługo – przerwał mu robot, wskazując na ich prześladowcę.

Darsha obejrzała się i ku swemu zdumieniu zobaczyła, że czarna postać jest już na nogach. Nie mogła uwierzyć, że ktoś otrząsnął się tak szybko po uderzeniu repulsorów.

– Wskakujcie! – krzyknął mistrz Bondara. – Szybko!

Mężczyzna, który patrzył na Darshę i jej nauczyciela z dziwnym wyrazem twarzy – stanowiącym mieszaninę ulgi i odrazy – był widać dość rozsądny, żeby uznać, że oni są jednak mniejszym złem. Wskoczył na tylne siedzenie, a robot usiadł obok niego. Obejrzawszy się do tyłu Darsha zauważyła, że mroczna postać jest o skok od nich. Z tak bliska mogła już zobaczyć jego twarz – najbardziej przerażające oblicze, jakie zdarzyło jej się widzieć. Nagle poczuła szarpnięcie i ból w szyi, gdy mistrz Bondara uruchomił napęd i wystrzelili w górę.

Nie dość szybko jednak. Pojazd zadygotał od ciosu wymierzonego z tyłu w podwozie, a potem przechylił się na bok. Podczas gdy mistrz Bondara starał się odzyskać kontrolę nad pojazdem, Darsha zobaczyła, jak czarna rękawica chwyta brzeg tylnej ścianki kabiny.

Musiał użyć Mocy, żeby podskoczyć tak wysoko, pomyślała, bo pojazd był już dobre dziesięć metrów nad ziemią. Jednocześnie wyciągnęła obie dłonie, posyłając niewidzialne, ale potężne pchnięcie w stronę napastnika. Ręka puściła burzę. Pojazdem szarpnęło, a mroczny napastnik spadł na ziemię.

– Wracajmy na górne poziomy! – zawołała. Jednak zanim jeszcze zamknęła usta, zobaczyła wyraz twarzy mistrza Bondary.

– Nie możemy – odpowiedział.

Wściekłość Maula, kiedy zobaczył, że Pavan i jego robot znów wymykają mu się z rąk, osłodził nieco fakt, że tym razem miał do czynienia z Jedi. W końcu trafił na godnego siebie przeciwnika – kogoś, na kim będzie mógł sprawdzić, ile naprawdę jest wart. Otrząsnąwszy się z szoku wywołanego uderzeniem repulsorów, zaatakował pojazd mieczem świetlnym; ciął przez mechanizm napędowy umieszczony w podwoziu. Jego cios zrobił swoje – widział to wyraźnie po sposobie, w jaki pojazd przechylił się na bok. Sięgnąwszy po Moc, Maul podskoczył i zdołał chwycić tylną burzę pojazdu jedną ręką. Zanim jednak podciągnął się do kabiny, poczuł, że uderza w niego młodsza Jedi z siłą wystarczającą, żeby oderwać jego palce i strącić go z powrotem w dół.

Wylądował lekko; Moc ochroniła go przed bolesnym upadkiem. Zanim jeszcze dotknął stopami ziemi, uruchomił komunikator na nadgarstku, wstukując kod przywołujący motor pościgowy. Jednocześnie obserwował, jak pojazd jego przeciwników wyrównuje lot, a potem z pełną prędkością rusza do przodu. W ciągu sekundy skrzył za róg i zniknął mu z oczu.

To bez znaczenia, powiedział do siebie w duchu, czekając na przybycie motoru; łatwo będzie wyśledzić go poprzez Moc, zwłaszcza z Jedi na pokładzie. Pavan i robot mieli tego dnia sporo szczęścia. Ale w końcu powinie im się noga.

– Pionowy korektor matrycy repulsora jest uszkodzony – powiedział Jedi prowadzący pojazd.

– Co to oznacza? – zapytała dziewczyna. Była młodsza niż jej towarzysz; młodsza nawet niż Lorn.

– To znaczy – odpowiedział jej I-5 – że chociaż możemy poruszać się w przód i do dołu, nie jesteśmy w stanie wznieść się na wyższy pułap.

Lorn wyjrzał przez burtę. Trudno było cenić ich wysokość w zalegających ciemnościach, ale na oko wyglądało, że są jakieś dwadzieścia metrów nad ziemią. Poruszali się szybko. Na tym poziomie nie było wielkiego ruchu powietrznego, na szczęście dla nich, bo nie mieli zbyt wiele możliwości manewru w ciasnych, krętych uliczkach.

Spojrzał na starszego Jedi. Twi'lekianin, dobrze po czterdziestce. Lorn nie pamiętał go ze Świątyni. To, rzecz jasna, nic nie znaczyło; wśród Jedi było wielu, z którymi nie miał prawie wcale kontaktu.

Ironia sytuacji sprowokowałaby go do gorzkiego śmiechu, gdyby nie to że wszystko to było jednak cholernie przerażające. Wyratowany z morderczych łap Sitha przez rycerzy Jedi! Musiał przyznać, że trudno o szczęśliwszy traf niż ich pojawienie się w tym właśnie momencie. Raczej nie mieli szans na wydostanie się poza planetę w najbliższym czasie, Świątynia Jedi była więc teraz dla nich prawdopodobnie najbezpieczniejszym miejscem – choć zaakceptowanie tego faktu sprawiało Lornowi niemałą trudność.

Tyle się wydarzyło w ciągu kilku minut – a jedno gorsze od drugiego – że nie zdążył jeszcze poukładać sobie tego w głowie. Jedi skręcił w kolejną ulicę; siła bezwładności wcisnęła Lorna w niskoenergetyczne pole ochronne, zaprojektowane do ochrony przed urazami w razie wypadku.

– Nie przejmujcie się! – powiedział. – Facet nie ma szans dogonić nas piechotą.

– On nie jest na piechotę – odezwała się dziewczyna pełnym napięcia głosem.

Darth Maul wskoczył na swój motor w biegu. Zacisnął obie dłonie wokół drążków akceleratora na kierownicy i przekręcił do oporu.

Szum repulsorowych silników przeszedł w wysoki gwizd, gdy motor wyrwał do przodu. Maul balansował ciałem wchodząc w zakręty.

Nie było potrzeby uruchamiania wyświetlacza urządzenia namierzającego. Dwójka Jedi i ich pasażerowie jarzyli się jak jasne płomienie w jego umyśle; wyczuwał ich obecność w pojeździe i odległość, w jakiej się znajdowali. Jego motor poruszał się dwukrotnie szybciej od nich. Dogoni ich w ciągu kilku minut.

Maul roześmiał się dziko. Zaledwie chwilę zajmie mu pozbycie się Pavana i jego robota. Potem przekona się, jak dobrzy są ci Jedi. Zbyt wiele czasu upłynęło od ostatniego razu, gdy jego świetlny miecz starł się z drugim mieczem, gdy słyszał trzeszczenie napierających na siebie energetycznych ostrzy, czuł woń ozonu wypełniającą powietrze. Zdecydowanie zbyt wiele.

– Dlaczego ściga was Sith? – zapytał mistrz Bondara, przekrzykując hałas silników.

Chociaż Darsha doszła do tego samego wniosku w kwestii tożsamości tajemniczego osobnika, poczuła wstrząs słysząc, jak mistrz Bondara wypowiada na głos jej myśli. Oczywiście wiele uczyła się o Sitnach podczas swoich studiów, ale ze wszystkich wykładów i danych jednoznacznie wynikało, że starożytny zakon mrocznych rycerzy od dawna nie istnieje. A jednak kim innym mógł być ten, kto ich teraz ścigał? Umiejętnie korzystał z Mocy, ale z całą pewnością nie był rycerzem Jedi. Nie pozostawiało to zbyt wiele możliwości.

Zauważyła, że mężczyzna i robot spoglądają po sobie i uświadomiła sobie, że doszli do jakiegoś milczącego porozumienia. Odezwał się robot.

– Pośredniczymy w handlu informacjami – powiedział, ale coś w jego głosie, a raczej brak czegoś, zdziwiło Darshę. Nie usłyszała w nim ani odrobiny służalczości, tak charakterystycznej zwłaszcza dla robotów protokolarnych. Zaskakująca pewność siebie w jego głosie i zachowaniu nie mogła ujść jej uwagi, mimo trudnej sytuacji, w jakiej się znajdowali.

– Nazywam się I-5, a mój współnik to Lorn Pavan – ciągnął robot.

Darsha zauważyła, że mistrz Bondara zerknął na Pavana, zanim z powrotem zajął się pilotażem.

Słyszał o nim, pomyślała.

– Skontaktował się z nami ostatnio Neimoidianin Hath Monchar, który chciał nam sprzedać holocron zawierający informacje na temat embarga handlowego, jakie Federacja Handlowa zamierza nałożyć na planetę Naboo.

Mistrz Bondara milczał jeszcze przez chwilę, wreszcie zapytał:

– Czy to ma być odpowiedź na nowy podatek, jaki Senat nałożył ostatnio na Federację Handlową?

– Tak – odparł Pavan. – Federacja obawia się, że podatek pozbawi ją zysków.

– Naboo jest w znacznym stopniu uzależniona od importu – powiedział mistrz Bondara. – Takie sankcje mogą okazać się zgubne dla sposobu życia kultywowanego przez jej mieszkańców. – Skierował pojazd za kolejny róg. Przechodnie, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakim groziło znalezienie się pod strumieniem repulsorów, rozpierzchli się na boki. – Ale to nie tłumaczy, dlaczego Sith chciał was zabić.

Darsha podziwiała wewnętrzny spokój rycerza; można by pomyśleć, że prowadzi rozmowę w jednej z cichych, wygodnych czytelni Świątyni Jedi, a nie w uszkodzonym aerowozie pędzącym z maksymalną prędkością niebezpieczną trasą.

– Sam pan rozumie, dlaczego Neimoidianie nie chcą, żeby ta informacja wydostała się na zewnątrz – powiedział I-5. – Nie jesteśmy jednak pewni, dlaczego i w jaki sposób dotyczy to Sithów. Ten sam, który nas teraz ściga, zabił Hatha Moncharą.

– Co się stało z holocronem? – zapytała Darsha.

– Sprzedawaliśmy go właśnie Huttowi o imieniu Yanth – odpowiedział Pavan – kiedy pojawił się ten Sith. Domyślam się, że Hutt nie żyje a Sith albo zniszczył kryształ, albo ma go ze sobą.

– Trzeba natychmiast przekazać tę wiadomość Radzie – postanowił mistrz Bondara. – Zadbamy o wasze bezpieczeństwo do czasu rozwiązania sprawy Sitha.

Darsha spojrzała na Pavana; miał zrezygnowaną miną.

– Jedi – mruknął do siebie. – Dlaczego to musieli być Jedi?

Obejrzała się za siebie. Kręta trasa zaprowadziła ich w nieco mniej mroczne rejony miasta, bez trudu rozpoznała odcinającą się na tle nieba sylwetkę motoru pościgowego. Nawet gdyby nie potwierdzała tego Moc, wiedziałyby, że to ich prześladowca.

– Nadlatuje – powiedziała. – Szybko nas dogania. – Zauważyła, że Pavan zbladł, ale zachował spokój. To dobrze; ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała, był następny Oolth.

Spojrzała na mistrza Bondarę. Zauważyła napięte mięśnie twarzy i determinację.

– Przejmij stery – polecił jej.

Zaskoczyło ją to, ale ton głosu wykluczał wszelką dyskusję. Przesunęła się na miejsce mistrza, który podniósł się i przerzucił nogę nad tapicerowaną poprzeczką oddzielającą przednie i tylne siedzenia. Spojrzała na wsteczny monitor; Sith był nie dalej niż o pięć metrów za nimi. Wyciągnął świetlny miecz, z którego rękojeści wystrzeliły dwa karmazynowe ostrza.

– Zabierz ich do Świątyni! – krzyknął do niej mistrz Bondara. Zanim Darsha zdążyła się zorientować w jego zamiarach, a co dopiero zaprotestować albo próbować go powstrzymać, Jedi stanął wyprostowany na tylnym siedzeniu pomiędzy Pavanem i I5, włączył swój miecz, przeszedł na tylną klapę silnika i zeskoczył z rozpędzonego pojazdu.

ROZDZIAŁ

15

Wspomagając Mocą skok, Twi'lekianin zdołał wylądować dokładnie za Maulem, na tylnej obudowie silnika jego motoru. Tym wyczynem wziął Maula z zaskoczenia; Sith nie spodziewał się tak odważnego, choć ryzykownego manewru.

Zaskoczenie nie przeszkodziło jednak Maulowi zablokować mieczem świetlnym cięcia napastnika. W jednej chwili przestawił motor na autopilota i obrócił się w siodełku, tnąc mieczem w pierś Jedi. Rycerz zablokował atak i skontrował.

Maul wiedział, że nie da rady ciągnąć dalej walki w ten sposób. Autopilot nie był urządzeniem dostatecznie niezawodnym, żeby przy tej szybkości wytyczyć bezpieczny kurs w krętych i ciasnych zaułkach. Chwycił więc za kierownicę i skierował motor w stronę platformy ładowniczej na pobliskim budynku, jakieś trzydzieści metrów nad ulicą. Wyprzedzili aerowóz, który zwolnił, kiedy stery przejęła młodsza Jedi, i unieśli się w stronę lądowiska. Kiedy sensory autopilota odebrały sygnał o zbliżaniu się do półki, motor zwolnił i osiadł na wysuniętej sztabie ferrobetonu.

Sith i Jedi zeskoczyli z motoru na platformę ładowniczą, żeby walczyć dalej. Platforma miała powierzchnię jakieś sto pięćdziesiąt metrów, co nie dawało im zbyt wiele możliwości manewru. Maul wiedział, że musi szybko zakończyć pojedynek, zanim Pavan znowu zniknie w labiryncie dolnych poziomów Coruscant. Zaatakował ze zdwojoną siłą, kreśląc rozjarzonym podwójnym ostrzem zawiłą pajęczynę świetlnych śladów.

Jedi musiał być prawdziwym mistrzem sztuk walki teräs käsi, sądząc po tym, jak gładko parował ataki Maula i szybko przechodził do kontrataku. Mimo to już od pierwszych chwil pojedynku Darth Maul wiedział, że jest lepszym szermierzem. Czuł, że Jedi również jest tego świadom, ale nie ma to dla niego znaczenia. Był zdecydowany powstrzymać Sitha przynajmniej tak długo, żeby dać czas uciekinierom na dotarcie do bezpiecznej kryjówki. Za wszelką cenę – nawet za ceną własnego życia.

Maul wyszczerzył zęby. Nie pozwoli, żeby ofiara znów mu się wymknęła. Zaatakował wściekle; chciał zmusić przeciwnika, aby mu ustąpił pola, nie zdołał jednak przebić się przez jego obronę.

W tym momencie usłyszał charakterystyczny dźwięk uszkodzonego silnika samochodu powietrznego. Rozciągnął świadomość, pozwalając jej rozprzestrzeniać się wzdłuż fal Mocy, a to, co wyczuł, wywołało uśmiech satysfakcji na jego twarzy.

Aerowóz zawracał. Z jego ofiarą w środku.

Kiedy mistrz Bondara przeskoczył z ich pojazdu na motor pościgowy Sitha, Darsha w pierwszej chwili nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Zareagowała odruchowo – zwolniła, zamierzając przyjść mistrzowi z pomocą.

– Co robisz? – krzyknął Pavan. – Przecież kazał ci lecieć do świątyni!

– Nie zostawię go samego z tym monstrum! – odkrzyknęła Darsha. Zobaczyła, że motor mija ich z wielką prędkością, a potem unosi się i kieruje w stronę platformy ładowniczej sterczącej ze ściany zrujnowanego budynku.

– On wie, co robi – zapewnił ją robot. – Czy chcesz, żeby jego ofiara poszła na mamę?

Darsha wiedziała, że w słowach I-5 jest sporo racji, ale nie dbała o to. W końcu w ciągu ostatnich kilku godzin popełniała błąd za błędem; dlaczego miałyby nagle przestać? Już dawno przekroczyła granicę, za którą przestała się martwić o konsekwencje swojego postępowania. Wiedziała jedno: nie może zostawić mistrza Bondary,

aby samotnie walczył z Sithem. Trudno sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby prześcignąć jej mistrza w sztuce walki, ale miała przeczucie, że jeśli taka osoba istniała, to może nią być właśnie ten Sith.

Zwolniła i zawróciła pojazd, kierując się w stronę lądowiska. Uświadomiła sobie pewien problem – uszkodzona matryca repulsora nie pozwalała im wznieść się ponad obecny pułap, platforma lądownicza zaś była o dobre dziesięć metrów wyżej. Jej pistolet harpunniczny, o ile wiedziała, nadal tkwił zaczepiony w ścianie monady odległej o ponad kilometr.

Sam skok na wysokość dziesięciu metrów nie nastęczyłby jej większych trudności; podczas treningów nieraz posługiwała się Mocą, żeby podskoczyć nawet wyżej. Wylądować jednak na wąskiej platformie, w samym środku zajadłego pojedynku na świetlne miecze – to było znacznie bardziej skomplikowane. Nie przysłużyłaby się mistrzowi Bondarze, gdyby wpadła prosto pod miecz Sitha.

Nie miała jednak wielkiego wyboru. Istniała możliwość, że jej nauczyciel wyczuje zbliżający się pojazd i wskoczy do niego z powrotem, nie miała jednak gwarancji, że zdoła to zrobić w ogniu walki. Darsha zatrzymała pojazd pod ferrobetonowym występem, który ukrywał przed nią walczących. Słyszała tylko gniewne trzaski i zgrzyty ścierających się świetlnych mieczy. Musiała coś zrobić, i to już. Wstała, odpięła swój miecz od pasa i przygotowała się do skoku.

W tej samej chwili świat eksplodował nagle oślepiającym błyskiem, któremu towarzyszył ogłuszający grzmot.

Darth Maul dostrzegł w oczach przeciwnika ponurą rezygnację, gdy Twi'lekianin uświadomił sobie, że nie zdoła pokonać przeciwnika. Kiedy tamten już w duchu uznał swoją porażkę, jej urzeczywistnienie stało się tylko kwestią czasu.

Maul natarł na przeciwnika z jeszcze większą siłą. Zmuszał Jedi, żeby cofał się w stronę motoru pościgowego. Pozbawiony możliwości manewru, Twi'lekianin był skazany; z pewnością za chwilę jego głowa i mackowate wyrostki spadną odcięte od karku mieczem Sitha.

Wtedy zobaczył, że wyraz desperacji na twarzy Jedi ustępuje miejsca olśnieniu, a potem triumfowi. W jednej sekundzie, zanim Maul zdążył się zorientować w jego zamiarach, Jedi odwrócił się w stronę motoru, uniósł miecz i zatopił go aż po rękojeść w obudowie repulsorowego silnika.

Maul zbyt późno uświadomił sobie jego samobójczy plan. Niewyobrażalnie rozgrzane ostrze stopiło błyskawicznie obudowę i dotarło do rdzenia ogniw eneisetycznych pojazdu. Sith odwrócił się i zeskoczył z platformy; sięgnął do Ciemnej Strony, by otoczyć się nią jak płaszczem, chroniąc się przed zabójczymi skutkami eksplozji ogniwa energetycznego i wywołanej przez nią fali uderzeniowej, która w ciągu mikrosekund zamieniła Jedi w parę i gnała teraz, by pochłonąć również jego.

Platforma lądownicza osłoniła samochód powietrzny przed skutkami eksplozji; w przeciwnym razie jego trzech pasażerowie byłiby już martwi. Fala uderzeniowa przewróciła jednak Darshę i przerzuciła ją na tył pojazdu. Runęłaby w dół na ulicę, gdyby Lorn nie złapał jej za przegub, gdy przelatowała obok niego, I-5 rzucił się ku sterom, aby ustabilizować pojazd, targany i miotany podmuchami na wszystkie strony. Przez jedną trwającą wieczność chwilę Darsha wisiała nad przepaścią, zbyt oszołomiona, żeby użyć Mocy, która mogła ją uratować od pewnej śmierci. W końcu Lornowi udało się ją wciągnąć na tylne siedzenie.

Nie byli jednak jeszcze bezpieczni; eksplozja spowodowała, że platforma lądownicza oderwała się od swoich podpór i zaczęła osuwać się w dół. Przyglądając się jej upadkowi, Darsha kątem oka zauważyła ciemną sylwetkę Sitha, spadającą z występu w mroczną czeluść. Oderwana platforma uderzyła w bok ich pojazdu, który również runął w dół w oszalałym tańcu.

I-5, walcząc ze sterami, zdołał w końcu wyrównać lot na moment przed uderzeniem o ziemię. Gapie, zwabieni widokiem eksplozji, rozpierzchli się na boki, gdy pojazd ciężko opadł na ulicę.

Na pół ogłuszona Darsha mgliście zdawała sobie sprawę, że słyszy

monotonne popiskiwanie, coraz głośniejsze i częstsze. W momencie, gdy do jej oszołomionego mózgu dotarło, co oznacza ten dźwięk, znalazła się w mocnym uścisku. Ktoś wyciągał ją z rozbitego pojazdu i włókł teraz nogami po chodniku, usłanym gładzami i gruzem. Uświadomiła sobie, że to robot odciąga ją i Pavana od miejsca wypadku.

– Szybko... – wymamrotała. – Silnik się przegrzał...

– Jestem w pełni świadom tego faktu – odparł spokojnie I-5. Zatrzymał się przed budką, na której napis we wspólnym głosie **WSTĘP WZBRONIONY**. Robot zignorował ostrzeżenie i wysadził zamek promieniem lasera, który wystrzelił z lewego palca wskazującego.

Wewnątrz budki znaleźli zejście do wąskiej, słabo oświetlonej klatki schodowej. Zaczęli zbiegać w dół; za nimi coraz głośniej wyla syrena alarmowa. Chwilę później druga potężna eksplozja zatrzęsa okolicą. Schody uciekły Darshy spod nóg; światło zgasło i poczuła, że leci w dół – a potem nie czuła już nic.

CZĘŚĆ

II

W LABIRYNCIE

ROZDZIAŁ

16

Nute Gunray siedział w swojej kajucie na pokładzie „Saak'aka”, próbując bez przekonania rozkoszować się masażem pleśniowym, gdy zabręczał jego prywatny komunikator. Masażystka nie przestawała okładać jego nagiego ciała półpłynną zielonkawą masą; pracownice ugniatała ścięgna i mięśnie karku, tak napięte, że słyszał, jak trzeszcza.

Niechętnym mruknięciem potwierdził przyjęcie wiadomości; obok stołu, na którym leżał, wyświetlił się obraz Rune Haako. Radca prawny nie wyglądał na zadowolonego, ale to nie miało wielkiego znaczenia; Neimoidianie rzadko kiedy mieli zadowolone miny.

– Mam wiadomości – powiedział cicho wizerunek Haako.

– Przyjdź do mojej kwatery – polecił Gunray; holoobraz zamigotał i zgasł.

Niezależnie od tego, co Haako miał mu do zakomunikowania, najlepiej było wysłuchać go w ciszy i spokoju własnej komnaty. Choć teoretycznie na pokładzie statku nie powinien znaleźć się nikt, kto nie byłby wobec niego absolutnie lojalny, wicekról wolał nie ryzykować. Doskonale wiedział, jak łatwo kupić wierność jego poddanych.

Oddalił masażystkę, włożył szkarłatną szatę i zaczął niecierpliwie krążyć po pokoju w oczekiwaniu Haako. Zawilości protokołu wymagały, żeby przyjął go, siedząc swobodnie na kanapie lub w fotelu, nonszalancka postawa miała podkreślać, że niezależnie od tego, jakie wiadomości przynosi mu Haako, nie są one dość ważne, aby go choć odrobinę zaniepokoić. W tej chwili jednak nie miał głowy

do podobnych ceregieli. Od ponad czterdziestu ośmiu godzin nie mieli wiadomości od łowcy nagród którego wynajęli, żadnych wieści o losach i miejscu pobytu Hatha Monchara. W każdej chwili spodziewał się hologramowej wizyty Dartha Sidiousa, domagającego się zwołania czwórki spiskowców na debatę o szczegółach blokady Naboo. Co będzie, gdy Gunray znów nie zdoła wytłumaczyć nieobecności Monchara? Skrzywił się; na samą myśl o podobnej rozmowie poczuł, jak w jego worku brzuszny zbierają się szkodliwe kwaśne gazy. Wiedział, że dorabia się właśnie pierwszorzędnego wrzodu żołądka, ale wyglądało na to, że niewiele może zrobić, by temu zaradzić.

Płyta drzwi rozsunęła się i Haako wszedł do komnaty. Po chwili dołączył do niego Daultay Dofine. Gunray zamarł; jeden rzut oka na zgarbione sylwetki i spuszczone wzrok wchodzących powiedział mu, że nie przynoszą dobrych wieści.

– Właśnie dostałem wiadomość od naszego konsula z ambasady na Coruscant – zaczął Haako. – Fakt, że pominął całkowicie wstępne formuły grzecznościowe jasno dowodził, że jest co najmniej równie zaniepokojony jak Gunray. – Zginał tam jeden z naszych rodaków.

Gunray musiał dotknąć językiem gruczołów ślinowych, aby zwilżyć podniebienie, zanim przemówi.

– Czy to był Monchar?

– W tej chwili nie mamy jeszcze pewności – powiedział Dofine. – Miał miejsce wybuch, ale śledztwo na razie nie wyjaśniło, czy właśnie on był przyczyną śmierci. Identyfikacja genetyczna jest w toku.

– Jednak – dodał Haako, ścisząc głos i rozglądając się dookoła, jakby się spodziewał, że nagle z któregoś kąta wyskoczy Darth Sidious – na miejscu tragedii znaleziono fragment zakrwawionej tkaniny, która była częścią mitry namiestnika wicekróla.

Nate Gunray przymknął oczy i spróbował sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało jego życie na farmie pleśni na Neimoidii.

– Ponadto – dorzucił Dofine – na miejscu znaleziono zwłoki kilku innych osób. Jedną z nich zidentyfikowano ponad wszelką wątpliwość. To Mahwi Lihnn, łowca nagród.

Farmy pleśni mają na pewno swoje zalety, pocieszał się w duchu

Gunray. Choćby takie, że na nowym stanowisku na pewno nie będzie musiał zadawać się z Sithem.

– Myślę, że powinniśmy zgodzić się z tym, iż Hatha Monchara nie ma już wśród żywych – powiedział Rune Haako. Zatarł z całej siły dłoń, jakby chciał wydusić życie z bagiennej żaby przed jej zjedzeniem.

– To katastrofa – jęknął Dofine. – Co powiemy Lordowi Sidiousowi?

Właśnie, pomyślał wicekról Federacji. Och, miał oczywiście w zapasie duży wybór kłamstw, ale czy Sidious w nie uwierzy? Oto kluczowe pytanie. A odpowiedź, jak zmuszony był przyznać sam przed sobą Gunray, niemal na pewno brzmiała: nie. Widok zakapturzonej głowy pojawił się nieproszony w jego wyobraźni; wicekról nie zdołał opanować drżenia. Te oczy, ukryte pod kapturem, przejrzą każdy podstęp i udawanie równie skutecznie jak promieniowanie rentgenowskie przenika ciało, obnażając każdą, nawet najmniejszą kostkę.

Ale jaki miał wybór? Choć na samą myśl o podobnym rozwiązaniu robiło mu się niedobrze, Gunray wiedział, że powinni po prostu wyznać prawdę – powiedzieć, że Monchar ich zdradził, że nie wiedzą, przed kim i dlaczego, choć tego mógł się domyślić każdy, począwszy od niedotlenionego Gamorreanina. Ale prawda niosła kolejne nieuchronne niebezpieczeństwa, między innymi dlatego, że została ukryta przed Sidousem, gdy pierwszy raz zauważyli nieobecność Monchara.

I przyznanie się i wykręty były równie niebezpieczne. Najgorszy koszmar Neimoidianina – sytuacja, z której nie sposób wykręcić się kłamstwem. Gunray spojrział w dół i zauważył, że nieświadomie zaciera ręce równie pracowicie, jak Rune Haako i Daultay Dofine.

Jedno było pewne. Wkrótce – już niedługo – coś będzie musiał powiedzieć Lordowi Sithów.

Yoda, mistrz Jedi, wszedł do poczekalni sali konferencyjnej – niewielkiego pokoju przylegającego do komnaty Rady. Mace Windu i Qui-Gon Jinn już siedzieli za drewnianym stołem. Za nimi

przezroczysta ściana pozwalała podziwiać panoramę zabudowań i nieustanny ruch powietrzny wokół budynków Coruscant.

Yoda powoli szedł w stronę krzesła. Podpierał się laską; Mace Windu musiał powstrzymać uśmiech, widząc, jak powoli posuwa się Yoda. Choć niewątpliwie był najstarszym członkiem Rady, liczącym sobie ponad osiemset standardowych lat, to na pewno nie był tak zniedołężniały, za jakiego chciał czasem uchodzić. Windu musiał wprawdzie przyznać, że przez wszystkie lata ich znajomości Yoda stracił nieco szybkości, ale nadal jego umiejętność posługiwania się mieczem świetlnym nie miała sobie równych.

Windu zaczekał, aż jego kolega usiądzie, zanim się odezwał.

– Uznałem, że nie ma na razie potrzeby zwoływania walnego zebrania Rady w tej sprawie – powiedział – ale w moim mniemaniu zasługuje ona na omówienie.

Yoda przytaknął.

– O sprawie Czarnego Słońca chcesz mówić.

– Tak. A zwłaszcza o Fondorianinie Oolthu i padawance Darshy Assant, którą wysłaliśmy po niego.

– Czy były od niej jakieś wiadomości? – zapytał Qui-Gon Jinn.

– Żadnych. To już prawie dwie doby. Cała misja nie powinna jej zająć więcej niż cztery czy pięć.

– Zniknął także Anoon Bondara – dodał zamyślony Yoda. – Czy to zbieg okoliczności, wątpię.

– Sądysz, że Bondara udał się na poszukiwanie Darshy Assant? – zapytał Windu. Yoda skinął potakująco głową.

– To zrozumiałe – powiedział Jinn. – Assant jest jego padawanką. Jeśli sądził, że znalazła się w niebezpieczeństwie, na pewno pospieszył jej z pomocą.

– Oczywiście – odparł Windu. – Ale dlaczego nie zawiadomił nas o swoich zamiarach? I dlaczego żadne z nich nie odezwało się do tej pory?

Na chwilę zapadła cisza; trzej mistrzowie zastanawiali się nad odpowiedzią. W końcu odezwał się Yoda:

– Wykroczenie lub błąd z jej strony podejrzewał być może. Chronić przed skutkami zapewne chciał.

– Anoon zawsze zżymał się na zakazy i ograniczenia – zgodził się z nim Jinn.

Mace Windu spojrział na Jinna i uniósł brew. Ten uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– To ma sens – powiedział Windu. – Wydaje mi się, że o to właśnie chodzi. Jednak niezależnie od tego, jak szlachetne pobudki kierowały działaniami Anoona Bondary, nie możemy pozwolić, żeby on czyjego padawanka działali bez wiedzy i przyzwolenia Rady.

– Zgodni jesteśmy w tej sprawie – podsumował Yoda. – Wysłać kogoś do zbadania tej sprawy musimy.

– Tak – zgodził się Windu. – Ale kogo? Przy obecnym stanie spraw w Senacie Republiki wszyscy nasi najważniejsi rycerze są w stanie gotowości. Może to potrwać przez dłuższy czas.

– Mam propozycję – powiedział Qui-Gon Jinn. – Wyślijmy mojego padawana. Jeśli w tę sprawę jest zaangażowane Czarne Słońce, on na pewno to wyczuje.

– Obi-Wan Kenobi? Silny we władaniu Mocą jest – rozmyślał głośno Yoda. – Dobry to wybór.

Mace Windu pokiwał głową. Yoda miał rację. Choć nie był jeszcze w pełni rycerzem Jedi, Kenobi niejednokrotnie dowiódł swoich umiejętności zarówno w walce, jak i w negocjacjach. Jeśli ktokolwiek miał szanse się dowiedzieć, co się stało z rycerzem Bondara i jego padawanką, to właśnie on.

Przewodniczący Rady powstał.

– A zatem postanowione. Qui-Gon, wyjaśnisz sytuację Kenobiemu i niezwłocznie wyślesz go w drogę. Jest w tym wszystkim coś... – Windu zamilkł na chwilę.

– Tak – dodał Yoda poważnie. – Nie przypadek to jest.

Qui-Gon kiwnął głową i wstał.

– Obi-Wan natychmiast uda się do Karmazynowego Korytarza – powiedział do Windu i Yody.

– Niech Moc będzie z nim – powiedział cicho Yoda.

ROZDZIAŁ

17

Nie ma emocji – jest spokój.

Nie ma ignorancji – jest wiedza.

Nie ma pasji – jest pogoda ducha.

Nie ma śmierci – jest Moc.

Kodeks Jedi był jedną z pierwszych rzeczy, jakich Darsha Assant nauczyła się w Świątyni Jedi. Jako dziecko siadywała całe godziny ze skrzyżowanymi nogami na zimnej podłodze i powtarzała te słowa raz po raz. Rozważała ich znaczenie, pozwalając, aby wsączyło się w nią aż po kości.

„Nie ma emocji – jest spokój”.

Mistrz Bondara uczył ją, że nie oznacza to, iż należy tłumić swoje uczucia. „Jedną z niewielu cech wspólnych dla wszystkich istot inteligentnych w galaktyce jest ich zdolność odczuwania emocji. Podlegamy emocjom, a wyparcie się ich byłoby niezdrowe. Można jednak czuć gniew, ale nie dać mu sobą zawładnąć. Można odczuwać smutek, nie upadając na duchu. Spokój Mocy jest fundamentem, na którym wznoszą się budowle naszych uczuć”.

„Nie ma ignorancji – jest wiedza”.

Przypadek, mawiał Twi'lekianin, sprzyja umysłom wyćwiczonym w myśleniu. Z pewnością Jedi należeli pod tym względem do najlepiej wyćwiczonych w galaktyce. Nigdy nie spotkała nikogo równie wszechstronnie wykształconego jak mistrzowie Windu, Bondara, Yoda czy Jinn, a także wielu innych, którzy ją uczyli lub których spotykała

w świątyni przy innych okazjach. Wątpiła, czy zdołałaby dotrzymać im kroku w rozmowie, a choćby nawet zabłysnąć w wymianie zdań z innymi padawanami, jak Obi-Wan i Bant. Uczyła się gorliwie, niemal obsesyjnie, korzystając z niewyobrażalnego bogactwa wiedzy i tradycji zgromadzonego w bibliotekach i bankach danych świątyni. Przekonała się też, że im więcej wie, tym bardziej rośnie jej apetyt na wiedzę. Wiedza była dla niej swoistym narkotykiem, tak jak dla innych był nim błyszczystym.

„Nie ma pasji – jest pogoda ducha”.

Początkowo myślała, że to tylko powtórzenie pierwszej zasady Kodeksu. Mistrz Bondara wyjaśnił jej jednak różnicę. Pasja oznaczała tu obsesję, przymus, obezwładniającą fiksację na jakimś punkcie. Pogoda ducha zaś nie była tylko synonimem spokoju; oznaczała raczej stan dynamicznej równowagi, który można osiągnąć, odrzucając emocjonalny przymus, dochodząc do ładu z własnymi uczuciami i zastępując ignorancję wiedzą.

Mistrz Bondara nauczył ją tak wielu rzeczy; pomógł przekroczyć granice wszystkiego, co, jej zdaniem, określało jej potencjał i przeznaczenie. Tyle mu zawdzięczała, a teraz nigdy już nie będzie mogła mu się za to odwdzięczyć.

„Nie ma śmierci – jest Moc”.

Darsha wiedziała, że gdyby przyswoiła sobie i opanowała do końca pierwsze trzy maksymy Kodeksu Jedi, mogłaby znaleźć pocieszenie w ostatniej. Było jednak oczywiste, że nie osiągnęła jeszcze tego etapu. Nie znajdowała bowiem spokoju ani pogody ducha w wiedzy o tym, że jej mistrz nie żyje.

Mogła tylko opłakiwać jego śmierć. To jedyne, do czego była w tej chwili zdolna.

Nie wiedziała, jak długo trwała w stanie półświadomości, pogrążona w dojmującym smutku. Dopiero gwałtowna wibracja budynku i ogłuszający huk wyrwały ją z otepienia. Otworzyła oczy w tym samym momencie, gdy olbrzymi pojazd transportowy z hukiem przemknął zaledwie o kilka metrów od miejsca, w którym leżała.

Rozejrzała się dookoła i zobaczyła Lorna Pavana siedzącego pod ścianą nie dalej jak metr od niej. I-5 stał obok współnika. Znajdowali się w szerokim tunelu, słabo oświetlonym fotowypustkami rozmieszczonymi w równych odstępach.

Uświadomiła sobie, gdzie się znajdują – był to jeden z niezliczonych tuneli serwisowych, pokrywających podziemia Coruscant skomplikowaną siecią, podobną do siatki naczyń krwionośnych pod powierzchnią skóry. Tunelami tymi bezustannie płynął nieskończony strumień zautomatyzowanych pojazdów, transportujących towary z kosmoportów i fabryk do milionów punktów przeznaczenia rozsianych po całej planetarnej metropolii.

– Jak się tu dostaliśmy? – zapytała. Zanim jeszcze skończyła pytanie, jak przez mgłą przypomniała sobie, że to robot wywlókł ją z rozbitego samochodu powietrznego i zaciągnął w dół klatki schodowej, zanim eksplodowały ogniwa energetyczne pojazdu. Niewątpliwie uratował im życie.

Pavan wskazał kciukiem na I-5.

– To nasz cud robotyki. Jemu podziękuj – powiedział. – Gdyby nie on, byłibyśmy smaczną kolacją dla szurów pancernych. Czasami prawie warto mieć go przy sobie.

– Proszę, skończ te peany – powiedział robot. – Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

Darsha z trudem wstała. Planeta wydawała się chwiać nieprzyjemnie, a światła przygasły jeszcze bardziej, ale po chwili wszystko się uspokoiło. Sprawdziła, czy nadal ma świetlny miecz i z ulgą stwierdziła, że jest na swoim miejscu.

– Gdzie jest ta klatka schodowa? – zapytała. – Muszę sprawdzić, czy...

–... czy mistrz Bondara przeżył, dokończyła w duchu. Nie odważyła się powiedzieć tego na głos, z obawy, że jeden z nich mógłby potwierdzić to, co i tak już wiedziała.

Pavan wskazał na odległą o jakieś dwa metry niszę.

– Klatka schodowa nie na wiele ci się przyda. Po eksplozji aerowozu spadło tam parę pięter gruzu. Musimy znaleźć inne wyjście.

Darsha kiwnęła głową.

– W takim razie lepiej chodźmy. Gdzieś wzdłuż tego tunelu musi być następna klatka.

– Dlaczego po prostu nie przywołasz kogoś na pomoc? – zaproponował Pavan. – Masz chyba komunikator?

– Miałam, ale już wcześniej został uszkodzony. – Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że powinna była wziąć ze świątyni nowy.

Pavan uniósł brew.

– Po raz pierwszy widzę Jedi, który nie jest przygotowany na każdą ewentualność – powiedział z sarkazmem.

Darsha zagryzła wargi, powstrzymując się od kąśliwej odpowiedzi, która cisnęła się jej na usta. Niewiele było potrzeba, by trafił na jej listę najmniej ulubionych osobników w galaktyce; w końcu pośrednio odpowiadał za śmierć mistrza Bondary. Z drugiej strony jednak uratował ją przed wypadnięciem z samochodu powietrznego.

– A ty nie masz komunikatora? – zapytała.

Pavan nie odpowiedział, wyraźnie zakłopotany.

– Ależ ma – powiedział I-5. – Jego komunikator jest naprawdę w doskonałym stanie, tyle tylko, że ma wyładowane ogniwo energetyczne, a jego nie stać na nowe.

Darsha nie odpowiedziała; milczenie wystarczyło do wyrażenia, co czuje.

Pavan wstał.

– Lepiej chodźmy – powiedział – zanim następny...

Dalszy ciąg utonął w huk kolejnego transportowca. Przywarli plecami do wklęsłej ściany tunelu, kiedy przetaczał się obok nich. Zautomatyzowane transportowce miały kształt wydłużonych ogromnych pocisków, które prawie wypełniały sobą światło tunelu. Pędziły z prędkością ponad stu kilometrów, napędzane repulsorami.

Kiedy pojazd zniknął w oddali, Darsha powiedziała:

– Lepiej się pospieszmy. Ogłuchniemy w ciągu pół godziny, jeśli tu zostaniemy.

Ruszyli gęsiego wąskim chodnikiem. W tej chwili nie miało większego znaczenia, w którą stronę pójdą; chodziło przede wszystkim o to, żeby wydostać się jak najszybciej z tunelu transportowego. Prowadził robot, bo jego fotoreceptory najlepiej

przystosowywały się do półmroku panującego w podziemiach.

W momencie gdy za ich plecami zaczął narastać łoskot trzeciego transportowca, zobaczyli przed sobą drzwi schowane w ściennej wnęce. Były zamknięte, ale blasterowy palec I-5 szybko usunął tę przeszkodę, pokonali ją chwilę przedtem, nim kolejny transportowiec minął ich z hukiem.

Miejsce, w którym się znaleźli, chociaż pozwoliło im uciec przed rozpędzonymi pojazdami, nie było wiele lepsze od poprzedniego. Tunel był przynajmniej w miarę czysty i jako tako oświetlony. Nie wyprowadziłby ich wprawdzie na powierzchnię, ale przynajmniej biegł poziomo.

Teraz znaleźli siew kolejnej klatce schodowej, ale schody prowadziły tu wyłącznie w dół. Nie mieli jednak wielkiego wyboru. Klatka nie była oświetlona; kompletne ciemności odrobinę rozjaśniały tylko fosforyzujące porosty na ścianach. Słabe zarysy swoich sylwetek mogli dostrzec na odległość nie większą niż parę kroków. Po ferrobetonowych ścianach spływał lepki śluz, a w powietrzu unosiła się woń rozkładu.

W końcu dotarli na sam dół i natrafili na niewielką komorę oświetloną fotowypustkami. W ścianie naprzeciwko schodów otwierały się trzy tunele. Nad wejściem do każdego tunelu wisiał znak, który zapewne miał wskazywać drogę, napisy były jednak kompletnie nieczytelne, pokryte niezliczonymi warstwami graffiti.

– W komunikatorze miałam lokalizator – westchnęła Darsha. – Nie mam pojęcia, którądy powinniśmy pójść.

– Na szczęście mam wbudowany ogólny lokalizator – powiedział I-5. – Aby dojść do Świątyni Jedi, powinniśmy obrać ten kierunek. – Wskazał na ostatni tunel po lewej stronie.

– To dobry powód, żeby wybrać ten z prawej – mruknął Pavan. Darsha spojrzała na niego; przez chwilę wytrzymał jej wzrok, po czym wbił oczy w podłogę.

– Próbowemy doprowadzić cię tam, gdzie będziesz bezpieczny - powiedziała do niego. – Jeśli jednak wolisz sam próbować szczęścia z naszym przyjacielem na górze, nie widzę problemu. Sama mogę powiedzieć Radzie o planowanej blokadzie.

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

– Słuchaj, ten Sith prawdopodobnie wyleciał w powietrze razem z twoim kumplem – powiedział. – Nie będę żałował żadnego z nich.

Darsha poczuła, że ogarnia ją zimny gniew. Nie odwracając wzroku powiedziała:

– I-5, jakie są szanse, że Sith nie żyje?

– Biorąc pod uwagę fakt, że podczas naszej przelotnej znajomości z tym osobnikiem kilkakrotnie udało mu się ocalić głowę w sytuacjach praktycznie bez wyjścia i że zabił przy tym parę innych istot, nie liczyłbym, że jest martwy, dopóki nie zobaczę jego trupa – powiedział robot. – A i wtedy wolałbym, żeby go zamrozili w karbonicie, tak na wszelki wypadek.

– Zgadzam się – skinęła głową Darsha. – Ale masz prawo do własnego zdania, Pavan. Może bezpieczniej będzie, jeśli się rozdzielimy; w końcu to ciebie ściga ten Sith.

Natychmiast zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Nie musiała nawet widzieć spojrzenia, które wymienili, żeby się zorientować, że nie uda jej się wygrywać jednego przeciw drugiemu. Niezależnie od tego, co ich łączyło, była to więź dostatecznie silna, że nie rozpadła się nawet w takich okolicznościach.

I-5 zwrócił się do Pavana:

– Ona ma rację, to ty jesteś głównym celem. Schronienie się u Jedi może być jedynym wyjściem, jakie ci zostało. Przyjmiesz je?

– No pewnie – powiedział Pavan, krzywiąc się z niesmakiem. – Nie jestem taki głupi. Ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać.

– To prawda – powiedziała Darsha. – Ale mógłbyś przynajmniej spróbować być mniej nieprzyjemny. Jeśli musimy znosić przez pewien czas swoje towarzystwo, równie dobrze możemy się postarać, żeby było nam razem miło. – Odwróciła się w stronę lewego tunelu, przeszła parą kroków w jego stronę, po czym odwróciła się i dodała: – Anoon Bondara zginął, ratując ci życie. Nie chcę więcej słyszeć pogardliwych uwag na jego temat.

Ani Pavan, ani I-5 nie odpowiedzieli, gdy ruszyła w dół tunelu. Po paru krokach poszli w jej ślady.

„Nie ma emocji – jest spokój”.

Cóż, może kiedyś. W końcu nie była jeszcze w pełni ukształtowanym rycerzem Jedi, a biorąc pod uwagę obrót spraw, nie zanosilo się na to, by kiedykolwiek nim została. Nie potrzeba jednak Mocy, by zrozumieć pewne prawdy. Na przykład to, że Anoon Bondara był wart tysiąca Lornów Pavanów.

ROZDZIAŁ

18

Lorn nie polubił padawanki. Fakt ten nie zdziwiłby nikogo, kto znał go choćby przelotnie – a na tyle tylko dawał się poznać – bo nigdy nie krył swojej niechęci, gdy wypływał temat rycerzy Jedi. Niejednokrotnie oświadczał każdemu, kto miał ochotę go słuchać, że jego zdaniem nie różnią się zbyt wiele od mynocków, jeśli chodzi o pasożytnicze zwyczaje, a na skali rozwoju galaktycznej ewolucji sytuują się nawet o oczko niżej niż te wysysające cudzą energię stworzenia.

– Kula w łeb to dla nich za wiele – powiedział kiedyś do I-5 - - Właściwie wrzucenie ich do jamy Sarlaka, żeby się marynowali w jego sokach trawiennych przez tysiąclecia też byłoby dla nich za dobre, ale ujdzie do czasu, kiedy pojawi się gorszy rodzaj śmierci.

Nigdy nikomu nie powiedział, dlaczego tak uważa. Z kręgu jego aktualnych znajomych tylko I-5 to wiedział, ale robot nie wydałby nigdy sekretu Pavana.

A teraz, dzięki ironii losu, był niemal dosłownie uwiązany do padawanki Jedi i całkowicie uzależniony od niej, jeśli chodzi o uniknięcie morderczych zamiarów Sitna – przedstawiciela zakonu, który wyodrębnił się z Jedi tysiące lat temu. Wyglądało na to, że w którą stronę by się nie odwrócił, samozwańczy strażnicy galaktyki już czekali, żeby do końca zrujnować jego życie, tak jak już raz zrobili w przeszłości.

Lorn włókł się podziemnymi tunelami za I-5 i Darshą Assant i czuł, jak narasta w nim gorycz. Niewiele czasu potrzebowała, by okazać

mu tę świętoszkowatą wyższość, której tak nienawidził. Wszyscy oni byli tacy sami, z tym upodobaniem do workowatych szat i surowej ascezy oraz gębą pełną frazesów na temat „wyższego dobra”. Wolał już zadawać się z ulicznymi szumowinami; ci przynajmniej byli pozbawieni wszelkiej hipokryzji.

Lorn nie miał wątpliwości co do tego, jak zostanie potraktowany wstąpiwszy z powrotem w progi Świątyni Jedi. Dobrze będzie, jeśli ochronią go przed Sithem, najpierw zastanowią się wspólnie w komnacie Rady nad tym, jak najlepiej wykorzystać informacje, które od niego uzyskali. Bo że znajdą jakiś sposób, by obrócić tę sprawę na swoją korzyść, nie miał najmniejszych wątpliwości. Zawsze tak robili.

Zawsze i z każdym.

Podziemne korytarze, którymi szli, nie były mroczniejsze i bardziej pokrętnie niż labirynt jego wspomnień i nienawiści. Zastanawiał się dziesiątki razy, dlaczego po prostu nie pozwolił Darshy wypaść z samochodu powietrznego, gdy eksplozja pozbawiła ją równowagi. Nie mógł się przecież nawet wykręcić tym, że potrzebował pilota – I-5 doskonale poradziłby sobie z pojazdem. Nie, to musiał być ten najbardziej szkodliwy impuls, który Lorn od lat starał się w sobie wyplenić, i nawet sądził, że mu się to udało – współczucie.

Wspomnienie tego, co zrobił, męczyło go nieznośnie. W ciągu ostatnich pięciu lat przyjął zasadę, żeby nie nadstawiać karku za nikogo z wyjątkiem I-5. Sarkastyczny robot najlepiej pasował do jego definicji przyjaciela. Głównie dlatego, że nie żądał niczego w zamian. Dobrze się składało, bo on nie miał nic do zaoferowania. Wszystko, co czyniło z niego człowieka, zostało mu odebrane pięć lat temu. W pewien sposób, doszedł do wniosku, był nie bardziej ludzki niż robot, który mu towarzyszył.

Zmusił się, aby odwrócić myśli od wspomnień; wiedział, że to najpewniejszy sposób wpuśnięcia w depresję. Nie mógł sobie teraz na to pozwolić; musiał wysilić cały swój pomyślunek, jeśli miał wyjść z tej sytuacji żywy. Wiedział, że nie może liczyć na pomoc Jedi; ufał im mniej więcej w takim samym stopniu jak wściekłemu wampie. Nie bez wysiłku skoncentrował się na otaczającej go rzeczywistości.

Słaba poświata starożytnych fotowypustek ustąpiła kompletnym ciemnościom jakieś pół kilometra wcześniej. Jedynym źródłem światła, którym teraz dysponowali były fotoreceptory robota, zdolne emitować podwójny promień światła niemal równie silny jak reflektory pojazdu. Mogli dzięki temu widzieć, co znajduje się bezpośrednio przed lub za nimi, w zależności od tego, w którą stronę robot zwrócił głowę, ale ze wszystkich innych stron nacierała na nich ciemność. Lorn zaczął odczuwać klaustrofobię. Nie chodziło tylko o wszechogarniający mrok; czuł nad sobą niewyobrażalną masę budowli wiszących nad ich głowami. Coruscant był planetą tektonicznie stabilną – w równym stopniu jak jej centralne położenie zaważyło to na wyborze planety na galaktyczną stolicą – ale mimo iż od tysięcy lat nie odnotowano tu żadnego większego wstrząsu, Pavan nie mógł powstrzymać wizji tego co by się stało, gdyby nastąpił podczas ich wędrówki przez trzewia miasta.

W otaczającym mroku trudno było to stwierdzić, ale sądząc po odgłosie kroków, tunel rozszerzał się stopniowo. Przez ostatnie paręset metrów mijali wyloty odgałęzień korytarza – plamy ciemności w czerni ścian – a wyobraźnia Lorna bez trudu zaludniła te boczne tunele wszelkimi rodzajami mało sympatycznych stworzeń. Pancerne szczury wielkości samochodu powietrznego – to była jedna z wizji, bez których mógłby się obyć. Życie na górnych poziomach Coruscant było czystą przyjemnością, bo problemy związane z zanieczyszczeniem środowiska rozwiązano tam już przed wiekami. Ale za dobrodziejstwa cywilizacji zawsze trzeba płacić, a te cenę płaciły niższe poziomy miasta. Poniżej wyższych pięter strzelających w niebo wieżowców bulgotało prawdziwe bagno odpadów przemysłowych i rakotwórczych substancji chemicznych. Co bardziej sensacyjne programy HoloNetu pełne były wiadomości o coraz to nowych niebezpiecznych mutantach odkrywanych w ściekach i kanalizacji – a w tej chwili Lorn był gotów uwierzyć w każdą z nich. Był pewien, że słyszy po bokach złowróżbne człapanie jakiejś morderczej dwunożnej bestii, która idzie za nimi, sapiąc ciężko, gotowa rzucić się na nich i nasycić swój apetyt. Przestań, nakazał sobie w duchu. To tylko twoja wyobraźnia.

– Słyszeliście? – zapytała Assant.

Zatrzymali się. I-5 omiół otoczenie ze wszystkich stron promieniami fotoreceptorów, zobaczyli tylko stare, omszałe ściany.

– Moje audioreceptory są ustawione na maksimum, ale nie słyszę nic, co wskazywałoby na niebezpieczeństwo. Poza tym mój radar nie wykrywa żadnego ruchu w najbliższej okolicy.

– Twój radar mówi jedno – odezwała się Assant – ale mnie Moc podpowiada co innego. A mianowicie to, że nie jesteśmy tu sami.

– To niemożliwe – powiedział Lorn. Jedi zawsze wyskakiwali z tą swoją Mocą, żeby usprawiedliwić najprzeróżniejsze opinie i czyny. Nie żeby Lorn nie wierzył w istnienie Mocy i zdolność Jedi do manipulowania nią; widział zbyt wiele przykładów jej użycia. Sądził jednak, że stosują ją głównie po to, żeby uzasadnić wątpliwe działania.

– Myślisz może, że stworzenia, które tu żyją, mogą mieć antyradar? – ciągnął. Miał już zjadliwe wymienić kilka dowodów, że pomysł ten był niedorzeczny, gdy nagle coś z pociągłym gwizdem łupnęło go w głowę, pozbawiając na pewien czas zainteresowania kontynuowaniem rozmowy.

Darsha wyszarpnęła Świetlny miecz i włączyła go. Nie miała pojęcia jakiego rodzaju niebezpieczeństwo im grozi, ale była pewna, że czai się wszędzie dookoła. Stanęli z robotem plecami do siebie nieprzytomnym Pavanem. I-5 uniósł dłonie z wycelowanym, przed dęte palcami wskazującymi, jak dziecko, które udaje, że strzela Masterów Obrócił powoli głową dookoła, omiatając otoczenie strumieniami światła emitowanymi przez fotoreceptory. Po ich lewej stronie znajdowało się odgałęzienie jednego korytarza, po prawej – dwóch. Żadnego ruchu. Żadnej wskazówki, z której strony spadła broń, która powaliła Pavana – wygięta pałka, która leżała teraz na podłodze u jego stóp.

– Stoimy tu wystawieni jak na patelni – powiedziała cicho. – Podnieś swojego przyjaciela i oprzyjmy się przynajmniej plecami o ścianę.

Robot nie odpowiedział. Nie opuszczając ani na chwilę lewej ręki, prawa sięgnął w dół, objął Pavana w talii i podniósł nieprzytomnego równie łatwo jak Darsha mogłaby unieść małe dziecko. Zaczęli powoli przesuwać się pod ścianę.

Atak przyszedł z jedyne go kierunku, z którego się go nie spodziewali – z góry.

Bez ostrzeżenia opadła na nich gęsta siatka. Darsha wyczuła ją i cięła mieczem, ale ostrze zazgrzytało jedynie wśród snopów iskier. Zbyt późno zrozumiała, że siatka musi być naładowana jakimś rodzajem pola energetycznego. Poczowała, jak trafia ją promień energii, po czym po raz drugi w ciągu ostatnich godzin spowiła ją ciemność.

ROZDZIAŁ

19

Dyscyplina.

Dyscyplina jest wszystkim. Zwycięża ból. Zwycięża strach.

A co najważniejsze, odwraca porażkę. To dyscyplina pozwoliła Darthowi Maulowi przeżyć upadek z wysokości trzydziestu metrów na rumowisko gruzu – dyscyplina sztuki wojennej teräs käsi, dzięki której miał pełną kontrolę nad swoim ciałem. Pozwoliła w taki sposób pokierować lotem, że udało mu się uniknąć zawadzenia o ozdobne gzymsy, wystające parapety i inne potencjalnie zabójcze elementy architektoniczne. Dyscyplina Ciemnej Strony pozwoliła manipulować grawitacją i zwolnić upadek w stopniu wystarczającym, żeby po uderzeniu o ziemię nie stać się kupką pogruchotanych kości i rozdartych organów wewnętrznych. Mimo oszołomienia nagłym wybuchem, Maul był w stanie pokierować swoim ciałem w taki sposób, aby nie zginąć.

Nawet jednak ktoś w tak dobrej kondycji jak Sith nie mógł wyjść z podobnej eksplozji nietknięty. Upadłszy na stertę gruzu, leżał przez pewien czas półprzytomny, tylko częściowo świadomy drugiego wybuchu, gdy aerowóz wyleciał w powietrze.

„Nie ma bólu tam, gdzie jest siła”.

Darth Maul miał wrażenie, że mistrz od zawsze był obecny w jego życiu, od zawsze był jego częścią – nieprzejednany, nieugięty, niezmordowany. Zanim jeszcze Maul nauczył się chodzić, dyscyplina

była światłem przewodnim jego życia. Darth Sidious ukształtował go, aż ze słabego niedorostka wyrósł na ideał wojownika; rzeźbił jego ciało i umysł, by przekształcić je w idealną bron. Maul był gotów za niego umrzeć bez cienia wątpliwości i bez wahania. Cele Lorda Sidiousa były celami Sitha a ich osiągnięcie, niezależnie od ceny, nie podlegało żadnej kwestii.

Całe życie Maula składało się z treningu, ćwiczeń i szkolenia. Jako młody chłopak, jeszcze przed mutacją, poznał zawile kroki i układy stylu walki teras kast – sekwencje ruchów oparte na technikach łowieckich najgroźniejszych drapieżników galaktyki: Atakujący Wampa, Skaczący Rancor, Tańczący Wężosmok i wiele innych. Ćwiczył gimnastykę akrobatyczną w środowiskach o najrówniejszej grawitacji – od nieważkości po pola grawitacyjne dwukrotnie silniejsze niż na Coruscant. Opanował skomplikowane i niebezpieczne posługiwanie się mieczem świetlnym z podwójnym ostrzem. A wszystko to w jednym celu: być jak najlepszym narzędziem woli swojego mistrza i pana.

Nauczył się nie tylko walczyć. Nauki jego mistrza wykraczały daleko poza tę dziedzinę. Nauczył się działania po kryjomu, podstępów i intryg.

„Sekretne działania mają wielką moc”.

Jednym z najwcześniejszych jego wspomnień była wizyta w Świątyni Jedi. Razem z Sidousem przebrali się za turystów. Jego mistrz posługiwał się Ciemną Stroną na tyle wprawnie, żeby zapobiec groźbie wykrycia ich przez ich wrogów dopóty, dopóki nie przestąpią progów świątyni. A to było i tak mało prawdopodobne – Świątynia nie była otwarta dla turystów. Stali pod nią przed większą część dnia, a Darth Sidious wskazywał mu wchodzących i wychodzących Jedi, podawał mu ich imiona i krótkie charakterystyki. Darth Maul był podekscytowany, gdy uświadomił sobie, że może stać obok Jedi i słuchać, jak jego mistrz szepcze mu do ucha o ich ostatecznej zgubie, a ci nie mają pojęcia o czekającym ich losie.

Na tym polegała chwała i ukryta siła Sithów: że było ich zawsze tylko dwóch, mistrz i uczeń. Mogą podejmować potajemne działania praktycznie tuż pod nosami Jedi, a ci głupcy nie domyśla się tego,

dopóki nie będzie za późno. Dzień upadku Jedi zbliżał się coraz bardziej. Niedługo. Już wkrótce.

Ale Maul i tak nie mógł się tego doczekać. „Gniew to żywa siła. Karm go, a będzie rósł”. Twi'lekianin, z którym dziś walczył, nie był pierwszym Jedi, z którym Maul skrzyżował swój świetlny miecz, a niewiele przed nim dostąpiło tego zaszczytu. Świadomość, że przewyższa umiejętnościami swoich wrogów, była dla Maula źródłem podniecającej radości. Nie mógł się doczekać walki z prawdziwie wielkimi wojownikami Jedi, takimi jak Plo Koon albo Mace Windu. To dopiero byłoby godną próbą. Nie wątpił, że taka okazja się nadarzy. Nienawidził Jedi z taką żarliwością, że sama siła tego uczucia zdolna była urzeczywistnić jego pragnienie.

Już niedługo.

Odzyskawszy przytomność, zorientował się, że leży na stercie śmieci niedaleko miejsca, w którym Jedi stał się sprawcą własnej zguby, a nieomal i zguby Maula. Przetrzęsający odpadki Devaronianin właśnie schylał się po jego świetlny miecz, który leżał obok. Maul tylko spojrzał na złodziejzka – Devaronianin momentalnie zrozumiał, że lepiej zniknąć.

Maul podniósł swój miecz i wstał. Jego mięśnie, kości i ścięgna wyły z bólu, ale ból był bez znaczenia. Najważniejsze, żeby misja została wykonana.

O jakieś sto metrów w dół ulicy leżał wrak rozbitego samochodu powietrznego. Maul zbadał szczątki. Pojazd przygniatały wielkie kawały ferrobetonu i durastali, których usunięcie, nawet przy wykorzystaniu Mocy, potrwałoby zbyt długo. Otworzył zmysły na Moc, starając się wybadać, czy rumowisko ukrywa ciała jego wrogów. Odpowiedź, którą uzyskał, rozwścieczyła go tak, że musiał z całej siły zacisnąć pięści.

Pojazd był pusty.

Możliwe, że podmuch wybuchu wypchnął ich z samochodu powietrznego, zanim jego szczątki spadły na ziemię. Jeśli tak, zwłoki mogli odciągnąć uliczni żebracy albo padlinożercy. Nie był jednak

pewien, czy tak właśnie się stało. Biorąc pod uwagę szczęście, które do tej pory sprzyjało Korelianinowi, Maul wiedział, że nie będzie mógł z całym przekonaniem zameldować Lordowi Sidiousowi o rozwiązaniu problemu, zanim nie przekona się na własne oczy, że Pavan nie żyje. Dla całkowitej pewności powinien jeszcze odciąć jego martwą głowę od reszty korpusu.

Sith zaczął nabierać niechętnego szacunku dla tego Lorna Pavana. Jego zdolność do unikania czekającego go losu można było częściowo przypisać ślepemu trafowi, ale także – i to w znacznej mierze – instynktowi samozachowawczemu. Było rzeczą oczywistą, że nie przeżyłby na dolnych poziomach miasta, gdyby nie posiadał umiejętności przewidywania i wywijania się z tarapatów. Mimo wszystko zrobiło to na Maulu wrażenie. Cóż, zdolność przeciwnika do przetrwania sprawi tylko, że nieunikniony triumf Maula da mu jeszcze większą satysfakcję.

Zaczął przeszukiwać okolicę, wędrując ścieżkami Ciemnej Strony, żeby stwierdzić, w którą stronę się udali. Niemal natychmiast zauważył budkę. Nawet nie używając Mocy, szybko stwierdziłby, że to jedyna logiczna droga ucieczki. Niestety, wybuch samochodu powietrznego zatarasował wejście do podziemi.

Maul zaczynał tracić cierpliwość. Kilka metrów dalej dostrzegł wylot tunelu wentylacyjnego, który wydawał się prowadzić do tej samej podziemnej arterii co budka. Włączył jedno z ostrzy miecza świetlnego i dźgnął nim pokrywę tunelu. Ostrze z łatwością rozcięło metalowe pręty. Resztki kraty spadły w dół tunelu, a Maul wskoczył do szybu za nimi.

Wylądował miękko. Cały tunel drżał jakby od ryku jakiejś olbrzymiej bestii. Maul spojrzał przed siebie i zobaczył zautomatyzowany transportowiec, pędzący na niego z prędkością ponad stu kilometrów. Każdy inny, nawet atleta wytrenowany w środowisku o wyższej grawitacji, zostałby starty na miazgę. Maul wezwał jednak Moc; pomogła mu skoczyć do góry i w bok, jakby przyciągnęła go do ściany elastyczna taśma. Metalowy potwór minął go o milimetry.

Maul znalazł się na wąskim chodniku prowadzącym wzdłuż trasy

transportowców. Omiótł otoczenie wzrokiem i umysłem. Tak, tędy uciekli. Ich ślad nadal unosił się w tunelu.

Darth Maul podjął pościg.

Gdy tylko Lorn zaczął odzyskiwać przytomność, zastanowił się, po co ktoś zadawał sobie tyle trudu, by porwać go z Coruscant i wyrzucić na jednym z galaktycznych gazowych gigantów – najprawdopodobniej na Yavinie. To właśnie musiało mu się przydarzyć; czuł, jak grawitacja i ciśnienie atmosferyczne powoli miażdżą jego ciało. A zwłaszcza głowę. Gaz, którym oddychał, na pewno nie był znajomą mieszanką tlenu i azotu.

A może ktoś porzucił go na zbyt bliskiej orbicie horyzontu zdarzeń czarnej dziury, której przyciąganie rozrywało mu ciało na części? To by tłumaczyło, dlaczego tak wściekle boli go głowa i dlaczego nie czuje dłoni ani stóp.

Lorn zamrugał i zobaczył słabe, zielonkawoszare światło. Uświadomił sobie, że leży na zimnej kamiennej podłodze ze związanymi rękami i nogami. Poświata, choć słaba, była i tak za jasna przy takim bólu głowy. Chyba rzeczywiście tym razem przeholowałem, pomyślał. I-5 miał chyba rację z tym zamrażaniem komórek wątroby, nawet jeśli nigdy nie przyznam mu się do tego.

Coś w tym wszystkim nadal jednak nie pasowało. Wiedział, że zdarzało mu się różnie zachowywać po pijanemu, ale nigdy nie trzeba go było związać. Hmm... Może powinien otworzyć przynajmniej jedno oko – powoli i ostrożnie – i przekonać się, co jest grane.

Na wyciągnięcie ręki od siebie zobaczył twarz przypominającą najgorszy senny koszmar.

Lorn aż się zachłysnął, odruchowo cofając się jak najdalej od szkaradnej postaci. Ten nagły ruch uruchomił detonator termiczny, który ktoś niemiły umieścił w jego czasce; ból był tak silny, że na chwilę zapomniał o ohydnej twarzy, która mu się przyglądała.

Tylko na chwilę.

Twarz przysunęła się bliżej, przyglądając mu się – nie, poprawił się Lorn, nie przyglądając. Żeby się przyglądać, trzeba mieć oczy. Ze

wszystkich odrażających części tej twarzy oczy były niewątpliwie najgorsze. Gorsze niż sinobiała skóra i szorstkie, przypominające mech włosy, gorsze niż pozbawiony warg otwór gębowy, okolony niczym wejście do jaskini pożółkłymi stalaktytami zębów, gorsze nawet niż naga narośl nosa z dwiema prostymi szczelinami nozdrzy.

Oczy były zdecydowanie najgorsze ze wszystkiego.

Bo w ogóle ich nie było. Od masywnych łuków brwiowych u nasady cofniętego czoła aż po wystające kości policzkowe nie było nic poza białą skórą albinosa. Pod skórą, tam, gdzie powinny znajdować się oczodoły, Lorn zauważył dwa jajowate kształty poruszające się niezamordowanie, jedno niezależnie od drugiego. Chwilami stawały się ciemniejsze, jakby gałkę zasłaniały podskórne membrany.

Lorn stykał się z przedstawicielami mnóstwa obcych gatunków w ciągu ostatnich pięciu lat. Na ulicach i chodnikach Coruscant szybko można się przyzwyczaić do widoku najróżniejszych istot. Ale coś w wyglądzie tego potwora było strasznie nie w porządku – jego i jego pobratymców, bo przyzwyczaiwszy wzrok do słabego światła, Lorn zobaczył ich więcej, może kilkunastu, przygarbionych dookoła.

Cofnął się jeszcze bardziej i zaparł o ziemię nogami i łokciami – co nie było łatwe, zważywszy, że jego głowa nadal zachowywała się tak, jakby zasługiwała na własną orbitę. Stwory przysunęły się o krok bliżej, słaniając się groteskowo na ugiętych kolanach i szorując kłykami o ziemię. Lorn rozejrzał się desperacko dookoła, szukając wzrokiem I-5. Czuł, że jeszcze chwila, a nie powstrzyma krzyku przerażenia. Zobaczył Darszę Assant, leżącą na brudnej kamiennej podłodze o jakieś dwa metry od niego, a z drugiej strony I-5. Padawanka wyglądała na nieprzytomną, ale o ile się mógł zorientować, oddychała normalnie. Zauważył – co nie było wielką niespodzianką – że świetlny miecz zniknął z jej pasa z narzędziami. I-5 leżał twarzą do Lorna, który zauważył, że fotoreceptory robota zgasły. Jego główny aktywator musiał zostać wyłączony.

Znajdowali się w rozległej komorze, której strop podtrzymywały żłobkowane kolumny. Światło – jeżeli można było tak nazwać słabą poświatę – emitował fosforyzujący mech porastający ściany. Pomieszczenie wyglądało jak złomowisko; wszędzie poniewierały się

uszkodzone części maszyn i robotów. Śmierdziało jak w trupiarni.

Kiedy Lorn rozejrzał się dokładniej, zobaczył, że pomiędzy rozrzuconymi częściami maszyn i urządzeń walają się też obgryzione kości różnych gatunków istot.

Ostrożnie zmienił pozycję, podkulając nogi pod siebie. Natychmiast poczuł w głowie świdrujący ból, jakby gdzieś obok jazgotały koreliańskie ptaki banshee, ale starał się go zignorować. Gdyby sięgnąć do karku I-5 i włączyć główny aktywator, robot szybko rozprawiłby się z podziemnymi potworami. Ich uszy były nienormalnie duże; niewątpliwie posługiwały się głównie słuchem, żyjąc w niemal całkowitych ciemnościach. Jeden dobrze dobrany pisk z aktywatora mowy I-5 przegnałby je pewnie szybko w cienie, tam gdzie ich miejsce.

Był już niemal pewien, że wie, z jakimi stworzeniami ma do czynienia, chociaż fakt ten nie poprawił mu samopoczucia. A nawet wręcz przeciwnie. Od czasu do czasu, od kiedy wypadł z łask na złe ulice dolnych poziomów Coruscant, słyszał czasem pogłoski o zdegenerowanych humanoidach zwanych Cthonami, zamieszkujących głęboko w podziemnych labiryntach planetarnego miasta. Żyjąc od tysięcy pokoleń w ciemnościach, utracili wzrok tak mówiono. Podobno zachowali pewne podstawowe umiejętności posługiwania się narzędziami, co tłumaczyłoby elektrowstrząsową sieć, której użyli, by ich obezwładnić.

Podobno też byli kanibalami.

Lorn nigdy dotąd nie wierzył w te historie. Zakładał, że opowiadano je, aby skłonić krnąbrne dzieci do posłuszeństwa, tak jak wiele innych, które krążyły na ulicach dolnych poziomów miasta. Teraz jednak stało się oczywiste, że było w nich więcej niż ziarno prawdy.

Cthony podeszły bliżej. Jeden z nich – albo jedna, bo choć oprócz obszarpanej przepaski wokół bioder stwory były nagie, skórę miały tak obwisłą i pomarszczoną, że trudno było rozpoznać płeć – stanął pomiędzy Lornem i I-5.

To już koniec, pomyślał Lorn zaskoczony, że wcale się nie boi. Z rezygnacją pomyślał o drodze, jaką przeszedł – od zamożnego

urzędnika zatrudnionego w Świątyni Jedi do uciekiniera, pożartego przez zmutowanych kanibali w trzewiach Corascant. Nie tak miało wyglądać jego życie.

Cthony podchodziły coraz bliżej. Jeden wyciągnął bladą, owłosioną rękę w jego stronę. Lorn napiął mięśnie. Nie podda się bez walki. Nie pójdzie na rzeź potulnie jak nerf. Tyle przynajmniej mógł zrobić.

Przepraszam, Jax, pomyślał. Cthony były coraz bliżej.

ROZDZIAŁ

20

Obi-Wan Kenobi uruchomił matrycę repulsora schodzącego i opuścił główny sznur pojazdów powietrznych. Podczas gdy jego aerowóz opadał ciasną spiralą w kierunku mgły otulającej dolne poziomy, młody padawan obserwował, jak w monadach i wieżowcach wokół niego zapalają się światła. Zapadał wieczór; różowozłoty blask przygasał, w miarę jak pojazd schodził coraz niżej.

Spojrzał na tablicę kontrolną, upewniając się, że zaprogramował współrzędne posterunku w Karmazynowym Korytarzu. Zauważył, że im niżej schodzi, tym gorzej wyglądają otaczające go budynki – tu odpadająca płatami farba, tam wybita szyba w oknie – ale dopiero kiedy przekroczył granicę mgły, zobaczył prawdziwą różnicę. Ciemne okna o powybijanych szybach otwierały się jak rany w ścianach, a kładki pomiędzy budynkami były opuszczone, a ich bariereki wyłamane.

To inny świat, pomyślał. Przejście przez granicę mgły było jak hiperprzestrzenny skok na jakąś podupadłą, odległą planetę. Obi-Wan wiedział, że takie slumsy istnieją tu i tam na powierzchni Coruscant, ale nie miał pojęcia, że mogą być tak blisko Świątyni Jedi – niecałe dziesięć kilometrów.

Po przejściu przez warstwę mgły włączyły się dolne i przednie reflektory aerowozu, dzięki czemu mógł cokolwiek zobaczyć. Pojazd zawisł kilka centymetrów nad popękaną powierzchnią ulicy. Okolica była opuszczona, z wyjątkiem paru żebraków różnych ras, którzy rozpięzchli się na wszystkie strony, gdy tylko aerowóz się zatrzymał.

Dziwne, pomyślał Obi-Wan; spodziewałby się raczej, że stłoczą się wokół niego, prosząc o jałmużnę. Może miało to coś wspólnego z faktem, że po zmroku władanie tą częścią miasta obejmowały Dzikusy.

Rozejrzał się dookoła i zauważył skoczką Darshy zaparkowanego niedaleko, w cieniu budynku. Wyłączył pole ochronne i wyskoczył z aerowozu.

Kiedy mistrz Qui-Gon Jinn powiedział Obi-Wanowi, że Darsha Assant zaginęła, padawan sam zaproponował, że jej poszuka, zanim jeszcze poprosił go o to jego opiekun. Nie byli wprawdzie przyjaciółmi, ale kilkakrotnie mieli razem zajęcia; Obi-Wan był pod wrażeniem pilności, z jaką dziewczyna oddawała się studiom. Dwa razy odbyli sparingowy pojedynek na miecze świetlne; raz wygrał Obi-Wan, raz Darsha. Kiedyś nawet odbyli wspólną misję. Była bystra i wiedziała o tym. Była inteligentna i o tym też wiedziała. Ale nie powiedziałaby, że jest zarozumiała. Obi-Wan uważał, że Darsha ma w sobie zadatki na wspaniałego rycerza Jedi. I nikt nie musiał go przekonywać, że była też ładna.

Ale nawet gdyby jej nie znosił, zaakceptowałby bez wahania wyznaczoną misję. W końcu był to jego obowiązek. Tym bardziej, że według niego Darsha była osobą niezwykłą nawet pomiędzy Jedi. Miał nadzieję, że nie spotkała jej krzywda. Teraz jednak, kiedy zobaczył jej skoczką, poczuł, że nadzieja w nim gaśnie.

Pojazd był wypatroszony. Niewiele w nim zostało poza karoserią; turbiny napędu, generator mocy, repulsory i wszystko, co nie było zbyt ciężkie, wymontowano i skradziono. W tablicy kontrolnej ziała dziura, jakby wbito w nią jakiś rodzaj wibroostrza, chociaż samej broni nie było nigdzie widać.

Obi-Wan starannie zbadał wnętrze, pomagając sobie małą, ale mocną latarką. Nie zauważył w pojeździe śladów przestępstwa, dostrzegł jednak kilka plamek krwi na ulicy dookoła. Nie sposób było powiedzieć, czy była to krew ludzka.

Kątem oka zauważył jakiś ruch.

Zamarł, ale zaraz się odwrócił. Nie zobaczył nic groźnego wśród wieczornych cieni. Mimo to jednak nadal wyczuwał ruch –

ukradkowy, nerwowy. Dokładnie zapoznano go z niebezpieczeństwami czyhającymi w Karmazynowym Korytarzu ze strony ulicznych gangów i drapieżników, tak ludzkich, jak i innych ras. Nie potrzeba było wiele wyobraźni, aby założyć, że jedno z takich stworzeń czai się właśnie w pobliżu, gotowe uderzyć. Jeśli czyhał na niego cały gang, trudno byłoby mu się obronić nawet za pomocą świetlnego miecza.

Na szczęście miecz nie był jedynym środkiem obrony, jakim dysponował.

Obi-Wan sięgnął do Mocy. Pozwolił zmysłom rozciągnąć się wzdłuż jej niewidzialnych fal: sondował nimi ciemność jak psychicznym radarem. Jeśli gdzieś czai się niebezpieczeństwo. Moc je odnajdzie.

Jego umysł natrafił na umysł innej istoty – słabej i pokrętej, przyzwyczajonej raczej uderzać z ukrycia niż dążyć do bezpośredniej konfrontacji. Ludzki umysł.

Zanim potencjalny napastnik zdał sobie z tego sprawę, Obi-Wan pochwycił jego psychikę. Moc, jak nieraz powtarzał mu mistrz Qui-Gon, może wpływać na słabe umysły. Choć Obi-Wan nie był nawet w połowie tak sprawny w tej dziedzinie jak jego mistrz, umiejętności nowicjusza wystarczyły, żeby wpłynąć na kogoś tak słabego jak ten, kto się tu krył.

– Podejź tu – powiedział cicho, ale autorytatywnie.

Spośród cieni wyłonił się młody człowiek; Obi-Wan ocenił, że może mieć szesnaście-siedemnaście standardowych lat. Ubrany był w podarte ubrania i skórę; zielone włosy, mniej więcej dziesięciocentymetrowej długości, sterczały na wszystkie strony, utrzymywane w tej pozycji polem elektrostatycznym. Padawan wyczuwał w jego umyśle poczucie winy i strach – strach, że stojący przed nim w jakiś sposób się dowiedział, że to on i jego gang napadli na tę drugą Jedi.

Gdzie ona jest? – zapytał Obi-Wan.

– Ja... n-nie wiem, coś ty za jeden...

– Wiesz. Padawanka Jedi, do której należał ten skoczek. Mów szybko, co wiesz, albo... – Obi-Wan opuścił rękę, kładąc ją

sugestywnie na rękojeści świetlnego miecza. Nie zamierzał go użyć, ale nawet zawołana groźba potrafiła działać cuda.

Czuł gniew i nienawiść Zielonowłosego jak kwas w swoim umyśle. Trudno mu było zachować opanowanie.

– No dobra, zabawiliśmy się z nią trochę. Ale spuściliśmy z tonu, jak odrąbała łapę Nigowi. Jak tak bardzo chce ten swój statek, to niech go sobie ma.

– Dokąd się udała?

Zielonowłosy pokręcił głową i wzruszył ramionami. Obi-Wan wsłuchał się w Moc i uznał, że chłopak mówi prawdę.

– Czy był z nią Fondorianin?

– Ano był. – Zielonowłosy uśmiechnął się krzywo. – Dopadły go jastrzębionietoperze. To, co z niego zostało, rozdrapały uliczne śmieciojady.

Obi-Wan poczuł, jak ogrania go rozpacz równie posepna jak otaczająca go ciemność dolnych ulic. Wyglądało na to, że misja Darshy zakończyła się całkowitą porażką, a niewykluczone, że nawet jej śmiercią. Przeczesa oczywiście okolice i wypyta każdego, kogo spotka; spróbuje także wyczuć jej obecność poprzez Moc, ale biorąc pod uwagę, ile czasu już upłynęło i w jak niegościnnym znalazła się środowisku...

– Byli tu jeszcze inni Jedi – powiedział nagle Zielonowłosy. – Nie widziałem ich, ale słyszałem o tym.

– O czym?

– Jeden z moich chłopaków widział, jak ktoś na motorze pościgowym goni drugiego w aerowozie. Dopędził go i była wielka rozróżba. Motor wybuchł, a aerowóz rozbił się nad bulwarem Barsoom. Wielkie bum. Tak słyszałem.

Obi-Wan zmarszczył brwi. Wiadomość zaintrygowała go. To mogła być tylko Darsha i jej nauczyciel Anoon Bondara.

Dokładnie wypytał Zielonowłosego, żeby móc bez trudu trafić na miejsce katastrofy, a potem puścił go wolno. Chłopak zmył się w jednej chwili. Obi-Wan, coraz bardziej zaintrygowany wrócił do swego pojazdu i skierował się we wskazanym przez Zielonowłosego kierunku. Dokładne przesłuchanie i sondowanie umysłu

Zielonowłosego nie wykazało nieścisłości w jego historii – dwie postacie w płaszczach z kapturami widziano w szaleńczym pościgu, a potem na platformie lądowniczej, gdzie starły się w walce z zapamiętaniem tyruzjańskiej wyzymaczki. Pojedynek zakończył się dwoma potężnymi wybuchami, kiedy motor pościgowy i aerowóz eksplodowały.

Obi-Wan kręcił głową, pilotując swój samochód powietrzny przez ciemne, wąskie ulice. Nie było sensu na tym etapie snuć przypuszczeń. Jeśli będzie miał szczęście, wszystko wyjaśni się na miejscu katastrofy.

Niewiele się tu zmieniło; w tych częściach miasta mogły upłynąć miesiące, zanim ekipa robotów sprzątających usunie wrak i gruzy. Badanie poszarpanych i powykręcanych fragmentów aerowozu czy sterty gruzu usypanej obok niewiele powiedziało Obi-Wanowi. Oznaki Mocy wydawały się wskazywać, że zginął tu Jedi, ale od wypadku upłynęło już kilka godzin, a zakłócenia pola energetycznego, które wywołał, były bardzo subtelne i trudne do odczytania. Może powiedziałyby więcej mistrzowi Qui-Gon Jinnowi, ale umiejętności Obi-Wana nie stały jeszcze na tak wysokim poziomie.

Mimo wszystko wyczuwał w tym miejscu coś niepokojącego. Potężne zło, straszliwe zepsucie. Obi-Wan rozejrzał się nerwowo dookoła. Ulica była opustoszała i cicha, ale w tej ciszy czaiła się trwoga i niebezpieczeństwo. Obi-Wan odczuł nieprzepartą pokusę dobycia swego miecza. Nieliczne lampy uliczne, wysokie budynki i unosząca się ponad wszystkim mgła powodowały, że widać było nie dalej niż na metr czy dwa w każdą stronę. Cała armia mogłaby go tu otaczać, niewidzialna w otaczających go ciemnościach, szykująca się do ataku.

Obi-Wan potrząsnął głową, próbując otrząsnąć się z niepokoju, który nagle go opanował. „Nie ma emocji, jest spokój”. Poddawanie się paranoi nie posunie naprzód jego misji. Musiał założyć, że albo Darsha, albo mistrz Bondara, albo oboje nadal żyją. Idąc tym tropem, powinien znaleźć naocznych świadków pojedynku, którzy mogliby

mu opowiedzieć dokładnie, co się wydarzyło. Potrzebował faktów, a nie spekulacji i pogłosek. „Nie ma ignorancji, jest wiedza”.

Wiedział, że to prawda. Jednak trudno mu było stłumić niepokój, kiedy kierował się w stronę najbliższej tawerny, żeby zasięgnąć języka.

Dwie godziny później Obi-Wan jeszcze mniej wiedział, co ma o tym myśleć. Znalazł paru ludzi, którzy chętnie mu opowiedzieli, co się stało, nawet bez nakłaniania ze strony Mocy, ale ich relacje były sprzeczne i mylące. Jedno było pewne: wiele się działo ostatnio w okolicy, nawet jak na standardy Karmazynowego Korytarza.

Nie znalazł nikogo, kto przyznałby, że był naocznym świadkiem pojedynku, ale kilku widziało pościg. Niektórzy mówili, że Jedi było kilku, inni – że tylko jeden albo wcale. Jedni zaklinali się, że aerowóz prowadził robot; inni byli przekonani, że motorem jechał Jedi, jeszcze inni zaprzeczali. Dowiedział się też, że czarno ubrany osobnik – według jednego z przepytanych prowadzący motor – był w jakiś sposób powiązany z inną eksplozją w budynku mieszkaniowym parę ulic dalej. Zginęło tam kilka osób, w tym kobieta – łowca nagród. Było też jakieś zamieszanie w nocnym klubie lokalnego kacyka Czarnego Słońca, Hutta Yantha, w którym również tajemnicza postać w kapturze miała swój udział.

Nic z tego nie układało się w spójną historię.

Od jednego ze świadków dowiedział się, że z dwojga Jedi w aerowozie jeden był Twi'lekianinem, a jego towarzyszką – kobietą rasy ludzkiej. To by wskazywało na Anoona Bondarę i Darszę, domyślił się Obi-Wan. Nadal jednak nie miał pojęcia, czy przeżyli eksplozję. Ten sam świadek powiedział mu, że dwójka Jedi jechała z jeszcze jednym mężczyzną i robotem.

Po chwili namysłu Obi-Wan uznał, że najlepiej będzie sprawdzić w klubie nocnym, co się wydarzyło. Jeśli jego właściciel Yanth był członkiem Czarnego Słońca, mógł wiedzieć coś więcej o całej tej sytuacji niż uliczny tłum.

– Mam złe przeczucia – mruknął pod nosem, kierując się w stronę

klubu.

ROZDZIAŁ

21

Jak z oddali Darsha słyszała odgłosy szarpaniny. Przyływały i odpływały jak morskie fale, w miarę jak stopniowo odzyskiwała przytomność. Raz po raz wypływało pragnienie, żeby to, co się wokół niej działo, skończyło się wreszcie, żeby pozwolono jej osunąć się z powrotem w głąb otchłani mroku, w którą to się zapadała, to niechętnie wyłaniała. Po bólu i strachu, jakiego ostatnio doświadczyła, czuła, że zasługuje na odpoczynek.

Hałas jednak nie mijał, a wręcz przeciwnie – przybierał na sile. Rozpoznała jeden z głosów: Lorn Pavan. Pozostałe chyba nie należały do ludzi; były to głównie pochrząkiwania i gardłowe pomruki.

Wydawało się oczywiste, że Lorn jest w tarapatach. W swoim obecnym stanie półświadomości Darsha nie widziała powodu, żeby przyjść mu z pomocą. Nie lubiła go, a i on nie ukrywał, że nie przypadła mu do gustu. Wyglądało na to, że jego niechęć nie była skierowana konkretnie przeciw niej – nienawidził po prostu wszystkich Jedi. Pod pewnymi względami było to jeszcze bardziej obraźliwe. Wolałaby, żeby nie lubił jej dla niej samej, a nie dla abstrakcji, którą reprezentuje. Łatwiej walczyć z osobistą wrogością niż z uprzedzeniami.

Stawało się jednak coraz bardziej oczywiste, że zmagania, których odgłosy docierały do jej świadomości, nie zakończą się w najbliższym czasie. Nagle, w przypływie przytomności, Darsha przypomniała sobie, co się stało – zostali zaatakowani przez niewidocznego wroga, który zrzucił na nich sieć porażającą. Pod wpływem elektrowstrząsu

straciła przytomność. Niezależnie od tego, gdzie się teraz znajdowała, nie było to dobre miejsce.

Darsha otworzyła oczy i zdołała unieść głowę na tyle, by się zorientować, co się dzieje; ten ruch spowodował, że jej czaszkę, przeszył ból ostry jak strzał z blastera. To, co zobaczyła, wywołało gwałtowny przypływ adrenaliny. Pavan walczył z kilkoma istotami w ciemnościach trudno było powiedzieć o nich coś więcej ponad to, że były dwunożnymi, najprawdopodobniej zdegenerowanymi humanoidami. Jednego z nich Pavan zdołał powalić na omszałej kamiennej podłodze obok robota leżała bezwładna postać.

Darsha uniosła się na klęczki. Zwróciła tym uwagę kilku stworów zacieśniających krąg wokół Pavana. Odwróciły się i powłócząc nogami ruszyły w jej stronę. Paszcze miały otwarte; Darsha zobaczyła falującą skórę zarastającą oczodoły. Przerazający widok spowodował, że serce zaczęło jej walić jak młotem.

Przywołała ku sobie Moc. Nadal klęcząc, wyrzuciła przed siebie obie ręce z rozcapierzonymi palcami i posłała w ich stronę podwójną falę niewidzialnego pola energetycznego. Niespodziewany atak powstrzymał stworzenia; cofnęły się o krok, wyjąc przeciągle ze strachu i gniewu. Ohydny skowyt wibrował i odbijał się od ścian komory.

Darsha wykorzystwała ten moment, żeby stanąć na nogi. Instynktownie sięgnęła w stronę pasa po świetlny miecz; to, że go tam nie znalazła, specjalnie jej nie zaskoczyło. Nie miała czasu szukać go teraz, tym bardziej że kolejni podludzie ruszyli w jej stronę. Chociaż zbliżali się wolno, trudno ich było uniknąć, zważywszy, ilu się znajdowało w niewielkim pomieszczeniu.

Pavan, w którego wczepiło się dwóch podludzi, zauważył, że się ocknęła.

– To Cthony! – krzyknął. – Kanibale!

Jego słowa przyprawiły Darszę o dreszcz strachu i obrzydzenia. Jak większość mieszkańców Coruscant, słyszała historie o pozbawionych wzroku podludziach, ale nigdy nie sądziła, że mogą mówić prawdę. Strach dodał jej sił, ponownie odepchnęła istoty falą Mocy. Byli jednak silniejsi, niż mogła się spodziewać po ich

wyglądzie, i nieustępliwi; powaleni, szybko wstawali i znowu nacierali z przeraźliwym wyciem.

Pavan radził sobie gorzej niż ona, mając do dyspozycji tylko własne pięści i stopy. Cthony zaczęły go wlec ku najciemniejszemu zakątkowi komory.

– Wyłączyli I-5! – krzyknął do niej. On może nam pomóc!

Rzeczywiście, pomyślała Darsha. Przekonała się, jak silny jest robot, kiedy wyciągał i ją, i Pavana z aerowozu, zanim pojazd eksplodował. Spojrzał na I-5; nawet w wątej poświacie zdołała dostrzec, że główny aktywator na jego karku jest wyłączony.

Czy zdoła go włączyć? Nie miała szans dotrzeć do niego, a nie była zanadto pewna swoich umiejętności manipulowania Mocą na odległość, zwłaszcza w takich okolicznościach. Czym innym było użycie jej jak tarana przeciwko wrogom, a czym innym przekręcenie małego przełącznika odległego o kilka metrów.

Odsunęła od siebie wątpliwości. Musi to zrobić – inaczej oboje z Pawanem zostaną dosłownie pożarci.

Skoncentrowała myśli na robocie; wyczuła cienką nitkę energii łączącą jej umysł z chłodnym metalem przełącznika. Pchnęła go myślami, wyczuwając opór.

Jeden z Cthonów zaatakował ją od tyłu.

Darsha zagryzła usta, żeby nie krzyknąć z zaskoczenia i szoku. Poczowała, że niewielki durastalowy przełącznik niemal wysuwa się z jej osłabionego mentalnego chwytu, więc całą siłą woli pchnęła ku niemu promień Mocy. W tym momencie Cthon przewrócił ją na plecy, a na szyi poczuła wilgotne, kościste jak u nieboszczyka palce.

Przeciągłe wycie, niepodobne do żadnego odgłosu, jaki zdarzyło jej się dotąd słyszeć, wypełniło nagle pomieszczenie. Sprawiało wręcz fizyczny ból. Świdrowało w uszach, wkręcając się pod czaszkę jak żywy, żarłoczny robak. Cthon puścił ją, a Darsha zatoczyła się do tyłu, zasłaniając uszy dłońmi. Pomogło, ale tylko trochę.

Cthonom jednak przenikliwy dźwięk sprawiał znacznie większy ból niż jej. Oczywiście – żyjąc w wiecznych ciemnościach, musiały w ciągu pokoleń rozwinąć słuch, żeby zrekompensować utratę wzroku. Ich skowyt i jęki agonii były ledwo słyszalne poprzez nieprzerwane

wycie, które – jak zdążyła się zorientować Darsha – wydawał z siebie I-5.

Robot był już na nogach. Szybko przepchnął się przez oszołomioną grupę podludzi w stronę Lorna Pavana; ani na chwilę nie przerywał rozdzierającego uszy pisku. Cthony, które odciągały w kąt Pavana, zwijały się z bólu na podłodze, podobnie jak ich towarzysze. Darsha ruszyła w ślady robota. I-5 podniósł Pavana i skierował się ku ciemnemu otworowi tunelu w ścianie komory. Nieważne, dokąd prowadził – na pewno było tam lepiej niż tu.

Ale szanse, że gdziekolwiek dotrą, nie wyglądały najlepiej. Choć nadal cierpiące, Cthony rozpoczęły pościg, niewątpliwie przynaglone widokiem uciekającego obiadu. Darsha pchnęła w obie strony niewidzialną falę, zmiatając z drogi trzech z nich. Większa grupa zaczęła się jednak gromadzić z przodu, blokując im drogę ucieczki.

Darsha rozejrzała się dookoła, desperacko szukając czegokolwiek, co mogłoby posłużyć za broń... i zobaczyła swój świetlny miecz, porzucony niedaleko na stercie odpadków i złomu. Westchnęła głęboko ze zdziwienia i wdzięczności, ale natychmiast sięgnęła po broń dłonią i umysłem. Miecz sam pomknął ku jej ręce. Jeden z Cthonów wyczuł, jak leci w powietrzu i niezdarnie podskoczył; na szczęście nie udało mu się dosięgnąć. Upadł na ziemię tuż przed Darską, która poczuła, że miecz trafia prosto w wyciągniętą dłoń. Włączyła przycisk aktywatora i usłyszała znajomy, miły trzask, gdy żółte ostrze wysunęło się na pełną długość.

Chwyliła broń oburącz, kreśląc w powietrzu ósemkę. Trudno jej się było skoncentrować, bo I-5 nie wyłączył swojej przeraźliwej syreny, więc czuła, że za chwilę pęknie jej głowa. Miała nadzieję, że Cthony znoszą, to jeszcze gorzej.

W obliczu podwójnego zagrożenia, jakie stanowił jej miecz i wycie I-5, podludzie nie mieli wyboru, musieli się wycofać. Darsha, Pavan i I-5 rzucili się do desperackiej ucieczki – robot na przedzie, Darsha w tylnej straży. Goniły ich rozwścieczone ryki prześladowców, ale nic poza tym.

Fosforyzujące porosty na ścianach rosły jeszcze na niewielkim odcinku podziemnego tunelu. Dalej pojawiały się tylko kępki,

których poświata nie była w stanie rozproszyć ciemności. I-5 włączył fotoreceptory; w ich świetle zobaczyli, że znajdują się w murowanym tunelu niewiele wyższym niż Lorn. Tunel nie biegł prosto; lekko zakręcał, najpierw w prawo, potem w lewo.

I-5 umilkł, gdy komora Cthonów znikła im z oczu. Z biegu przeszli w szybki marsz. Darsha musiała dobrze wyciągać nogi, chcąc nadążyć za robotem i mężczyzną, a każdy krok na twardym bruku odzywał się kluciem w jej głowie. Gorąco pragnęła, aby w repertuarze dźwięków wydawanych przez I-5 były i takie, które leczą ból głowy.

Jakby czytając w jej myślach, robot zaczął emitować inny dźwięk – niski świergot, całkowicie odmienny od niemelodyjnej syreny. Świergot ten w jakiś dziwny sposób wydawał się przenikać jej mięśnie do każdej komórki ciała – subtelnie wibrował, wymiatając z nich wszelkie toksyny i cały ból. Kiedy po kilku minutach umilkł, czuła się może nie jak nowo narodzona, ale zdecydowanie lepiej.

Po następnych kilku minutach I-5 przystanął. Pavan i Darsha również się zatrzymali, a Darsha wyłączyła swój świetlny miecz.

– Moje czujniki nie pokazują, że ktoś za nami idzie – powiedział robot.

– Tak czy owak, lepiej stąd chodźmy -odparł Pavan. – Już raz się pomyliłeś, no nie?

– Nie miej do niego urazy – powiedziała Darsha. – W końcu znowu uratował nam życie.

– Niezależnie od tego, jak bardzo jestem złąkniony uznania, muszę zauważyć, że tym razem to ty nas uratowałaś – powiedział I-5. – Nic bym nie zrobił, gdybyś mnie nie włączyła. – Robot mówił do Darshy, ale patrzył na Pavana.

Pavan milczał przez chwilę, po czym skrzywił się, spojrzał na Darszę i powiedział.

– Facet ma rację. Dziękuję.

Słowa te najwyraźniej przychodziły mu z równym trudem jak pasanie stada dzikich banthów. Dlaczego tak bardzo nienawidzi Jedi? – zachodziła w głowę Darsha. Głośno zaś powiedziała:

– Nie ma sprawy. Ty uratowałaś mi życie, wyciągając mnie z wozu. Jesteśmy kwita.

Pavan spojrział na nią wzrokiem, w którym było tyleż wdzięczności, co niechęci. Odezwał się do I-5:

– Znajdź nam najkrótszą drogę na powierzchnię. Nawet Dzikusy wydają się równymi gośćmi w porównaniu z mieszkańcami tej okolicy.

Robot kiwnął głową i ruszył dalej. Darsha i Pavan poszli za nim. Nikt się nie odzywał, co nawet odpowiadało Darshy. Idąc za Lornem Pavanem, znowu zaczęła się zastanawiać, co było przyczyną jego gwałtownej niechęci w stosunku do niej i do zakonu.

Mogła go oczywiście po prostu zapytać. Jedynym powodem, że dotąd tego nie zrobiła, był permanentny brak czasu; od pierwszej chwili, kiedy się spotkali, ciągle musieli przed kimś lub przed czymś uciekać. Instykt podpowiadał jej jednak, że nie przyszedł jeszcze właściwy moment, więc milczała. Może kiedy wyjdą z tych grobowych labiryntów – jeśli w ogóle im się to uda – poruszy ten temat. Na razie wyglądało na to, że lepiej się z tym nie wrywać.

– Jestem zdziwiony, że Cthony tak łatwo się poddały – odezwał się nagle Pavan do robota. – Nawet za nami nie pobiegły.

– Też się nad tym zastanawiałem – powiedział I-5. – Przychodzą mi na myśl dwie możliwości, a żadna z nich nie jest specjalnie przyjemna. Pierwsze wyjaśnienie, to że mogą planować jakąś inną pułapkę.

– Też mi to przyszło do głowy – przyznał Pavan. – A druga możliwość?

– Że gdzieś przed nami znajduje się coś, czego nawet Cthony się boją.

Pavan nie odpowiedział. Noga za nogą wędrowali przez podziemia planetarnego miasta. Darsha rozmyślała nad słowami robota. Wróżyły nieciekawym obraz ich najbliższej przyszłości. Co mogło być gorszego od Cthonów?

ROZDZIAŁ

22

Darth Maul szedł za głosem instynktu. Instynkt zaś poprowadził go kawałek wzdłuż tunelu transportowego, potem w dół schodami, stamtąd zaś do ciemnego tunelu. Poruszał się szybko, choć ostrożnie. Wiedział, że tu, głęboko w podziemiach planety, żyły istoty, z którymi nawet Lord Sithów miałyby ciężką przeprawę. One jednak też nie powstrzymałyby go przed pochwyceniem zwierzyny, którą ścigał, żeby ostatecznie wypełnić swoją misję.

Najpierw zabije Pavana, a to z dwóch powodów: przede wszystkim dlatego, że był jego pierwotnym celem, ale również po to, aby nie zawadzał mu, gdy będzie zabijał Jedi. Nie przewidywał, że zdoła dotrzymać mu pola w walce. Miał wrażenie, że była uczennicą Twi'lekianina, którego zabił, a zatem nie będzie mu trudno ją pokonać. Mimo wszystko jednak była Jedi, więc zabawi się z nią trochę, zanim zada śmiertelny cios. Uważał, że zasłużył sobie na odrobinę rozrywki po tych wszystkich kłopotach, jakich mu przysporzyli.

Podziemna trasa, którą szedł, prowadziła przez ciemności tak czarne jak mgławica węglowa. Nawet Maul, który miał wzrok znacznie bardziej czuły niż przeciętny człowiek, z trudem znajdował drogę. Polegał nie tyle na wzroku, ile na sygnałach odbieranych poprzez Moc, która go prowadziła. Wyczuwał ich przed sobą – tym razem nie da się wyprowadzić w pole.

Z trudem opanował niecierpliwość. Chciał pobiec, żeby szybko zmniejszyć dystans dzielący go od ofiar i skończyć z nimi raz na

zawsze. Tylko głupiec jednak biegnie po nieznanym, wrogim terytorium, a Darth Maul głupcem nie był.

Zsunął kaptur na plecy, aby lepiej słyszeć wszelkie odgłosy, które mogłyby wskazywać na niebezpieczeństwo. Nagle przystanął gwałtownie, wsłuchując się w słabe wibracje.

Nie był sam.

Zatęchłe powietrze stało nieruchomo i nawet zakłócenia w Mocy, które wyczuł, były niezwykle subtelne. Nie miał jednak cienia wątpliwości, że jest obserwowany. Niemal niezauważalne różnice jasności otoczenia powiedziały mu, że znajduje się w szerszej części tunelu, od której odchodzi w bok kilka odgałęzień. Spodziewał się, że właśnie stamtąd nadejdzie atak.

Bardzo wolno położył dłoń w rękawicy na rękojeści miecza przypiętego do pasa.

Nie spodziewał się ataku z góry, ale nie dał się zaskoczyć. Wyczuł spadającą na niego z góry siatkę porażającą. Wiedział, że jeśli spróbuje ją przeciąć ostrzem miecza, doprowadzi do wyładowania, które pójdzie w górę po jego ramieniu ze wszystkimi konsekwencjami porażenia elektrycznego. Zamiast tego rzucił się na podłogę i przeturlał poza zasięg siatki. Zerwał się na nogi, zapalając jednocześnie oba ostrza miecza.

I wtedy go opadli.

Darth Maul zanurzył się w Ciemnej Stronie i poddał jej wskazówkom, czerpiąc z niej siłę do ciosów. Stał w samym środku kłębiących się wokół przygarbionych postaci, widocznych jedynie w stroboskopowych błyskach ostrzy miecza. Rozpoznał gatunek, o którym uczył się, studiując dane o mieszkańcach Coruscant: to Cthony, zdegenerowani podludzie żyjący w podziemiach, przez wielu uczonych uważani tylko za legendę. Jego mistrz będzie bardzo zainteresowany, kiedy się dowie, że naprawdę istnieją. Oczywiście zakładając, że Maul nie wyrznie ich wszystkich.

W chwili, kiedy atak się załamał, a Cthony z wyciem puciekwały w boczne tunele, ich populacja była znacznie mniej liczna. Z tego, co Maul zdołał dostrzec w ciemności, zabił dziewięć z tych odrażających stworów.

Ruszył dalej śladem swoich ofiar. Zastanawiał się, czy Pavan i młoda Jedi też natknęli się na Cthony. Jeśli tak, to całkiem możliwe, że nie przeżyli tego spotkania. Może więc jego zadanie dostało wykonane przez kogoś innego. Rozczarowałoby go to, zostałyby bowiem pozbawiony przyjemności odebrania im życia, ale przynajmniej jego misja dobiegłaby końca.

Nie mógł zresztą zakładać, że tak właśnie się stało, dopóki nie będzie miał w ręku pewnych dowodów. Pavan zdecydowanie okazał się trudniejszy do zabicia niż można się było spodziewać.

Przyspieszył kroku Zagłębiał się coraz bardziej w wieczną noc podziemi, nie tracąc czujności na wypadek, gdyby znów ktoś go zaatakował.

Maszerując za I-5 ciemnym tunelem, Lorn rozważał możliwe wyjścia z tej sytuacji. Nie było ich zbyt wiele. Przez te wszystkie lata, pracując jako przedsiębiorca, pośrednik w handlu informacjami czy nawet pomagając Jedi, nie natrafił dotąd nigdy na tak trudne zadanie. Uciekać przed Sithem, który w ogóle nie powinien istnieć, przez najgłębsze otchłanie miasta, narażać się na atak wygłodniałych kanibali... ambitne zadanie, nie ma co.

Założywszy, że uda im się wrócić na powierzchnię, z powrotem do cywilizacji, jaki powinien być jego kolejny ruch?

Wiedział, że padawanka zamierza zabrać go prosto do świątyni, żeby tam podzielił się swoimi informacjami z Jedi, takimi jak Mace Windu i inni członkowie Rady. Wśród priorytetów Lorna takie posunięcie było na szarym końcu listy. Na pewno Jedi najlepiej mogli go obronić przed Sithem – zakładając, że eksplozja nie zabiła jego prześladowcy – ale z punktu widzenia Lorna takie rozwiązanie było niemal równie złe jak problem, którego dotyczyło. Miałby znowu dać się wykorzystać zakonowi? Sama myśl o tym była bolesna; przywoływała zbyt wiele wspomnień, o których Pavan z wielkim trudem próbował zapomnieć. Zamiast więc wybierać rozwiązanie, od którego robiło mu się niedobrze, zaczął rozważać jedyną oczywistą alternatywę: ucieczkę.

Najważniejsze pytanie brzmiało: jak dostać się na pokład statku, który zabrałby jego i I-5 dostatecznie daleko, żeby ani Sith, ani Jedi go nie wytropili? Transport przyprawy, z którym mieli uciec, dawno już odleciał, ale na pewno nie był to jedyny możliwy statek. Kiedy już opuszczą Coruscant, reszta pójdzie łatwiej. W końcu galaktyka jest niemała. A Sithów nie było pewnie tak wielu, bo inaczej Jedi już by się o nich dowiedzieli. A jeśli rzeczywiście jest ich tylko kilku, nie będą przecież tracić czasu na ściganie jednego nic nie znaczącego handlarza informacji.

Plan był zatem taki: dostać się na szybki statek, najlepiej przemytniczy, i odlecieć z Coruscant. Nie wiedział na razie, jak zapłaci za przelot, ale coś wymyśli. Mogli udać się na jakąś odległą, zapadłą planetę w rodzaju Tatooine, zaszyć się w Morzu Wydm na pustyni Jundlandii i przeczekać, wtapiając się w otoczenie. Po kilku latach może uda się otworzyć tawernę w jakimś miejscu w rodzaju Mos Eisley. Niespecjalnie podniecająca kariera, ale da się przeżyć.

Należało się, naturalnie, liczyć z możliwością, że I-5 nie będzie zachwycony takim obrotem spraw. W środowisku Tatooine roboty potrzebują częstych kąpiei w oleju. Lorn spojrział w zamyśleniu na maszerującego przodem partnera. Metaliczna powłoka robota odbijała błyski światła rzucanego przez jego fotoreceptory. Musi z nim obgadać ten plan, przekonać się, czy robot nie ma jakiś uzupełniających pomysłów w kwestiach pieniężnych. I-5 zwykle podsuwał mu rozwiązania idealnie dopełniające jego własne plany. Żeby to jednak zrobić, musieli choć na chwilę pozbyć się tej Jedi.

Darsha. Ma na imię Darsha.

Ku własnemu zdziwieniu Lorn stwierdził, że czuje się trochę winny na myśl o tym, że zostawi ją na łodzi. Od tak dawna hodował w sobie nienawiść do Jedi, że trudno było mu dostrzec w nich konkretne osoby. A przecież uratowała mu życie. Trudno przejść do porządku dziennego nad faktem, że była Jedi, bo przecież w głębi duszy wiedział, że jest też po prostu człowiekiem. I to nawet sympatycznym, choć trudno było w to uwierzyć. Pod wieloma względami zasługiwała nawet na podziw. Biorąc pod uwagę, że jej nauczyciel i opiekun dopiero co zginął w eksplozji, nad podziw

dobrze radziła sobie z rozpaczą po jego śmierci. No i nie można jej odmówić zasługi za to, że ocaliła ich wszystkich przed Cthonami.

Na pewno nie z czystej sympatii do ciebie, pomyślał Lorn. Zrobiła to dla informacji, które masz.

Pokiwał głową. Musiał pamiętać o tym, że Jedi nigdy nie robili nic, co nie służyłoby ich interesom. Nic. Niewiele mu przyjdzie z tego, że wpadnie w ich łapska.

Nie, najlepiej uciec. Z drugiej strony, nie stać go było teraz nawet na przelot śmieciarką.

I wtedy sobie przypomniał – Tuden Sal! Kilka miesięcy temu odstąpił właścicielowi sieci restauracji informując, która pozwoliła mu zachować pozwolenie na wyszynk. Dobrze mu się wtedy powiodło, więc zadowolił się w zamian zaledwie kilkoma drinkami – no dobra, więcej niż kilkoma – ale Sal obiecał mu przysługę, jeśli nadejdzie dzień, kiedy Lorn będzie jej potrzebował.

Uznał, że taki dzień właśnie nadszedł. Tuden Sal znany był z mocnych powiązań z paroma organizacjami przemytniczymi, nie wyłączając Czarnego Słońca. Będzie wiedział, jak ich przerzucić poza Coruscant. Lorn poczuł nagły przypływ energii. Plan był dobry – jeśli tylko utrzyma się przy życiu dostatecznie długo, by z niego skorzystać.

Idący przed nim robot zwolnił. W powietrzu dało się wyczuć zmianę. Echo ich kroków było teraz głębsze i dochodziło jakby z daleka.

– Może zainteresuje was informacja – powiedział I-5 – że jaskinia, do której właśnie weszliśmy, jest szeroka na siedemset standardowych metrów, długa na dwieście, a jakieś czterdzieści do pięćdziesięciu metrów nad naszymi głowami wyrastają stalaktyty. Półka, na której się znajdujemy, kończy się, niestety, za siedem metrów nad przepaścią o głębokości... – przerwał – ...będącej poza zasięgiem skromnych możliwości moich sensorów – dodał po chwili.

Cudownie, pomyślał Lorn.

Darsha usłyszała, jak Pavan wzdycha ciężko.

– Może jeszcze mi powiesz – odezwał się – że mamy ją przeskoczyć?

– Niekoniecznie, jeżeli nauczyłeś się od naszego znajomego Sitha lewitacji – odparł robot.

Darsha sięgnęła w przestrzeń Mocą. Nie wyczuła nic specjalnego oprócz podstawowych śladów życia, takich samych jak w każdym innym miejscu.

– Przepaść wydaje się pusta.

– Dzięki za wiadomość, o wielka mistrzyni Mocy, ale jakoś mnie to nie uspokaja – odezwa! się zgryźliwie Pavan. – Na podstawie naszych dotychczasowych doświadczeń można dojść do wniosku, że twoje umiejętności czasami zawodzą.

Spojrzała na Pavana.

– Zdarza się, że nawet mistrzowie Jedi, a ja do nich nie należę, dają się zaskoczyć prymitywnym istotom pozbawionym wrażliwości na Moc. Istoty, których fale psychiczne tworzą tylko drobne zakłócenia na powierzchni Mocy, są czasami praktycznie niewidzialne. – Nagle przypomniała sobie, jak mistrz Bondara skoczył w stronę Sitha, i zamilkła.

Po chwili I-5 powiedział:

– Mam też i dobrą wiadomość. Wygląda na to, że jest tu most.

Darsha podeszła do robota, stojącego na krawędzi przepaści. Aby utrzymać równowagę, oparła się na ramieniu Pavana, ale czując, jak cały zeszywniał, cofnęła dłoń.

O co mu chodzi? – pomyślała. Co takiego, w jego mniemaniu, zrobili mu Jedi, że tak bardzo nienawidzi jej i całego zakonu? Darsha przypomniała sobie wyraz twarzy mistrza Bondary, gdy Pavan powiedział, jak się nazywa. Jej nauczyciel musiał słyszeć to nazwisko. Co się wydarzyło? Darsha nie była wścibska, ale tym razem postanowiła, że gdy tylko wróci do świątyni, postara się dowiedzieć czegoś na ten temat.

Właśnie, pomyślała. Tak jakby po tym wszystkim nadal czekało tam na nią miejsce. Zawiodła podczas próby, pozwoliła, żeby zginął jej mistrz i omal nie skończyła jako kolacja ślepych potworów. Co z niej za Jedi?

Nie najlepszy, musiała przyznać.

Potrząsnęła głową, próbując odegnać ogarniającą ją rozpacz. Nie ma emocji, jest *spokój*. *Popęłniła błędy, to prawda, i pewnie straciła szansę na zostanie rycerzem Jedi*. Ale dopóki Mace Windu albo inny członek Rady nie zwolnią jej z obowiązków, nadal będzie je wypełniać najlepiej, jak potrafi. Doprowadzi Lorna Pavana do świątyni, bo posiadane przez niego informacje są ważne dla Rady. Mogą pomóc w zachowaniu porządku i zapobiec nadużyciu władzy. To zrobiłby Jedi, i to właśnie robi ona.

Na szczęście Pavan nie we wszystkim przypominał Fondorianina Ooltha. Tamten był tylko hałaśliwym tchórzem. Pavana trudno rozszyfrować, ale do tej pory zachowywał się lojalnie i odważnie. Tylko jego nienawiść do Jedi utrudniała kontakt.

I-5 zwiększył moc światła wysyłanego przez receptory i oświetlił nimi most.

Kilka grubych lin, zszarzałych i zakurzonych ze starości, rozciągało się od wylotu tunelu w ciemność, poza zasięg światła emitowanego przez robota. W poprzek lin ktoś ułożył najdziwniejszy asortyment przedmiotów – drewniane płyty, kawałki blach i inne różności. Miały ze sobą wspólne tylko to, że były w miarę płaskie i wytyczały kierunek, w którym chcieli iść.

Lorn dał krok do przodu i wszedł na jedną z lin. Dziewczyna zauważyła, że świetnie zachował równowagę i wylądował z naturalnym wdziękiem. Kiedy zobaczył, że Darsha go obserwuje, odbił się mocno i podskoczył, robiąc w powietrzu szybkie salto.

– Liny wyglądają dość solidnie – powiedział, kiedy już wylądował pewnie na nogach. Przez chwilę czekał, zanim odpowiedział na jej nieme pytanie:

– Trenowałem kiedyś sporty w nieważkości, kiedy jeszcze... eee... prowadziłem lepsze życie.

– Jeśli skończylicie te końskie zaloty – wtrącił I-5 – to warto spróbować przeprowić się na drugą stronę. Może pamiętacie, że ściga nas Sith?

– Słucham? – zapytał Lorna.

Zaloty? -pomyślała Darshah oburzona.

– Twój robot ma rację – powiedziała na głos. – Musimy iść dalej.
Zaloty, też coś, pomyślała, wchodząc na prowizoryczny most. Po
moim trupie.

ROZDZIAŁ

23

Lorn żałował, że nie ma broni.

Idący przed nim I-5 miał swoje blasterowe palce i jeszcze parę sztuczek w zanadrzu, a zamykająca pochód Darsha – świetlny miecz.

Nie chodziło o to, że w tej chwili groziło im jakieś niebezpieczeństwo, ale broń – jakakolwiek – dałaby mu większe poczucie kontroli. Choć bez broni zachowywał większą czujność, to w porównaniu z wyposażonym w doskonałe receptory robotem i wrażliwą na Moc dziewczyną czuł się jak ślepiec.

Posuwali się powoli. Most nie miał poręczy, a deski i płyty, po których szli, nie wyglądały na zbyt solidnie przytwierdzone do podtrzymujących je lin.

W rzeczywistości miało się wrażenie, że zostały narzucone na wierzch długo po tym, jak ktoś przeciągnął liny nad przepaścią. Ale kto to zrobił? Może Cthony? Trudno powiedzieć. Most, zauważył Lorn, miał bardzo dziwną konstrukcję. Oprócz lin wzdłuż trasy, którą szli, co kilka metrów umocowano liny w poprzek mostu. Niektóre zwieszały się od sklepienia pieczary, co było logiczne, inne jednak biegły w dół.

Do czego to wszystko mogło służyć?

Wypowiedział na głos to pytanie.

– Biorąc pod uwagę głębokość jaskini – powiedział I-5 – wydaje się prawdopodobne, że konstrukcja ta stanowiła kiedyś zejście do podziemnych oceanów.

To możliwe, pomyślał Lorn. Zabudowania Coruscant, poza

kilkoma parkami, powstały poza masywem łądów. Woda musiała znaleźć jakieś ujście.

– Ale do czego służył ten most? Ma w końcu dość prymitywną konstrukcję. Dlaczego nie zbudowano czegoś poręczniejszego?

Robot zatrzymał się i obejrzał przez ramię, błyskając światłem z fotoreceptorów.

– Może to Cthony go zbudowały? Dlaczego nie możesz po prostu zadowolić się tym, że jest tam, gdzie trzeba, właśnie wtedy, gdy go potrzebujemy?

Lorn uniósł brew.

– Ktoś ci nasikał w baterie, że się tak wściekasz? – wymamrotał.

Zza pleców usłyszał chichot. Świetnie. Najpierw przegadał go własny robot, a teraz naśmiewa się z niego Jedi.

– Muszę wreszcie was o to zapytać... – odezwała się Darsha. – Jakim cudem zostaliście partnerami?

– Jestem pod wrażeniem. Udało ci się wymyślić jeszcze bardziej nieciekawy temat – powiedział I-5.

– Może ty nie potrzebujesz odrobiny rozrywki – powiedziała Darsha – ale mnie by się przydała po paru ostatnich godzinach.

Miała rację. Odpowiedział jej Lorn, sam nieco tym zaskoczony:

– Kupiłem I-5 kilka lat temu, kiedy zacząłem pośredniczyć w handlu informacjami. Był robotem protokolarnym w zamożnej rodzinie, której niańczył dzieci... bachory rozpuszczone po prostu wyjątkowo. Kazały mu na przykład skakać z dachu, żeby sprawdzić, jak wysoko się odbije.

Wspomnienie zaskoczyło go swoją intensywnością. Nagle poczuł zatechły zapach sklepu handlarza złomem – mieszanek woni płynów hydraulicznych i ozonu z gotujących się obwodów. Dzień był wilgotny, a on czuł się zmęczony. Zaledwie kilka dni wcześniej wylano go ze Świątyni Jedi – choć nie tak to, oczywiście, zostało określone.

„Nic ma emocji, jest spokoj”.

Czytał te słowa tysiące razy, studiując swoich wrogów, walcząc o odzyskanie kontroli nad życiem własnym i Jaksa. Te słowa nigdy nie miały dla niego sensu, nie nabrały go i teraz.

– Pomyślałem, że może mieć w pamięci jakieś ciekawe informacje, które mógłbym sprzedać, więc kupiłem go i doprowadziłem do porządku.

Lorn przypomniał sobie pierwsze słowa, jakie wypowiedział robot. Uderzyła go w nich absolutna bezradność i brak nadziei, które przypomniały mu jego własną sytuację.

– Jestem I-5YQ, robot protokolarny – powiedział, a po chwili przerwy, gdy włączyła się główna sekwencja wstępna, dodał: – Czy będziesz mnie krzywdzić?

Słyszając to Lorn poczuł, jak ogarnia go wściekłość. On też czuł się ostatnio rozbity na kawałki, głęboko skrzywdzony przez łych, którzy podobno mieli go chronić.

Przez Jedi.

Darsha zauważyła, że Lorn umilkł. Coś w opowiadanej historii wyraźnie go poruszyło coś, o co nie chciała go wypytywać. Zapytała więc robota.

– A więc naprawił cię, a ty namówiłeś go, żeby został partnerem?

I-5 milczał chwilę, zanim odpowiedział:

– Lorn bardzo ucierpiał przez swoich... pracodawców. Czuł, że jestem pod tym względem pokrewną duszą, a przynajmniej mogę być. Poprosił przyjaciela, który znał się dobrze na przeprogramowywaniu robotów, żeby zainstalował mi najnowocześniejszy moduł kognitywny SI i wyłączył mój tłumik kreatywności. Dzięki temu jestem teraz istotą rozumną, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe u robota.

Darsha nie mogła się powstrzymać od kolejnego pytania:

– A kim byli ci pracodawcy?

I-5 najpierw spojrział na Lorna, a dopiero potem odpowiedział:

– Jedi.

Domyślała się tego. To tłumaczyło, dlaczego mistrz Bondara rozpoznał jego nazwisko. Ale dlaczego zakon potraktował Lorna tak źle i co właściwie się stało? Z tego, co wiedziała, zawsze uczciwie traktowali pracowników spoza zakonu. Nie widziała w tym sensu.

– Od jak dawna szkolisz się w świątyni, padawanko Assant?

Widać było, że I-5 jest inteligentniejszym robotem niż ten, który pilnował Fondorianina Ooltha w komisariacie. Tamten nie zorientował się, że jest padawaną.

– Mieszkałam w świątyni praktycznie całe życie. Formalne szkolenie zaczęło się, gdy miałam cztery lata – powiedziała. A zakończyło się pewnie dziś, dodała w myśli.

– Ja i Lorn jesteśmy partnerami od pięciu standardowych lat.

Robot zamilkł, pozostawiając Darshę jej własnym myślom. Uświadomiła sobie, że robot podsunął jej wskazówkę, dzięki której mogła rozwiązać zagadkę przeszłości Lorna.

Cofnęła się myślami o pięć lat.

Do świątyni przyjęto wtedy nowego ucznia, dwuletniego chłopca. Darsha zapamiętała to, bo malec miał wyjątkowo dużą liczbę midichlorianów. Nie знаła wszystkich szczegółów, ale świątynia była zamkniętym małym światkiem, w którym wszelkie niezwykle wieści rozchodziły się w błyskawicznym tempie. Chłopiec był podobno synem pracownika Świątyni, który został zwolniony po tym, jak zgodził się na szkolenie syna. Nie była pewna, dlaczego.

Spojrzała badawczo na Lorna. Jeśli był ojcem tego chłopcu, i jeśli zakon odebrał mu syna bez jego zgody, żeby go szkolić- cóż, nic dziwnego, że nienawidził Jedi.

Spróbowała sobie wyobrazić, jak czułaby się na jego miejscu, ale nie potrafiła.

Popatrzyła jeszcze raz na Lorna i już wiedziała, że jej podejrzenia były słuszne. To niewątpliwie tłumaczyło jego stosunek do mistrza Bondary i do niej. Poczwała, jak wzbiera w niej głębokie współczucie dla tego mężczyzny, tak silne, że musiała odwrócić wzrok, aby z wyrazu jej twarzy nie zorientował się, co czuje.

Skoncentrowała się z powrotem na otoczeniu. Nadal robiła sobie wyrzuty, że nie zauważyła Cthonów, zanim zaatakowali, i obiecała sobie, że nie pozwoli, aby coś takiego się powtórzyło. Wyszukiwanie poprzez Moc otaczających ją form życia nie zawsze było prostym zadaniem. Inteligentne, wrażliwe na Moc istoty zwykle łatwo było zauważyć, podczas gdy niższe formy życia – na przykład owady czy drobne zwierzęta – na jej mentalnym radarze nie były większe od

kropki. W manipulowaniu Mocą daleko jej było do perfekcji, ale tym bardziej powinna się starać. Mistrz wyjaśnił jej kiedyś, że wrażliwość i dostrojenie do Mocy przyjdą z czasem.

– Jako padawan – powiedział – mogłem z łatwością przesuwac głazy, ale poruszenie ziarnka piasku przekraczało moje umiejętności.

Ta myśl przypominała Darshy, że przyszedł czas, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie ściga. Od kiedy zeszli do podziemnych tuneli, od czasu do czasu sprawdzała Mocą, czy nie wyczuje za plecami śladów obecności Sitha. Nie znalazła ich przed atakiem Cthonów i miała nadzieję, że zginął razem z mistrzem Bondarą. Nie mogła jednak pozwolić sobie na samozadowolenie. Zamknęła oczy, badając Mocą bezpośrednio otoczenie, a potem pchnęła świadomość wzdłuż kładki, którą kroczyli, przez półkę, od której zwieszał się most i dalej w głąb tunelu.

I wtedy w jej umyśle uformował się nagle zimny słup ciemności. Energia zdawała się tryskać stamtąd jak piorun z chmury burzowej.

Był tuż za nimi!

– Lorn, I-5! Sith jest tuż za nami! Prawie na moście!

Żaden z nich nie odpowiedział. Darsha otworzyła oczy i na chwilę zapomniała o coraz bliższym zagrożeniu ze strony Sitha.

Znali już powód, dla którego Cthony zrezygnowały z pościgu.

ROZDZIAŁ

24

Darth Maul posuwał się mrocznym korytarzem tak szybko jak pozwalała mu odwaga. Coraz mocniej wyczuwał obecność Jedi i jej towarzyszy. Sprawa ciągnęła się już i tak o wiele za długo; najwyższy czas z tym skończyć.

Uświadomił sobie, że pozwala, aby popędliwość przeważała nad ostrożnością. Świadomie zwolnił kroku, zmuszając się do cierpliwości. Niewielki byłby pożytek z tego, gdyby pozwolił się złapać w pułapkę głęboko pod ziemią, zmniejszając o połowę liczebność zakonu Sithów przez własne niedbalstwo.

Zbadał ciemność przed sobą bardziej precyzyjnie, ale nie stwierdził żadnego niebezpieczeństwa. Ślad Jedi był teraz całkiem świeży; wyczuwał jej obecność. Była niedaleko.

I wtedy poczuł, że ona też go znalazła. Niezdarna była ta próba, słaba i pełna wahania. Rozczarowała go. Zmierzenie się z kimś tak słabo zaawansowanym w manipulowaniu Mocą nie będzie dość ambitnym zadaniem. Zupełnie nie ta klasa, co jej mistrz Twi'lekianin, który zniszczył jego motor. Tamten był godnym przeciwnikiem. Nie tak dobrym jak Maul, rzecz jasna, ale tego można się było spodziewać.

Wychodząc z zakrętu, dostrzegł przed sobą słabe światło. Echo jego kroków brzmiało teraz inaczej – uświadomił sobie, że znalazł się w ogromnej otwartej przestrzeni. Kiedy wysłał do przodu myślowe wici Mocy, natrafił na krawędź półki, na której stał, i na most znajdujący się na wprost. Wyczuł Jedi mniej więcej w połowie mostu,

Lorna Pavana i robota tuż przed nią, a potem sięgnął myślą dalej.

Zmarszczył brwi. Na moście przed nimi znajdowało się coś dziwnego puste miejsce w mentalnej topografii okolicy. Światło, które jak przypuszczał, pochodziło z fotoreceptorów robota, pozwoliło mu przez krótką chwilę dostrzec coś wielkiego i dziwnie niematerialnego, jak falujący słup dymu przed trójką jego wrogów idącą mostem. Cokolwiek to było, nie powodowało żadnych wibracji Mocy. Bardzo dziwne.

Zaintrygowany spróbował jeszcze raz. I znów jego sonda trafiła w pustkę – wrażenie było takie, jakby natrafił na powierzchnię tak śliską, że nie dawała żadnego podparcia. Jakby próbował zobaczyć coś, co świeciło tylko w ultrafiolecie. Dziwne zjawisko, ale nie zaprzętał sobie nim zbytnio głowy, bo zauważył, że Jedi i Pavan biegną mostem z powrotem w jego stronę.

Zdziwiło go to – mile, ale jednak zdziwiło. Padawanka na pewno wiedziała, że nie zdoła go pokonać. Jaki więc przyświecał jej cel? Gdyby mężczyzna szedł dalej mostem, Maul byłby pewien, że dziewczyna gra na zwłokę, tak jak wcześniej Twi'lekianin. Ale nie – Pavan biegł razem z nią i ze swoim robotem.

Maul musiał jeszcze raz przyznać, że jego zwierzyna zaimponowała mu. Mieli dość odwagi, aby wrócić i stawić mu czoło, i dość rozumu, aby uświadomić sobie, że nie ma sensu dalej uciekać. Oczywiście umrą, ale może zasłużą sobie na odrobinę miłosierdzia z jego strony; może nie będzie z nimi igrał, jak wcześniej planował, tylko zabije ich od razu.

Dziewczyna włączyła świetlny miecz. Tak jakby miało jej to cokolwiek pomóc.

Wszedł na most i ruszył na ich spotkanie.

Darsha nigdy dotąd nie widziała nic podobnego do stworzenia, które spotkali na moście. Było ogromne – gigantyczne cielsko, co najmniej tak długie jak autobus. Patrzyła, jak potwór segment za segmentem wczołguje się na most, wstrząsany jego ruchami. Skórę zwierzęcia tworzyły nakładające się na siebie płytki, upstrzone tu i

tam niewielkimi wyrostkami o średnicy około dwóch centymetrów. Głowę wieńczyło dwoje wielkich czarnych oczu i para zakrzywionych kłów, długich jak nogi Darshy. Pod nimi wyrastało kilka niewielkich, zakończonych pazurami ramion, a jeszcze niżej szereg krótkich, grubych nóg.

Najdziwniejsze w nim jednak było to, że chitynowy egzoszkielet i organy wewnętrzne były zupełnie przezroczyste. Stwór najwyraźniej nie miał szkieletu wewnętrznego, chociaż było niepojęte, jak istota tych rozmiarów mogła przetrwać bez podpory kości w normalnym polu grawitacyjnym. Darsha dostrzegła odbicie światła od czegoś, co znajdowało się wewnątrz ciała potwora, parą segmentów poniżej głowy, i oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia. Oświetlona przez chwilę promieniami światła z fotoreceptorów I-5 sterta kości – ludzkich kości – poruszała się tam i z powrotem w brzuchu stworzenia, powtarzając kołyszący ruch cielska wpełzającego na most. W przewodzie pokarmowym potwora znajdował się też całkiem niedawny nabytek – nadtrawione ciało Cthona. Na szczęście reflektory mignęły zbyt szybko, żeby dało się rozróżnić szczegóły.

– Dlaczego twoje sensory nie pokazały tego monstrum? – syknął Lorn do I-5, podobnie jak on cofającego się pospiesznie przed potworem.

– Czyżbyś zapomniał, że zainstalowałeś mi tańszy moduł zamiast tego z superczułym pasmem? Napomknąłeś chyba wtedy coś o oszczędzaniu, o ile sobie przypominam...

Ci dwaj pewnie umrą, nie przestając się sprzeczać, pomyślała Darsha. Cofała się krok za krokiem, ostrożnie, z trudem utrzymując równowagę na rozkołysanym moście. Jednego nie mogła zrozumieć: dlaczego Moc nie ostrzegła jej o zbliżaniu się tego stwora? To prawda, istoty rozumne łatwiej było wyczuć niż inne formy życia, jednak żywe stworzenie tej wielkości i z tak bliska powinno wywołać wibrację pola energii, nawet gdyby miało mózg wielkości ziarenka jakka.

Darsha wysłała mentalną sondę w stronę potwora – i poczuła, jak badający promień rozplywa się w nicości. Żadnej mentalnej odpowiedzi.

Jak to możliwe?

Tak ją to zaskoczyło, że niewiele brakowało, a spadłaby w przepaść. Wzrok podpowiadał, że stwór był przed nimi; jej ciało czuło kołysanie mostu, gdy wczołgiwały się tam kolejne jego segmenty, ale poprzez Moc nie czuła absolutnie nic.

Niemożliwe! Może nie była tak sprawna w posługiwaniu się Mocą jak mistrz Yoda czy mistrz Jinn, ale musiałaby mieć zerowe stężenie midichlorianów we krwi, żeby w ogóle nie wyczuwać czegoś równie ogromnego!

Potwór stanął wyprostowany, machając odnóżami w świetle fotoreceptorów I-5. Towarzyszył temu rodzaj suchego zgrzytu, wydawany prawdopodobnie przez trące o siebie segmenty chitynowych płyt. Stwór nachylił się nad nimi i otworzył paszczę.

Darsha włączyła świetlny miecz, a robot wystrzelił z obu palców. Trafił w kilka odnóży i tors stworzenia, które zawyło i runęło górną połową ciała z powrotem na most, niemal strząsając z niego swoje ofiary. Musieli paść na brzuchy, żeby nie pospadać – na szczęście dla siebie, bo dzięki temu strumień cieczy, który wystrzelił z paszczy potwora, przeleciał nad ich głowami. Trzymając się kurczowo arkusza blachy, na którym leżała, Darsha od razu zrozumiała, że to właśnie substancja wypluwana przez stwora utworzyła zszarzałe włókna mostu.

A więc to monstrum zbudowało most.

Coś w tym wszystkim wydało jej się znajome, ale nie mogła sobie uświadomić co. Zabłąkane pasmo włókna leciało w jej kierunku, więc padawanka odruchowo skierowała miecz w jego stronę. Jedwabista substancja splunęła w zetknięciu z żółtym promieniem energii, zamieniając się w smrodliwy opar.

Cała trójka zerwała się na równe nogi i ruszyła szybko w stronę wylotu tunelu. Za nimi szedł potwór, chwytając się odnóżami jedwabistych sznurów tworzących most.

Cóż, blastery I-5 nie na wiele się zdały, pomyślała Darsha. Zobaczymy, jak to stworzonko poradzi sobie z mieczem świetlnym.

Tym razem Lorn naprawdę żałował, że nie ma broni. Mniejsza o

blastery w palcach – przydałoby się raczej trójnożne działko V-90 albo kilka granatów plazmowych. A skoro już tak się rozmarzył, to może turbolaser osadzony na statku – z Lornem bezpiecznie ukrytym w sterowni.

Skąd się wzięło to stworzenie? W jednej chwili przechodzili mostem, a w następnej tarasował go ten potwór.

Odwrót był jedynym rozwiązaniem. Ale czy tuż przed pojawieniem się tego potwora Darsha przypadkiem nie napomknęła czegoś na temat Sitha, który miał znajdować się tuż za nimi?

Znaleźli się w pułapce – między Czarną Dziurą Nakatu a Maelstromem Magataran.

W tym momencie uświadomił sobie, co to za stworzenie.

W czasach, gdy Lorn pracował u Jedi, miał dostęp do obszernej literatury na wiele tematów. Kiedy dowiedział się, że Jax jest poza jego zasięgiem, spędzał tygodnie na studiowaniu wszelkich informacji o Jedi: o ich historii, umiejętnościach, mocnych i słabych stronach. Nie znalazł niczego, co mogłoby mu pomóc, ale natknął się na kilka interesujących informacji – między innymi o wymarłym gatunku olbrzymich bezkręgowców, które potrafiły w pewien sposób ukrywać swoją obecność przed Mocą. Jak one się nazywały?

Taoziny – to było to.

Najwyraźniej w świecie jeszcze nie wymarły. W tym momencie Darsha zanurkowała w kierunku potwora z gotowym do ciosu mieczem świetlnym.

– Darsha! Stój! To taozin!

Darsha przeturlała się po mostku tuż obok stwora z wyciągniętym przed siebie mieczem. Rzuciła się do przodu, kierując miecz pod takim kątem, by wyciąć mu kawał brzucha. Zobaczymy, czy nadal będziesz taki głodny, kiedy twoja kolacja się odgryzie, pomyślała.

Wykonała odpowiednią sekwencję ruchów lepiej niż kiedykolwiek podczas ćwiczeń; mistrz Bondara byłby z niej dumny. Jedyne problem polegał na tym, że nic nie zadziało.

Patrzyła z niedowierzaniem, jak żółty blask miecza wydaje się

rozpuszczać w miarę zatapiania go w ciele potwora, jak traci spójność i emituje światło na wszystkie strony. Darsha odskoczyła w tył, z trudem unikając porażenia własną bronią. Ostrze odzyskało normalny wygląd, gdy tylko wyciągnęła je z brzucha stworzenia. Bestia zaryczała gniewnie i wstrząsnęła się spazmatycznie; fala dreszczy przesunęła się przez przezroczyste ciało. Cios najwyraźniej ją zabolął, choć nawet w połowie nie tak mocno, jak chciała Darsha.

Padawanka była tak zszokowana, że mało brakowało, a pozwoliłaby się potworowi nadziać na wielkie kły w paszczy rozdziawionej nad jej głową. W ostatniej chwili cofnęła się i machnęła mieczem w obronie przed kolejną porcją substancji wyplutej przez bestię. Cóż, energetyczne ostrze przynajmniej na coś się przydawało. Darsha zauważyła, że jedwabista substancja matowieje, gdy tylko opuści paszczę stwora.

Uświadomiła sobie poniewczasie, że Lorn przed chwilą coś do niej krzyknął. W pierwszej chwili nie zarejestrowała jego słów, ale teraz uświadomiła sobie, co mówił.

Taozin?

Przypomniała sobie, że słyszała o tych istotach na pierwszych lekcjach historii. Uważane za wymarłe, były jednym z niewielu znanych gatunków, które nie zaznaczały swojej obecności w Mocy. Podobno ktoś przywiózł je na Coruscant w odległej przeszłości. Przypomniało jej się stare porzekadło Jedi, które lubił cytować mistrz Bondara: każdego wroga można pokonać – w odpowiednim momencie.

Uznała, że ten moment nie jest odpowiedni.

Dołączyła do Lorna i I-5, którzy zdążyli już uciec spory kawałek. Taozin nie przestawał pluć na nich pajeczynotwórczą substancją. Gdy się dało, Darsha posyłała przed sobą fale Mocy, żeby zatrzymać lepka ciecz, albo zamieniała ją w parę mieczem świetlnym. Jedyne, co mogli zrobić, to kontynuować odwrót – prosto w szpony Sitha.

ROZDZIAŁ

25

Lorn, I-5 i Darsha uciekali przed taozinem tak szybko, jak im na to pozwalały obłuzowane płyty i deski, utrzymywane na miejscu tylko przez lepłą wydzielinę pokrywającą liny, na których leżały. Nie dało się po nich biec.

Na szczęście, mimo licznych nóg, stwór nie był zbyt szybki. Rzucił się za nimi, plując od czasu do czasu lepłą wydzieliną, ale przed tym Darsha częściowo była w stanie ich obronić. W pewnej chwili I-5 powiedział cicho do Lorna, wskazując na podłogę:

– Pomóż mi to usunąć.

Lorn zamrugnął ze zdziwienia. Czy I-5 myślał, że taozin spadnie w przepaść pomiędzy linami? Już miał zaprotestować, ale tylko wzruszył ramionami. Robot miał widać jakiś plan, czego Lorn nie mógł powiedzieć o sobie. Nie miał akurat nic lepszego do roboty; dlaczego nie miałyby spędzić ostatnich kilku minut życia, demontując most?

Darsha zauważyła, co robią, i trochę zwolniła, żeby dać im więcej czasu. Rozbiórka mostu szła nadspodziewanie szybko, chociaż Lorn nie miał żadnych narzędzi. I-5 posłużył się blasterami w palcach, żeby zniszczyć główne punkty łączące liny z płytami, które zaczęli zrzucać w dół.

Lorn ocenił, że przeszli już jakieś trzy czwarte drogi z powrotem w stronę półki, na której znajdował się wylot tunelu. Przez chwilę poczuł szaloną nadzieję, że może Darsha się myli i Sitha wcale tam nie ma. To by dało im trochę więcej możliwości, choć ostatecznie

trafiliby z powrotem w łapy Cthonów. Ale kiedy obejrzał się przez ramię, zobaczył podwójne karmazynowe ostrze miecza świetlnego Sitha. To tyle, jeśli chodzi o nadzieję, pomyślał. Ich los już na nich czekał.

Odwróci! się w stronę I-5.

– Jeśli masz jakiś plan, najwyższa pora wcielić go w życie.

Robot spojrzął do tyłu na Sitha i pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Musimy być bliżej krawędzi.

Lorn oparł się pokusie i nie powiedział, że on osobiście jest znacznie „bliżej krawędzi”, niż by sobie życzył. Zamiast tego chwycił róg następnej płyty – wyglądała jak obudowa klimatyzatora – i oderwał ją od podtrzymujących lin. Może powinien skoczyć w przepaść, zanim dopadnie go Sith. Wyrzucił obudowę i obserwował, jak znika poza zasięgiem fotoreceptorów I-5. Nie usłyszał, czy uderzyła o dno. Miał duży wybór sposobów zakończenia życia, jeden gorszy od drugiego: pożarty przez potwora, przepołowiony mieczem świetlnym albo strącony w przepaść.

Zacisnął zęby i oderwał następny element mostu.

Nawet posługując się Mocą, Darsha z trudem uchylała się przed porcjami lepkiej śliny, wypluwanymi przez taozina. Zrezygnowała z prób wpłynięcia na stworzenie za pośrednictwem Mocy – zagadkowy stwór był całkowicie odporny na jej działanie.

Mimo rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znajdowała, nigdy wcześniej nic czuła się tak zespólona z Mocą, tak pogodzona ze sobą, tak... spokojna. Choć logika jej podpowiadała, że znalazła się w nieuchronnej pułapce, myśl ta nie wytrącała jej z równowagi. Jedyne, co się w tej chwili liczyło, to uskakiwanie przed atakami taozina; poddawanie się wskazówkom Mocy, którą ją prowadziła; pozwalanie, żeby wypełniła ją, jakby była jej naczyniem. Jednostajny cykl zagrożeń i uników, ataków i obrony. Choć mogło to zabrzmieć idiotycznie, dziewczyna czuła się dobrze. A nawet więcej – czuła się po prostu wspaniale.

Mistrz Bondara przewidywał, że tak się stanie.

– Kiedy zjednoczysz się z Mocą – powiedział kiedyś – poczujesz, jakby cię nie było. Jak oko cyklonu, jak piasta koła. Wokół ciebie może rozpętać się wir chaosu, ale w tobie będzie tylko spokój. Pewnego dnia poczujesz to, Darsha, i wtedy zrozumiesz, co mam na myśli.

Jakaś cząstką umysłu żałowała, że nie może mu o tym powiedzieć, podzielić się z nim radością odkrycia; inna cząstka podpowiadała jej jednak, że mistrz Bondara to wie.

Ruchami miecza świetlnego trzymała taozina na dystans. Choć nie mogła mu skutecznie zaszkodzić, stwór najwyraźniej nie lubił ugryzień rozgrzanego ostrza. Wzięła zamach i cięła z góry na dół, aż miecz zgrzytnął o egzozkielet i odciął kilka drobnych wyrostków, które spadły na most i przyłgnęły do lepkich lin.

Jeśli robot miał rzeczywiście jakiś plan, powinien zacząć wcielać go w życie. Darsha czuła teraz obecność Sitha bez większego wysiłku.

Darth Maul zdziwił się, że padawanka i Pavan nawet na niego nie patrzą. Szli w jego stronę, to prawda, ale plecami do niego, cofając się przed olbrzymim, niewiarygodnym stworem.

Potwór był już na tyle blisko, że Maul go rozpoznał. Darth Sidious nakazał mu zapoznawać się z wszelkimi informacjami o Jedi i o tym, co choć trochę ich dotyczyło. Wiedza na temat wroga, powiedział kiedyś jego mistrz, jest siłą samą w sobie, a zadaniem Sitha jest zgromadzić tej siły jak najwięcej. O taozinach przeczytał kiedyś artykuł w HoloNecie. Stąd wiedział, że dzięki przypadkowym mutacjom i selekcji naturalnej istoty te stały się niewidzialne w polu Mocy.

Podobno wyginęły przed wiekami – ale w końcu to samo mówiono o Sithach. Maul posłał wiązkę utkaną z Ciemniej Strony Mocy w stronę stwora i poczuł, że przenika przez niego, nie napotykając oporu, podobnie jak światło przenika przez transpastał.

Fascynujące.

Sith zrobił krok do tyłu. Jego obecność przyciągnęła uwagę stworzenia, które plunęło w niego pasmem lepkiej substancji. Maul

pozwolił, żeby Ciemna Strona przejęła kontrolę, i bez trudu zamienił plwocinę w parę wodną.

Stwór zatrzymał się i opluł Sitha, który był już tylko kilka metrów za nimi. I-5 zerwał ostatnią płytę z mostu.

– Pora zaczynać – powiedział. – Trzymajcie się mnie z całej siły.

Robot poczekał, aż wypełnią jego polecenie, po czym zeskoczył z mostu, uczepiwszy się jedną ręką podtrzymującej liny.

– Przetnij linę – polecił Darshy.

Darsha zrozumiała, na czym polega jego plan. Śmiały plan, musiała mu oddać sprawiedliwość. Razem z Pawanem oderwali dostatecznie dużo tworzących most płyt, żeby podtrzymujące go liny poluzowały się. Kiedy Darsha przecięła sznur, część mostu, której się trzymali, zaczęła się zapadać pod ich ciężarem. Lecąc w dół, I-5 strzelał z blastera, celując w miejsca połączeń między pozostałymi płytami mostu a podtrzymującymi je linami. Obciążona lina oderwała się od reszty mostu i nagle byli już za ogonem taozina i lecieli szerokim łukiem w stronę przeciwległej ściany przepaści.

W oddali usłyszeli krzyk Sitha, wściekłego, że ofiary znowu mu się wymknęły. Po chwili I-5 nie musiał już strzelać, aby oderwać linę. Ich ciężar i pęd wystarczył, żeby leciała dalej sama.

– Gdybyś zdołała spowolnić ruch liny – powiedział robot do Darshy to może udałoby nam się przeżyć ten upadek.

Darsha zamknęła oczy, zmarszczyła brwi, aby lepiej się skoncentrować, i sięgnęła do Mocy. Po kilku sekundach poczuła, że zwalnijają.

– Szacuję, że do przeciwległej ściany pozostało nam jeszcze około... – zaczął I-5.

W tym momencie uderzyli o ścianę. Mimo wytłumienia prędkości przez Darszę, solidnie odczuli uderzenie. Jego siła pozbawiła Darszę tchu; o mało nie puściła robota.

–... około zero sekund – dokończył I-5.

– Wielkie dzięki – wykrztusił Lorn. – Doskonały moment, żeby nas o tym poinformować.

– Do usług.

Udało im się przelecieć na drugą stronę. Teraz musieli tylko

wspiąć się po linie w górę.

Darth Maul machnął parę razy ręką w rękawicy, chcąc odpędzić kłęby zamienionej w parę wodną plwociny taozina, zasłaniające mu widok. W tym momencie zobaczył, jak jego ofiary zeskakują z mostu i odciawszy linę, której się trzymały, znikają mu z pola widzenia. Przez chwilę stał nieruchomo, uświadamiając sobie, że znowu go przechytrzyli. Gniew wyrwał mu z piersi wściekły okrzyk. Neutralizujący Moc wpływ taozina sprawił, że nie wyczuł ich zamiarów, dopóki nie było za późno. Doprawdy zaskakujące, ile szczęścia miała jego zwierzyzna. Doszedł do wniosku, że wypełnienie powierzonego mu zadania będzie bardziej satysfakcjonujące niż się mógł spodziewać.

W tej chwili jednak miał co innego na głowic. Pod wpływem ciężaru taozina naruszona konstrukcja mostu zaczęła się rozpadać. Sith wskoczył na jedną z nadal całych lin i zaczął powoli posuwać się po niej na drugą stronę przepaści. Na pewno dotrze tam szybciej niż jego ofiarom uda się wspiąć po linie do góry. Dzięki akrobatycznemu przygotowaniu i Mocy cienka lina spełniała funkcję mostu równie dobrze jak bezpieczna, szeroka kładka.

Taozin miał jednak inną koncepcję rozwoju sytuacji. Owinął się wokół ostatniej całej liny i zablokował mu drogę, Wisząc olbrzymim łbem nad przepaścią, znowu plunął w stronę Maula porcją lepkiej śliny.

Sith trafił mieczem plwocinę, zamieniając ją w parę. Stwór ponowił atak. Tym razem zastosował inną sztuczkę. Wprawił linę w mocne drganie, pozbawiając stopy Maula pewnego podparcia.

Darth Maul stracił równowagę., ale nie wpadł w panikę. Wolną ręką chwycił się liny, uważając, żeby nie dotknąć jej ostrzem miecza. Wisiał teraz na wprost taozina, zaledwie parę metrów od jego ostrych kłów.

Wiedział już, że przez parę najbliższych minut Pavan i spółka będą mieli spokój. Obrócił miecz, perfekcyjnie wykonując ciecie Atakującego Wampa, i przeciął linę, na której wisiał. Oba końce liny

poleciały w przeciwnie strony. Maul wyrznął o ścianą przeciwną niż ta, w której stronę poleciała trójka uciekinierów, a taozin runął w przepaść.

Niestety, usunięcie z drogi potwora pozbawiło Sitha jedynej szansy przedostania się na drugą stronę jaskini. Darth Maul wspiął się po linie na skalną półkę, na której czekał na swoje ofiary.

Zacisnął zęby. Nawet pomagając sobie Mocą, nie mógłby przeskoczyć na drugą stronę tak szerokiej przepaści. Będzie musiał wrócić po własnych śladach na powierzchnię, co było wyjściem wyjątkowo frustrującym. Wiedział, że odnajdzie swoje cele na powierzchni, że nie ma takiego miejsca w całej galaktyce, gdzie mogliby się przed nim ukryć. Maul nie wątpił, że wypełni swoją misję, nawet gdyby miało to potrwać dłużej, niż początkowo oczekiwał. Jednak myśl, że był tak blisko i znowu mu się nie udało, budziła w nim wściekłość.

Zapłacą mu za to.

ROZDZIAŁ

26

Po drugiej stronie drzwi Oazy Tuskena Obi-Wan Kenobi poczuł się, jakby powrócił na górne poziomy. Klub był wystawnie urządzone i porządnie utrzymany. Posągi mitologicznych bestii z najrozmaitszych planet splatały się we fryz biegnący wokół dużej sali. Kryształowe ozdoby fotonowe jarzyły się wielobarwnym światłem na tle mroku panującego we wnętrzu. W tym momencie przeważał błękit, ale gdy młody padawan patrzył, spektrum promieniowania zmieniło się, przechodząc w fiolet. Bithański kwartet przygrywał żwawo w kącie; muzycy kiwali wielkimi, bulwiastymi głowami w rytm podawany przez lidera zespołu z omnigrajka.

Przyjrząwszy się jednak bliżej klientom klubu, nie miało się wątpliwości, że to nadal dolne poziomy Karmazynowego Korytarza. Uzbrojeni w blastery gamorreanscy strażnicy kręcili się między gośćmi oddającymi się urokom hazardu, a wielu klientów, którzy nie mogli sobie pozwolić na opłacanie ochroniarzy, nosiło własne blastery. W sali było dość broni, żeby zainicjować niewielką rewolucję.

Obi-Wan pozwolił zmysłom płynąć wzdłuż prądów Mocy przez wnętrze klubu i wczuł się w jego wewnętrzny puls. Od razu wyczuł coś złego – coś, co zakłócało normalny bieg wydarzeń. Coś musiało się tu niedawno stać – tego był pewien. Zauważył podrygujące lekko Twi'lekianina nad głowami gości w pobliżu zespołu i przez chwilę myślał, że znalazł Anoona Bondara. Przyjrzał się bliżej Twi'lekianinowi i musiał się przyznać do pomyłki.

Ruszył w stronę baru w głębi sali. Zauważył, że jest obserwowany. Kilku Rodian przy końcu kontuaru śledziło go pozbawionym wyrazu wzrokiem, poruszając ryjkami. Każdy z nich nosił zmodyfikowaną wersję kuloodpornego kombinezonu typu Stalker. Nic mogli bardziej wyglądać na żołnierzy Czarnego Słońca, nawet gdyby mieli na czołach pieczętkę ze znakiem firmowym organizacji. Na widok zakapturzonej sylwetki Obi-Wana pochyłony nad miską wijących się insektów Kubaz uniósł wzrok, zerwał się ze stołka i pobiegł w stronę wyjścia.

Barman był przedstawicielem gatunku nieznanego Obi-Wanowi. Miał ciemnoniebieską głowę pozbawioną szyi, przechodzącą łagodnie w szerokie barki, od których odchodziło sześć muskularnych, węzopodobnych kończyn, każda wyposażona w parę palców. Dwie z kończyn mieszały właśnie dużego drinka, podczas gdy trzecia wstukiwiała dane do notesu komputerowego. Podchodząc bliżej baru, Obi-Wan dostrzegł trzy pozostałe ręce znikające pod kontuarem. Nie trzeba było dysponować umiejętnościami Yody, aby domyślić się, że barman trzyma tam broń. Informator, który doniósł o knajpie Hutta, mówił zatem prawdę. Obi-Wan stanął przodem do barmana i powoli uniósł ręce, zsuwając kaptur, który osłaniał dotąd jego twarz. Barman spojrzał na niego z miną, którą u człowieka można by nazwać zasepioną.

- Czego chce? – zaskrzeczał niegramatycznym wspólnym.
- Szukam pewnych informacji.
- Tu nie znajdzie – burknął barman, chowając nerwowo czwartą rękę pod kontuar. Obi-Wan czuł, jak wokół niego narasta napięcie.

„Zanurz się w chwili; koncentruj się tylko na terażniejszości”.

Tak często słuchał napomnień mistrza Qui-Gona, że niemal czuł, jakby nauczyciel stał obok niego. Padawan wiedział, że skłonność do wybiegania myślą w przyszłość nie pozwalają mu czasem dostrzec tego, co niosła terażniejszość. W obecnej sytuacji uznał, że rozsądniej będzie pójść za radą mistrza.

Obi-Wan rozpostarł myśli i dostrzegł nimi to, czego nie mogły zobaczyć oczy. Barman odbezpieczał właśnie blaster wycelowany prosto w brzuch padawana. Dwójka Rodian rozdzieliła się; każdy

podchodził do niego teraz z jednego boku, tuż poza zasięgiem miecza świetlnego. Czuł, że ich broń jest także gotowa do strzału.

Na co czekali?

W tym momencie zauważył, że barman czworgiem swoich oczu zerka na dwa maleńkie kryształy – czerwony i zielony – wtopione w blat kontuaru obok notesu komputerowego. Wyglądały jak część dekoracji, ale świecił się tylko czerwony. Nagle czerwony kryształ błysnął mocniej i zgasł, zapalił się natomiast zielony.

Wypadki zwolniły bieg, a zmysły Obi-Wana wyostrzyły się, gdy jednocześnie sięgnął do Mocy i do miecza. Padł na ziemię, nim barman wystrzelił do niego z ukrytej broni. Wokół rozsypały się drzazgi z pięknego drewnianego baru. Obi-Wan włączył miecz i zatoczył nim płytki łuk; niewyobrażalnie rozgrzane ostrze przecięło niemal bez żadnego oporu bar i blaster trzymany przez barmana, nie dotykając przy tym jego chwytnych kończyn. Padawan zerwał się na nogi, niemal unosząc się nad podłogą dzięki Mocy, i obrócił twarzą w stronę dwóch Rodian z bronią. Wystarczył niedbały gest, a blaster wyskoczył z ręki zdumionego właściciela i poszybował przez salę. Drugi Rodianin zdążył strzelić, ale błękitne ostrze przechwyciło eksplozję naładowanych cząstek, odbijając ją rykoszetem w stronę sufitu. Obi-Wan znów wykonał odpowiedni gest, a pistolet drugiego z Rodian ze stukotem potoczył się do jego stóp.

Wszędzie dookoła klienci przerwali grę, żeby zobaczyć, co się dzieje; wielu odruchowo przyjęło pozycję obronną, inni schowali się za plecami swoich ochroniarzy. Zorientowawszy się, że bezpośrednie zagrożenie minęło, wrócili z powrotem do sabaka, dejarika i innych gier.

Obi-Wan odwrócił się do barmana i wyłączył świetlny miecz.

– Jak powiedziałem, szukam tylko informacji. Nie kłopotów.

Choć nie umiał odczytać mimiki tego osobnika, zauważył, że błękit na głowie barmana znacznie zjaśniał i że chyba ma on problemy z oddychaniem. Wyczuł za sobą ruch – to Rodianie podchodzili znowu.

– Wystarczy, chłopcy – odezwał się za jego plecami głos. – Nasz Jedi nie zamierza sprawiać nam kłopotów. Prawda, przyjacielu?...

– Nazywam się Kenobi. Obi-Wan Kenobi. I jak wspomniałem barmanowi, szukam tylko pewnych informacji. – Padawan odwrócił się w stronę przybysza – niskiego, muskularnego mężczyzny z długim czarnym warkoczem spadającym na plecy. Roztaczał wokół siebie aurę autorytetu, wynikającego nie z władania Mocą, ale zwierzęcej niemal siły i pewności siebie.

– Ja również szukam pewnych informacji, rycerzu – powiedział mężczyzna – Może zdołamy sobie pomóc. Nazywam się Dal Perhi.

Perhi zaprowadził Obi-Wana schodami w dół, a dalej korytarzem, tłumacząc się po drodze:

– Przepraszam za zamieszanie, ale musieliśmy być pewni, że naprawdę jesteś Jedi. To, że nie musiałeś choćby zadrasnąć naszych chłopców, mówi samo za siebie. W końcu Jedi znani są z tego, że szanują życie.

W jego głosie słychać było nutę sarkazmu. Obi-Wan uśmiechnął się krzywo.

– W przeciwieństwie do członków Czarnego Słońca. Zdajesz sobie sprawę, że gdybym nie był Jedi, byłbym pewnie teraz trupem.

Gangster pokiwał głową.

– Tak jak powiedziałem, to zwykły środek ostrożności. Za chwilę sam się przekonasz. Tak to już jest w naszej branży, rycerzu.

– Zabierasz mnie do Hutta Yantha?

Gangster spojrzał na padawana.

– Trafny domysł.

Na końcu korytarza natknęli się na szerokie drzwi, które wyglądały, jakby ktoś usiłował je stopić. Kiedy weszli do środka, Obi-Wan od razu zauważył kilku gamorrańskich strażników rozciągniętych na ziemi. Nie był wprawdzie specjalistą, ale uznał, że zginęli od strzałów z blastera. Przeszedł nad złamaną piką paraliżującą i skierował się za Perhim w stronę zwalistej sylwetki leżącej na podłodze w głębi pokoju.

Przykłęknął i dokładnie obejrzał ranę, która uśmierciła Hutta. Wyglądała niemal tak, jakby zadano ją mieczem świetlnym. Taka

możliwość nie wchodziła jednak w grę. To musiały być oparzenia od strzału z blastera.

Obejrzał się na przedstawiciela Czarnego Słońca. Może w organizacji wybuchły walki wewnętrzne? Może był właśnie świadkiem przewrotu w kręgach gangsterskiej władzy?

– Miałem nadzieję, rycerzu, że rzucisz nieco światła na tą sprawę. Czy istnieje jakiś mistyczny sposób, który pozwoli ci dowiedzieć się, kto to zrobił?

Ciekawe, pomyślał Obi-Wan, jakie mity tworzą się wokół pewnych grup. Równie dobrze jakiś Jedi mógł się teraz zastanawiać nad tajemnicami Czarnego Słońca, przesadnie oceniając zasięg, powiązania i możliwości tej organizacji. I odwrotnie. Perhi był najwyraźniej przekonany, że dzięki jakimś czarodziejskim sztuczkom jego gość będzie umiał odczytać, co się wydarzyło w tym pokoju.

– Daj mi chwilę – powiedział Obi-Wan.

Gangster kiwnął głową i cofnął się.

Obi-Wan przyklęknął i rozciągnął zmysły. Zło, które wyczuł jeszcze na ulicy, tu było znacznie wyraźniejsze, podobnie jak zakłócenia spowodowane przez wiele istot. Wrażenia były jednak bardzo mgliste. Za dużo czasu upłynęło, zbyt wielu ludzi wchodziło i wychodziło z pokoju. Być może mistrz taki jak Mace Windu zrozumiałby coś z tego, ale Obi-Wan nie był mistrzem. Nie był nawet jeszcze rycerzem Jedi.

Potrząsnął głową.

– Przykro mi. Może gdybym znalazł się tu wcześniej...

Gangster kiwnął głową.

– To nie twoja wina. I tak dziękuję.

Obi-Wan uświadomił sobie z niejakim zdziwieniem, że poczuł ulgę. W końcu gdyby się okazało, że to Darsha albo mistrz Bondara dokonali tej rzezi... Na szczęście nic na to nie wskazywało.

Ale kto to mógł być?

– Nikt nie widział, kto to zrobił?

– Nie. Można by pomyśleć, że znajdzie się choć jeden świadek, ale wszyscy mówili, że nie przyjrzeni się dobrze sprawcy, nawet jeśli przebiegał obok nich.

Obi-Wan pokiwał głową. Mogła to być naturalna niechęć do składania zeznań, charakterystyczna dla ludzi, którzy miewali kłopoty z prawem, albo obawa przez zemstą.

Podszedł do drzwi, a za nim Perhi.

– Rycerzu?

– Słucham?

– Nigdy dotąd nie miałem przyjemności ujrzenia jednego z was w akcji. To, co zrobiłeś przy barze... czy wszyscy Jedi są tak dobrzy?

Obi-Wan zatrzymał się i odwrócił w stronę Perhiego.

– Nie, nie są.

Na twarzy gangstera odmalowała się ulga, ale znikła stopniowo, kiedy słuchał dalszych słów Obi-Wana:

– Ja jestem dopiero uczniem. Jeszcze nie przystąpiłem do prób dla kandydatów na rycerzy Jedi. Mój mistrz przewyższa mnie nieporównanie. Jako uczeń sprawiam mu chyba pewien zawód. Jeśli chodzi o umiejętności w dziedzinie sztuk walki, jestem pewnie najsłabszym z Jedi.

Obi-Wan odczuł satysfakcję, widząc jak gangster blednie. Odwrócił się i wyszedł z podziemnego biura Yantha i z Oazy Tuskena. Perhi będzie miał o czym rozmyślać po jego odejściu.

Na ulicy Obi-Wan podsumował uzyskane dotąd wiadomości. Niestety, nie było tego wiele. Zastanawiał się przez chwilę, czy wrócić z tym, co ma, i zameldować się Radzie, ale uznał, że lepiej będzie poczekać, aż będzie miał do przekazania coś więcej niż tylko pogłoski i przypuszczenia. Na razie na pewno wiedział tylko, że Darsha Assant nie zdołała uchronić przed śmiercią informatora, którego obronę jej powierzono. Jej skoczek został obrabowany przez uliczny gang, a aerowóz jej mistrza podobno uległ zniszczeniu po jego potyczce z zakapturzoną postacią. Widział wraki obu pojazdów, ale ani śladu informatora, ani śladu Darshy, ani śladu mistrza Bondary.

W dodatku jeden z bonzów Czarnego Słońca, Hutt Yunth, został zgładzony przez zakapturzonego osobnika. W miejscu jego śmierci pozostał wyczuwalny osad zła, podobnie jak przy roztrzaskanym

aerowozie mistrza Bondary.

Obi-Wan miał dwie teorie na ten temat, niestety, przeczące sobie nawzajem. Teoria pierwsza: Darsha traci informatora, przechwyconego przez napastników Czarnego Słońca, i śledzi ich aż do Oazy Tuskena, gdzie – zaatakowana – wyrzyna cały pokój strażników, a wraz z nimi Hutta Yantha. Wzywa na pomoc swojego mistrza... i znikają.

Przez dziury w tej teorii prześliznąłby się nawet pancernik. Darsha umiała walczyć ale gdyby była aż tak dobra, to przede wszystkim nie straciłaby informatora. Teoria nie tłumaczyła też obecności zła wyczuwalnego w miejscu wypadku aerowozu i rzezi w biurach Yantha.

Teoria numer dwa przyjmowała, że w sprawę, był zaangażowany ktoś jeszcze. Ten ktoś, najprawdopodobniej powiązany z Czarnym Słońcem, zabił Hutta Yantha i jego ochroniarzy. Teoria ta bardziej przemawiała do Obi-Wana z kilku powodów, głównie dlatego, że nie wierzył, aby jakikolwiek Jedi był zdolny do zbrodni takiej jak ta, której skutki właśnie oglądał. Ale i ta teoria nie tłumaczyła, gdzie znajdują się teraz Darsha i mistrz Bondara ani dlaczego już tyle czasu nie dali znaku życia.

Obi-Wan westchnął. Nie sprawdził jeszcze wszystkich tropów. Pozostawał do zbadania blok kubików mieszkalnych. Sprawdził adres, który mu podano, i poszedł w tamtą stronę. Jeśli mu się poszczęści, może tam dowie się czegoś, co rzuci światło na ten cały bałagan.

Szybko się okazało, że nie miał szczęścia.

Na miejscu eksplozji w kubiku mieszkalnym Obi-Wan dowiedział się paru ciekawych rzeczy, ale nowe wiadomości zaciemniły tylko obraz sprawy. Jeden z policjantów badających wypadek powiedział mu, że Hath Monchar, wicekról neimoidiańskiej Federacji Handlowej, wynajmował to mieszkanie i zginął w eksplozji.

Wydawało się oczywiste, że Czarne Słońce jest w jakiś sposób związane z tą sprawą. Nie było nigdzie dowodów, że przestępczy kartel prowadził interesy z Federacją Handlową, ale nie można było

tego wykluczyć.

Zbyt wiele pytań, pomyślał Obi-Wan. Zbyt wiele pytań i stanowczo za mało odpowiedzi.

ROZDZIAŁ

27

Na końcu tunelu zobaczyli światło.

Lorn, I-5 i Darsha pospieszyli w tamtą stronę i dotarli do wyjścia – częściowo wyważonych drzwi w budce takiej jak tamta, którą weszli do podziemi. Wyszli w mglisty wieczór Karmazynowego Korytarza.

Po czarnym labiryncie, w którym tak długo byli uwięzieni, poczuli się jak w jasnym świetle dnia.

Lorn odetchnął z ulgą. Odnalezienie drogi na powierzchnię zajęło im więcej czasu niż się spodziewali; kilkakrotnie trafiali w ślepy zaułek i musieli zawracać, ale przynajmniej nie atakowali ich więcej żadni mieszkańcy podziemi. Widocznie jedynymi Cthonami po drugiej stronie mostu były te, które trafiły do przewodu pokarmowego taozina.

I całe szczęście, bo po trudach wspinaczki po linie w podziemnej przepaści Lorn i Darsha byli wykończeni. Nie mogli jednak sobie pozwolić na odpoczynek czy choćby wolniejsze tempo. Zakładali, że Sith nadal depcze im po piętach.

Był to najpoważniejszy z ich problemów, ale bynajmniej nie jedyny. Lorn był zdania, że według wszelkiego prawdopodobieństwa do pościgu dołączyli również przedstawiciele ochrony banku. Oszukańcza transakcja, której dokonał razem z I-5, zwróciła też zapewne uwagę policji, a możliwe, że i służb podatkowych Republiki.

Lornowi przyszło poza tym do głowy, że członkowie Czarnego Słońca też mogą mieć do niego kilka pytań, zależnie od tego, jakie zapiski dotyczące ich uzgodnień pozostawił po sobie Yanth i ile

widzieli naoczni świadkowie w Oazie Tuskena. Krótko mówiąc, wyglądało na to, że niemal każda zorganizowana siła na planecie szuka jego i robota.

Na pewno wiedział tylko o pościgu Sitha. Całą resztę I-5 określiłby pewnie jako objawy manii prześladowczej. No i co z tego? – pomyślał Lorn. Na dolnych poziomach paranoja nie była zaburzeniem, tylko obowiązującym stylem życia.

Pierwsza odezwała się Darsha:

– Moi ludzie na pewno wysłali kogoś na poszukiwania. Jeśli znajdziemy stację komunikacyjną, wystarczy, że dam im znać, gdzie jesteście, a zjawią się i zabiorą nas.

No tak, byli jeszcze Jedi. Zapomniał o nich. Jeszcze jedna zainteresowana strona.

– W tej okolicy jest bardzo mało czynnych stacji komunikacyjnych – powiedział I-5. – Prawdopodobnie łatwiej znaleźlibyśmy jakąś na wyższych poziomach.

Spryciarz, pomyślał Lorn. W okolicy były takie stacje, jeśli się wiedziało, gdzie szukać, nie chciał jednak, żeby Darsha ciągnęła ich ze sobą do Świątyni Jedi. Jeszcze w tunelu, podczas niekończących się poszukiwań drogi na zewnątrz, udało mu się przekazać I-5 pewne instrukcje tak, żeby Darsha ich nie słyszała. I-5 wiedział więc, że Lorn chce jak najszybciej udać się do Tuden Sala bez padawanki.

– A więc mamy znów ten sam problem: jak dostać się na górę – stwierdziła Darsha. – Wspinaczka jest ryzykowna. Poprzednim razem, kiedy spróbowałam tej drogi, miałam nieprzyjemne spotkanie z jastrzębionietoperzami. Dostałam się wtedy na górę klatką schodową monady, ale nie widzę żadnej w okolicy.

Miała rację – bez środka transportu dostanie się na wyższe poziomy stanowiło problem. Oczywiście, gdyby Lorn mógł się skontaktować z Tudenem Salem, ten przysłałby po nich jakiś transport, ale żeby to zrobić, musiał dotrzeć do stacji komunikacyjnej. Znaleźli się w martwym punkcie.

Co za frustrująca sytuacja! Byli nie dalej niż pół kilometra od jednego z najbardziej kosmopolitycznych miejsc w całej galaktyce. Jedyne problem polegał na tym, że było to pół kilometra w górę.

Wolność czekała zaledwie parę pięter wyżej, a jednak wydawała się równie odległa jak stacje orbitalne krążące nad planetą. Biorąc to wszystko pod uwagę, Lorn uznał, że gorzej już być nie może.

– Ktoś nas obserwuje – powiedział I-5.

Jeszcze zanim robot skończył mówić, Darsha wyczuła ich. Cała grupa różnych gatunków i ras o niewątpliwie wrogich zamiarach.

– Jakoś mnie to nie dziwi – powiedział Lorn. – Umiecie powiedzieć, kto to taki?

Darsha rozciągnęła zmysły i wyczuła znajome wibracje. Była pewna, że miała do czynienia z tymi osobami w niedalekiej przeszłości.

– To nie Sith – powiedziała. Na twarzy Lorna odmalowała się wyraźna ulga. W tym momencie rozpoznała wibracje. – To...

– Halo, panienko, dalej wałęsasz się po okolicy?

Zielonowłosey, szef gangu Dzikusów, który zaatakował ją podczas pierwszej bytności w Karmazynowym Korytarzu. Było z nim trzech jego kumpli – Trandoszanin, Saurin i Devaronianin. Darsha niemal uśmiechnęła się z ulgą. W porównaniu ze stworami, które napotkali pod powierzchnią, ci tutaj byli nie gorsi niż niesforne dzieciaki. Lorn pomyślał chyba to samo.

– Spadajcie, chłopaki. Mamy na głowie gorsze problemy.

Z wyrazu twarzy Zielonowłosego Darsha wywnioskowała, że sprawy nie toczyły się tak, jak chłopak sobie zaplanował. Jego ofiary nie okazały cienia strachu. Musiała mu jednak oddać sprawiedliwość – spróbował jeszcze raz, jakby nie usłyszał słów Lorna.

– Jesteście na naszym terytorium i musicie zapłacić myto.

Darsha omal się nie roześmiała. Wydało jej się, jakby to było lata temu, kiedy ten niedorostek sprawił, że poczuła się niepewnie. Ostatnie trzydzieści sześć godzin diametralnie zmieniło jej punkt widzenia. Przywódca Dzikusów musiał coś z tego wyczuć, bo przez chwilę wyglądał na zaniepokojonego.

– Słyszeliście, co powiedział...

– Słyszeliśmy – przerwał mu Lorn. – Ale człowiek nie zawsze

dostaje to, o co prosi. Teraz ty posłuchaj: to wy oddacie nam swoje pieniądze. Wszystkie. A ty – wskazał na szefa Dzikusów – ty zabierzesz nas na wycieczkę.

Zielonowłosy nie mógłby być bardziej oszołomiony, nawet gdyby Lorn dźgnął go w pierś pałąką ogłuszającą. Przez chwilę stał jak skamieniały; tylko jego fryzura, utrzymywana polem elektrostatycznym, chwiała się lekko pod wpływem podmuchów wiatru. Jego kolesie też nie bardzo wiedzieli, co robić – ich ofiary rzadko były tak pewne siebie. Spojrzeli na Zielonowłosego, a Darsha nie potrzebowała Mocy, żeby odczytać ich intencje. Czekali na jego decyzję.

Równie oczywiste było, że Zielonowłosy dokładnie wie, czego od niego oczekują. Spojrzał na swych towarzyszy, a potem na Darszę, Lorna i I-5.

– Brać ich! – krzyknął i skoczył w kierunku Lorna.

Lorn cofnął się i podstawił mu nogą. I-5 grzmotnął w zielony czub metalową pięścią. Chłopak upadł na ulicą zemdłony. Trandoszanin rzucił się do przodu z wibroostrzem w dłoni, ale I-5 blasterowym palcem rozgrzał jego broń do białości. Trandoszanin z krzykiem upuścił rozgrzane ostrze, które zaczęło parzyć mu palce, i czmychnął w ciemność, ściskając obolałą dłoń.

Darsha zagłębiła się w Mocy. Wiedziała, co zrobią napastnicy, zanim jeszcze wykonali jakikolwiek ruch. Szło jej dużo łatwiej niż z taozinem. Zanim dotarło do jej świadomości, że sięga po świetlny miecz, już miała go w ręku i odbijała jarzącym się ostrzem strzały z blastera wycelowane przez Devaronianina w nią i jej towarzyszy. Wolną ręką wytrąciła blaster z dłoni Saurina, posyłając broń w kierunku Lorna, który zręcznie ją pochwycił, przestawił aktywator na ogłuszanie i wystrzelił dwa razy. Dwóch członków gangu upadło na popękane ferrobetonowe płyty obok swego przywódcy.

Całe zajście nie trwało dłużej niż kilka sekund. Lorn i I-5 zabrali się za przeszukiwanie ubrań nieprzytomnych.

– Co robicie? – zapytała padawanka.

– A jak ci się wydaje? – odparł pytaniem na pytanie Lorn. – Odbieramy tym, co nie potrzebują, żeby oddać potrzebującym, czyli

nam. Musimy mieć kredyty, żeby dostać się na górę.

Darsha już miała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Nie podobało jej się, że okradają nieprzytomnych, ale rozumiała konieczność takiego kroku.

Zielonowłosa poruszył się i jęknął. Lorn dźgnął go blasterem.

– Wstawaj – polecił. Chłopak podniósł się z nieszczęśliwą miną.

– Jestem pewien, że macie swoje sposoby, żeby się dostać na górę – powiedział do niego Lorn. – Przekonajmy się, jakie.

Darsha czuła opór chłopaka. Spróbowała skupić na nim Moc i sprawić, żeby chętniej przyjął sugestię Lorna, ale ten powstrzymał ją wyciągniętą dłonią.

– Żadnych sztuczek, Darsha. Chcę, żeby był przytomny.

Wzruszyła ramionami bez słowa. Wyglądało na to, że miał jakiś plan, a to więcej, niż mogła powiedzieć w tej chwili o sobie.

Lorn dźgnął Dzikusa nowym blasterem. Czuł się dużo lepiej, mając w ręku broń. Nie była to wprawdzie żadna rewelacja, raptem BlasTech DH-17, bez optycznej matrycy celującej i z baterią niemal wyczerpaną, ale świst wystrzelonych z niego podczas krótkiej bitwy pocisków brzmiał jak muzyka w jego uszach. Zabrał też wibroostrze. Takie uzbrojenie nie pomoże mu z pewnością, jeśli Sith ich dogoni, ale zawsze to lepsze niż spotkać swój los z pustymi rękami.

Był jeszcze jeden powód do zadowolenia. Ponieważ to on i I-5 przeszukali ciała, Darsha nie zauważyła przedmiotu, który znalazł robot i pokazał go ukradkiem Lornowi, gdy przyglądała się Zielonowłosemu. Mały komunikator – na pewno zakodowany przez swojego właściciela, ale i Lorn, i I-5 nieraz posługiwali się kradzionymi komunikatorami i wiedzieli, jak pokonać rutynowe zabezpieczenia.

Ruszyli za niechętnym przewodnikiem, czujnie wypatrując najmniejszej oznaki zdrady z jego strony. Zaprowadził ich w stronę przecznicy odległej o jakieś dwieście metrów od miejsca potyczki z Dzikusami. Teraz wystarczyłoby, żeby I-5 zgubił się gdzieś na chwilę, podłączył komunikator do swojego portu danych i umówił spotkanie z

Tudenem Salem. Sprawy zaczynają wyglądać coraz lepiej, stwierdził w duchu Lorn. Może jednak uda im się w końcu odlecieć z tej planety. Oczywiście oznaczało to, że zostawią Darshę samą – Lorn musiał przyznać, że ta perspektywa nie cieszyła go tak bardzo, jakby się tego spodziewał. W końcu pomogła mu ująć z życiem z koszmaru podziemnych korytarzy. Powtarzał sobie, że zrobiła to tylko po to, żeby dostarczyć swojemu zakonowi informacje od Neimoidianina, ale przecież praktycznie wiedziała już prawie tyle samo co on. Mógł wprawdzie uzupełnić jej relacją paroma szczegółami, ale Darsha potrafiłaby sama przekazać wszystkie podstawowe informacje Radzie Jedi.

Choć ciężko mu się było do tego przyznać, prawda była taka, że zaczynał ją lubić. Wprawdzie była od niego sporo młodsza, ale czuł w niej coś nieodparcie pociągającego.

Pamiętaj, upomniał się w duchu, ona jest Jedi.

A w każdym razie padawanką. Dowiedział się tego, słuchając jej rozmowy z I-5. Trafiło jej się trudne rozdanie, pomyślał. Straciła swojego mistrza, nie wypełniła misji. Co ją pchało do dalszego działania? Dlaczego w dalszym ciągu chciała doprowadzić ich do świątyni? Czy nie widzi, że Jedi nią manipulują?

Lorn bardzo chciał to wiedzieć. Zwolnił kroku, aż znalazł się obok niej, pozostawiając Zielonowłosego pod opieką I-5.

– Padawanko Assant – odezwał się nieco sztywno. – Mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale chciałem spytać, co sprawiło, że wybrałaś ścieżkę Jedi? Przecież nie są... to znaczy... – zatrzymał się, niepewny, co powiedzieć. Spojrzał na nią i zobaczył, że mu się przygląda. Nawet w ciemnościach jej oczy były niesamowicie niebieskie.

– Mniejsza a to – powiedział szorstko. Przyspieszył kroku, żeby zrównać się z I-5, ale powstrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Zostałam wybrana – powiedziała. – Wybrana przez Moc. – Wyjaśniła mu, że nigdy nie miała rodziny. Kiedy przyszli po nią Jedi, żeby powiedzieć, że odtąd oni będą jej rodziną, wydało jej się to jak najbardziej sensowne i słuszne.

No jasne, pomyślał. Nie zostałaś odebrana kochającemu ojcu przez

zakon, który następnie wyrzucił go z pracy, uważając, że lepiej będzie, jeśli jego syn nie będzie do nikogo przywiązany.

Ta odpowiedź rozgniewała go. Chciał zachwiać jakoś jej opanowaniem, zburzyć ten doprowadzający do szału spokój, to świętoszkowate przekonanie o własnej słuszności, jakie dzieliła z pozostałymi członkami swojego zakonu.

– Ale teraz, być może, nie zostaniesz rycerzem Jedi – powiedział. – Czy to cię nie złości, że ludzie, których uważasz za rodzinę, odwracają się od ciebie?

– Czy znasz kodeks Jedi?

Lorn przytaknął.

– Tak. Czytałem go setki razy.

– „Nie ma emocji, jest spokój” – zacytowała. – Cóż, z pewnością jestem zmartwiona, że nie będę mogła pozostać w Świątyni, tylko że to uczucie nie rządzi mną. Jestem połączona z Mocą na całe życie. Tam na dole, walcząc z taozinem, uświadomiłam sobie, co to naprawdę znaczy. To, czy zostanę rycerzem Jedi, nie ma już w tej chwili znaczenia. Odczułam najgłębszą równowagę Mocy i wiem, że zrobiłam i nadal będę robić wszystko, co zdołam, aby tę równowagę zachować. Albo razem z innymi Jedi, albo na własną rękę, tak czy owak zawsze będę do tego dążyć. Rozczarowanie, które czuję, nie zakłóca równowagi ducha, którą osiągnęłam.

Musiała wyczytać w jego twarzy zmieszanie, bo uśmiechnęła się. Był czas, gdy taki uśmiech na twarzy Jedi rozwścieczyłby go: może nawet spróbowałby zetrzeć go z jej twarzy własną pięścią.

Ale teraz czuł coś innego.

– Spróbuję wyjaśnić ci to inaczej – ciągnęła Darsha. – Wprawdzie nie wypełniłam powierzonej mi misji, ale zrealizowałam mój cel.

Lorn pokiwał głową w milczeniu, jej słowa miały w sobie tę charakterystyczną dwuznaczność, w której Jedi tak się lubowali. Ale podobnie jak wcześniej jej uśmiech, teraz słowa nie zdenerwowały go. Nie bardzo wiedział dlaczego.

I nie był pewien, czy chce się dowiedzieć.

ROZDZIAŁ

28

Darth Maul wracał po własnych śladach podziemnym korytarzem, a gniew buzował w nim jak przegrzana para. Ale gniew dodawał mu siłę; w przeciwieństwie do tych głupców Jedi, Sithowie wykorzystywali negatywne emocje, nie próbując się ich pozbyć. Każda istota, która okaże się dość głupia, aby utrudnić Maulowi powrót na powierzchnię, gorzko tego pożałuje.

Przeszedł przez jaskinię Cthonów, nie zauważając ani jednego z jej mieszkańców. Niewątpliwie jego poprzednia wizyta dała im powody do unikania tego miejsca. I bardzo dobrze – bo choć z radością powitałby okazję do wytrzebienia tej ohydnej rasy, teraz liczył się tylko czas.

Intensywność emocji, która wzmocniła jego więzy z Mocą, przypomniawszy mu inny moment podobnego zespolenia z jej siłami – dzień, w którym skonstruował swój świetlny miecz. Maul nie miał zwyczaju rozpamiętywać przeszłości – chyba że służyło to w jakiś sposób celom jego mistrza i pana – ale tamta satysfakcja, perfekcyjne skupienie i niecodzienne zespolenie z Mocą, dzięki którym powstała jego broń, jaśniały w jego pamięci.

Specjalny piec, który skonstruował na podstawie planów z holocronu Sithów, udostępnionego mu przez mistrza, wydzieliał silne ciepło. Rosły w nim kryształy potrzebne do miecza. Zamiast opuścić komorę, w której znajdował się piec, Maul pozostał, żeby kontrolować poprzez Moc proces metamorfozy kamieni. Mógł dzięki temu oczyszczać poszczególne warstwy cząsteczek zamknięte w

krystalicznej strukturze.

Większość Jedi używała do wytworzenia miecza świetlnego kryształów naturalnych, najczęściej adeganów. Pozostałe elementy miecza łatwo było zdobyć – ogniwa energetyczne, energetyzery pola, pierścienie stabilizujące, przesłony przepływu – ale nie kryształy. Wydobywano je w kopalniach w systemie Adegą, położonym w głębi Zewnętrznych Odległych Rubieży. Trudność w stosowaniu naturalnych kryształów polegała na tym, że proces oczyszczania struktur krystalicznych mógł trwać bardzo długo – a kalibracja musiała być doskonała, bowiem niedoskonałe kryształy mogły unicestwić nie tylko sam miecz, ale i jego twórcę. Wyszukanie i oczyszczenie kryształów było jedną z prób Jedi, Sithowie mieli jednak inne sposoby. Mistrzowie Ciemnej Strony woleli sami hodować syntetyczne kryształy w ogniu, wznosząc tym sztukę budowy miecza na znacznie wyższy poziom.

Maul siedział przy piecu i ogniskował swoją nienawiść do Jedi, aż osiągnęła szczyt. Umożliwiło mu to tak silne zespolenie z Mocą, że był w stanie wymodelować strukturę molekularną czterech kryształów, potrzebnych do zbudowania miecza o podwójnym ostrzu. Szybko podjął decyzję, że chce skonstruować właśnie taki miecz. Władanie podobną bronią wymagało mistrzowskiego opanowania sztuk walki, a Maul był przecież w nich niedościgniony. Chwała Sithów domagała się takiego wysiłku, podobnie jak jego mistrz.

Nawet supertwarde ferrobetonowe ściany komory nie mogły do końca odizolować go od niewyobrażalnie wysokiej temperatury, potrzebnej do uformowania kryształów. Mijała godzina za godziną, a Maul trwał w upiornym skwarze. Warstwa po warstwie kryształów rosł, coraz większy, coraz czystszy, coraz doskonalszy. Trwało to całe dni, dni bez jedzenia, bez picia, bez snu. W końcu jednak Maul poczuł, że kryształy są gotowe. Wtedy wyłączył piec i otworzył drzwiczki. W czterech formach spoczywały cztery idealne kryształy.

Maul uśmiechnął się w ciemności. Tak, to było dobre wspomnienie – przypomniało mu o tym, jak wielką siłą dysponował, i upewniało go, że teraz jego triumf jest nieunikniony. Ostatnio jego plany pokrzyżował łańcuch dziwacznych wydarzeń, ale to się wkrótce

zmieni.

Był teraz z powrotem w tunelu transportowym. Przed sobą widział światło wpadające z góry, przez kratę wentylacyjną, którą sam przedtem wyciął. Maul zogniskował w sobie Moc i podskoczył na wysokość kilkakrotnie przewyższającą jego wzrost. Wskoczył przez otwór na ulicę, tuż obok leżącego na chodniku degenerata kompletnie odurzonego narkotykami. Narkoman zobaczył wyskakującego spod ziemi Sitha, zachłysnął się z wrażenia i zemdłał, zanim buty Maula dotknęły trotuaru.

W głębi ulicy wrak aerowozu twi'lekińskiego Jedi nadal częściowo blokował przejazd. Maul zastanowił się, w jaki sposób najszybciej namierzyć swoją zwierzynę. Kiedy wejdzie z powrotem na trop, bez trudu ich odnajdzie. Tak metoda miała jedną wadę: nadal będzie za nimi. Miał tego dosyć. Musi zrobić coś, żeby ich wyprzedzić i czekać na nich tam, gdzie muszą w końcu trafić.

Maul przypomniał sobie sposób, w jaki wcześniej namierzył Neimoidianina. Może sieć planetarnych kamer przyda mu się znowu; jeśli odnajdzie miejsce, w którym ostatnio widziano jego wrogów; oszczędzi czas potrzebny na podążanie po ich śladach, zmierzając prosto do celu.

Aby jednak zacząć poszukiwania, musiał się dostać do terminalu danych, a tym sektorze nie było ich pewnie zbyt wiele. Przypomniała mu się sentencja, którą usłyszał kiedyś z ust swojego mistrza: „Do każdego rozwiązania można doczepić dwa problemy”.

Zastanawiał się chwilę, po czym włączył komunikator, który nosił na nadgarstku. Połączył się z systemem komputerowym „Infiltratora”. Omijając standardowe menu nawigacji, przeszedł do poleceń umożliwiających dostęp do innych sieci. Hasło podane przez mistrza ponownie otworzyło wszystkie drzwi; w ciągu kilku sekund sprawdził kilka źródeł danych.

Pierwszym była holomapa tej części Karmazynowego Korytarza, w której się właśnie znajdował. Maul ustalił swoją obecną pozycję i wstukał dane wektora ruchu ofiar.

Planetaryny bank danych podał mu odpowiednie informacje. Jego przewidywania potwierdziły się – podążali w stronę Świątyni Jedi, pomagając sobie planetarnym lokalizatorem robota. Na szczęście czekała ich jeszcze długa droga, nie tylko w kierunku świątyni, ale przede wszystkim na górne poziomy. Przeszedł na zerowy poziom holomapy i sprawdził położenie kilku wyjść z podziemnych korytarzy, którymi mogli wydostać się na powierzchnię.

Następnie podłączył się do sieci służb bezpieczeństwa planety i zażądał informacji o położeniu ulicznych kamer w pobliżu tych wyjść z podziemi. Obejrzał setki zdjęć z ostatnich kilku minut, nie znajdując nic, co mogłoby mu pomóc. Pozostawił to łącze otwarte i przełączył się na ewidencję przestępstw zgłoszonych w najbliższej okolicy. Nie zdziwił się, że ostatnich kilka godzin upłynęło kryminalistom z Karmazynowego Korytarza bardzo pracowicie: uliczne bójki, drobne kradzieże, inne pospolite przestępstwa. Natrafił na intrygującą wiadomość – policja poszukiwała robota za włamanie do systemu bankowego i sfiingowany przelew. Żadne z odnotowanych w okolicy wydarzeń nie mogło mu jednak pomóc w poszukiwaniach.

Darth Maul skrzywił się. Potrzebował jakiegoś środka transportu, żeby dostać się do interesującego go obszaru. Zastanowił się, co robić.

W tym momencie na komunikatorze zapaliła się dioda; wskazywało to, że otrzymał wiadomość. Poczul lekkie zaniepokojenie. To mógł być tylko jego pan. Nie przyszło mu do głowy nie odpowiedzieć na wezwanie. Uruchomił tryb bezpiecznej komunikacji, przerywając poszukiwania w sieci policyjnej, i czekał na odczyt odkodowanego sygnału.

W komunikatorze zatrzeszczał głos Dartha Sidiousa:

– Czas ucieka, mój uczniu. Na jakim etapie jest twoja misja?
– Mistrzu, odzyskałem holocron. Zatrzymałem go, abyś mógł go zbadać. Nastąpiło pewne... opóźnienie w odszukaniu człowieka, z którym rozmawiał Neimoidianin, ale teraz mi się nie wymkną. Nie zawiodę cię.

Darth Sidious milczał przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Nie możesz zawieść. Skontaktuj się ze mną, gdy będą martwi, a ja powiem ci, jak dostarczyć mi holocron. Uważaj, żeby twoja

obecność się nie wydała, Lordzie Maul. Nie nadeszła jeszcze nasza pora.

– Tak, mój panie.

Darth Maul ruszył w stronę skrzyżowania, na którym rozbił się samochód powietrzny Jedi. Rozciągnął zmysły, ale nigdzie w pobliżu nie wyczuwał obecności Jedi.

Starannie ukrył swoją obecność w Mocy na wypadek, gdyby jakiś Jedi trafił w pobliże. Sądził, że Jedi przyślą kogoś ze świątyni, aby zbadać miejsce katastrofy jednego z ich pojazdów, ale na pewno zrobią to potajemnie. Nie wątpił, że zdoła pokonać każdego z żyjących Jedi, ale w stolicy republiki było ich wielu. Nie był tak głupi, żeby próbować pokonać ich wszystkich naraz. Gdyby Jedi włączyli się do poszukiwań, cała sprawa niezmiernie by się skomplikowała.

Jego misja okazała się znacznie bardziej interesująca, niż się początkowo wydawała.

Schował się w cieniu w pobliżu miejsca katastrofy aerowozu i jeszcze raz włączył się do systemu policji planetarnej, stosując tę samą technikę co poprzednio. Niewielu taksówkarzy miało odwagę zapuszczać się w rejon Karmazynowego Korytarza i nawet policja nie pojawiała się tu bez dobrego powodu. Tego jednak mógł im łatwo dostarczyć.

Tym razem, zamiast wyświetlić menu, przejrzał aktualne trasy patroli policyjnych w tym rejonie miasta. Wysoko ponad nim, dobrych kilka kilometrów w górę, para policjantów patrolowała teren po ustalonej trasie. Maul zapamiętał ich nazwiska i włączył się do kolejki telefonów awaryjnych dyspozytorni. Wpisał odpowiednie dane bezpośrednio do komputera dyspozytora. Późniejsza kontrola wykaże na pewno, że wezwanie było nieautoryzowane, bez kontaktu przez komunikator, ale na razie to wystarczyło.

Jako przynętę wybrał robota, który okradł bank. Policja na pewno bardzo ostrożnie podeszłaby do wszystkich wezwań z tej okolicy, ale pewnie mniej by się obawiano interwencji w przypadku inteligentnego przestępstwa popełnionego przez czyjś mechanicznego służącego. Maul nie potrafił nic lepszego wymyślić na

poczekaniu.

Zastawiwszy pułapkę, Sith czekał, co w nią wpadnie. Nie trwało to długo. Po kilku minutach od chwili, gdy wprowadził dane do policyjnej sieci, dwa policyjne motory pościgowe opuściły się z głośnym warkotem z górnych poziomów, oświetlając teren dookoła mocnymi reflektorami. Przycupnięty w cieniu Darth Maul przygotował się do skoku.

Wstrzymał się jednak. Na krawędzi pola jego percepcji zmysłowej pojawiło się coś jeszcze. Sięgnął w tę stronę smuzką Mocy, badając niewidocznego intruza, który opuścił się niżej i zawisł nad miejscem katastrofy.

To była PJW – policyjna jednostka wspomagająca, pilotowana przez robota. W Karmazynowym Korytarzu w ciągu ostatnich lat zamordowano wielu oficerów policji i dlatego właśnie powstały PJW. Uzbrojone lekkie krążowniki wyposażono w najnowocześniejsze działa laserowe, zamontowane na górze i na dole jednostki, a także w baterię czujników, skanerów i innego sprzętu. Maul obserwował, jak jednostka opada na ulicę. Nie spodziewał się tak ciężko uzbrojonego statku, ale nie sądził, że opóźni to jego plany.

Zaczął, aż krążownik go minie, lecąc w ślad za motorami pościgowymi, i wtedy zaczął działać. Przyciągnął ku sobie Moc i użył jej, żeby podskoczyć wysoko w górę i wylądować na dziobie jednostki. Włączył świetlny miecz w tym samym momencie, gdy jego stopy dotknęły powierzchni statku, i natychmiast odciął górne działo od jego podstawy. Obrócił broń i jednym z ostrzy przebił transpastalową kabinę, w której siedział pilotujący jednostką robot. Krążownik zaczął spadać w dół; autopilot przejął stery, kiedy robot przestał działać.

Albo policjanci na motorach pościgowych zauważyli, że PJW opada, albo pilot jednostki zdołał się z nimi porozumieć, bo zawrócili motory i lecieli teraz wprost na niego.

Doskonale.

Motory leciały jeden za drugim. Maul wyłączył jedno z ostrzy miecza i cisnął nim w pierwszy z nadlatujących pojazdów jak dzidą. Miecz przebił pierś policjanta, a Maul, wspomagany Mocą, skoczył z

opadającego krążownika na drugi z nadlatujących motorów.

W tej samej chwili, gdy lądował, pochwycił świetlny miecz, który powrócił do niego pchnięty pierzastym pasemkiem Mocy. W ciągu sekundy drugi z policjantów padł martwy, a Darth Maul wszedł w posiadanie środka transportu. Nie było żadnych świadków, którzy mogliby zauważyć, że posługiwał się Mocą, a cała operacja potrwiała tak krótko, że prawdopodobnie żaden z oficerów nie zdążył wezwać posiłków.

Natychmiast skierował się na górne poziomy z zamiarem wyprzedzenia swojej zwierzyny. Wprowadził motor w pionową spiralę i sprawdził komunikator. I tym razem jednak nie zauważył nic niezwykłego na interesującym go terenie. Chociaż... jedna z kamer pokazała miejsce, które wyglądało na dziwne wyludnione. Było w tym coś niepokojącego...

Darth Maul cofnął obraz i puścił nagranie na zwolnionych obrotach. Tak, coś tam było – jakiś błysk. Obejrzał nagranie jeszcze wolniej. Nic... nic... i nagle znalazł to, czego szukał.

To był niewątpliwie jego cel – handlarz informacjami znany jako Lorn Pavan.

Sith sprawdził czas nagrania – dwadzieścia minut temu. Pospieszył w stronę miejsca, którego współrzędne wyświetliły się na ekranie.

Tym razem miał ich w ręku.

ROZDZIAŁ

29

Lorn dźgnął Dzikusa w łopatkę lufą blastera, gdy dotarli do wylotu ulicy.

– Stój – rozkazał. Odwrócił się do I-5 i Darshy. – Jakież wieści od zespołu naukowo-magicznego? – zapytał. – I nie zaczynaj mi tu znowu jęczeć, że zamontowałem ci zbyt tanie sensory – dodał, mając na myśli robota.

– No cóż, niewątpliwie były tańsze niż Mark 10.

– Ale droższe niż pięć innych zestawów. Znacznie droższe. – Lorn spojrzał na Darshę, zamierzając ją zapytać, czy odbiera jakieś sygnały poprzez Moc, i zobaczył, cokolwiek zaskoczony, że dziewczyna się uśmiecha. Tym, co zdziwiło go jeszcze bardziej – wręcz zszokowało – była jego własna reakcja: uśmiechnął się w odpowiedzi.

Podobał mu się ten uśmiech.

Podobała mu się ta dziewczyna.

Fatalnie.

Wiedział, że wkrótce będzie musiał ją zostawić. W żadnym wypadku nie zamierzał wracać do świątyni. Jasne, była ładna, ale spotykał wiele ładnych kobiet od czasu, gdy Siena go opuściła. Zdecydowanie nie był to ten kierunek, w którym powinien zwrócić swoje zainteresowania. Najlepiej było to przeciąć tu i teraz. Podnieść osłony przeciwstrzelnicze, zamknąć śluzy powietrzne, zabezpieczyć włązy.

Nagle ku swojemu przerażeniu stwierdził, że stoi i uśmiecha się jak głupek.

Idąc ulicą, Darsha z przyjemnością słuchała uszczypliwego dialogu pomiędzy Lornem a I-5. Widać było, że troszczą się o siebie jak przyjaciele; rozmawiali jak równy z równym. Niezwykłe, ale o dziwo, wydawało się to jak najbardziej naturalne.

Sama nie miała okazji do tego rodzaju przyjacielskich kontaktów. Jedi nie zniechęcali wprawdzie do zawierania przyjaźni, ale przez intensywność szkolenia i czas, którego wymagało, trudno było zbudować więź silniejszą niż zwykle koleżeńskie kontakty między padawanami. Najbardziej przyjacielskie stosunki nawiązała chyba z Obi-Wanem Kenobi – nie licząc jej mistrza – i jeśli tylko miała okazję porozmawiać z nim częściej niż raz na tydzień, uważała, że ma wiele szczęścia.

Słuchając Lorna i I-5, pozostawała czujna na ewentualne niebezpieczeństwo, które mogło się pojawić przed nimi lub z tyłu. Jedyne zagrożenie mógł w tej chwili stanowić Zielonowłosy; Dzikus płonął nienawiścią pewnie dlatego, że łatwo dał się pochwycić i że musiał zaprowadzić wrogów do sekretnej drogi członków gangu na górne poziomy. Trzeba było uważać na każdy jego ruch, ale Lorn i I-5 wydawali się kontrolować sytuację.

Nie wyczuwała śladów ścigającego ich Sitha, co mogło oznaczać, że w końcu udało im się go zgubić albo że musi się jeszcze wiele nauczyć, zanim będzie potrafiła w każdej chwili zespolić się z Mocą. Wcześniej, w potyczce z Dzikusami, czuła się w pełni z nią zjednoczona, tak samo jak podczas walki z taozinem, gdy Moc wyostrzyła wszystkie jej zmysły i koncentrację. Ale nie osiągnęła jeszcze etapu, żeby wytrwać w takim stanie. Minie wiele lat, zanim zdobędzie taką biegłość, jaką nieustannie prezentował mistrz Bondara.

Lorn kłócił się z I-5 na temat sensorów robota. Darsha rozpostarła percepcję poprzez Moc, ale odebrała tylko słabe wibracje ulicznych form życia – kilka karaluchopająków, szczury pancerne i inne podobne stworzenia. Na pewno nic, co mogłoby stanowić poważniejsze niebezpieczeństwo.

–... droższe niż pięć innych zestawów. Znacznie droższe – mówił

Lorn do robota. Spojrzał na nią. Uśmiechnęła się i zaskoczyło ją, że odpowiedział serdecznym uśmiechem. Czy to możliwe, że mu się spodobała? Na pewno nie było w nim w tej chwili wrogości, którą czuł do niej wcześniej, kiedy los zetknął ich ze sobą.

Czuła pokusę, by wysondować jego uczucia, wykorzystać empatyczne możliwości Mocy, żeby się upewnić, że ma rację. Zwalczyła jednak tę chęć. Nie byłoby uczciwie korzystać z takiej przewagi. Zresztą uświadomiła sobie, że wcale nie musi w tym celu posługiwać się Mocą. Każdy by się zorientował, że ona mu się podoba. Ciekawe.

Rodziło to pytanie o jej uczucia wobec Lorna. Lorn nagle odwrócił wzrok, a Darsha zauważyła, że poczuł się niepewnie, że nie wie, jak zareagować na to nowe napięcie, jakie się między nimi pojawiło. Emanowało z niego silne poczucie winy – i nie potrzebowała sondowania; musiałyby być ślepa na Moc, aby tego nie zauważyć. Mogła zrozumieć, skąd się brało to poczucie winy. Po latach nienawiści do Jedi Lorn nagle się zorientował, że jedna z nich mu się podoba. To musiał być spory wstrząs.

Nie czas ani miejsce, żeby się nad tym zastanawiać, powiedziała sobie w duchu. Jeśli im się poszczęści, będą mieli inne okazje. W tej chwili uznała, że należy ratować twarz – własną i Lorna.

– Nie wyczuwam w okolicy większych form życia – powiedziała.

Lorn pokiwał głową, odwrócił wzrok i ponownie dźgnął Dzikusa blasterem.

– Dobra, twardzielu. Idziemy!

Wytrącona nieco z równowagi tym, co odkryła, Darsha niemal zapomniała o gniewnych uczuciach Zielonowłosego. Teraz uświadomiła sobie, że mają jeszcze przed sobą długą drogę.

Lorn szedł za Zielonowłosym, nadal przejęty milczącą sceną, która rozegrała się pomiędzy nim a Darsha. Czy zorientowała się w jego uczuciach? A może użyła Mocy, żeby je zobaczyć bez osłonek? Miał nadzieję, że nie. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, pomyślał, przecież to Jedi. Niewątpliwie potrafiłaby zrobić coś takiego. Z doświadczeń

Lorna wynikało, że kiedy ludzie mają jakąś umiejętność, są skłonni do posługiwania się nią.

Powinien się poczuć obrażony takim wtargnięciem w jego prywatne uczucia, ale był tylko ciekawy, czy on też się jej spodobał. I to obchodziło go znacznie bardziej niż naruszenie jego uczuć.

I-5 przerwał te rozważania.

– Zgadzam się z konkluzją padawanki Assant co do obecnych tu form życia, ale może zainteresuje was informacja, że w promieniu nie dalej niż piętnastu metrów wyczuwam emisję dwóch czynnych nadajników...

– Lorn, uważaj! On coś kombinuje! – krzyknęła w tym momencie Darsha.

I rzeczywiście, Zielonowłosy zanurkował w stertę śmieci tuż pod szerokim gzymsem po lewej stronie ulicy. Lorn skoczył za nim, próbując zobaczyć, co też młody gangster próbuje wydobyć ze śmietnika. Zielonowłosy dotarł tam pierwszy i zagłębił rękę w stercie. Sięgnął po żółty czytnik aktywatora. Lorn widywał już wcześniej takie czytniki; mógł ich użyć tylko ktoś z odpowiednim wzorem identyfikacji. Takim wzorem mogło być DNA użytkownika albo podskórny czip, a czasami nawet tatuaż. W tym wypadku Lorn wiedział, że jeśli się nie pospieszy, dowie się bardzo szybko, do czego służy aktywator.

Złapał chłopaka za nadgarstek i mocno wykręcił mu rękę do tyłu. Zielonowłosy krzyknął, a Lorn szarpnął go za drugą rękę i przyciągnął wyrywającego się smarkacza do miejsca, gdzie stali I-5 i Darsha.

– Masz coś, czym moglibyśmy go unieruchomić? – zapytał robota.

– Doskonały pomysł – powiedział I-5, podając Lornowi kawał liny wygrzebany ze śmieci. – Szkoda, że nie przyszedł nam do głowy, zanim ten młodzieniaszek o mało nie wysadził nas w powietrze.

Lorn związał nadgarstki Zielonowłosego i odwrócił go twarzą do siebie.

– To jak, kolego... do czego służy ten przełącznik?

Zielonowłosy patrzył na niego buntowniczo, zaciskając zęby.

Lorn spojrzał na I-5, który powiedział:

– Odebrałem sygnał wysłany z tego obwodu w kierunku silnego

źródła energii wysoko w ścianie, o tam. – Robot wskazał na zardzewiałą kratę wentylacyjną jakieś trzy metry powyżej miejsca, gdzie stali. Palec wskazujący to miejsce nagle zmienił kształt, a jego koniec otworzył się jak przysłona. Robot wystrzelił czterokrotnie, a cienkie jak włos rubinowe promienie energii trafiły w cztery rogi kraty. Lorn poczuł swąd rozpalonego metalu, mieszający się ze smrodem odpadków organicznych wypełniającym ulicę.

Pokrywa szybu wentylacyjnego spadła i z brzękiem uderzyła o chodnik. W odsłoniętym otworze zobaczyli tępy koniec trójnożnego działka laserowego, niewątpliwie zmechanizowanego i zaprogramowanego na ostrzelanie każdego, kto znalazł się w pobliżu przełącznika aktywatora.

To dopiero byłaby paskudna niespodzianka.

Lorn pokręcił głową i spojrzał na Darshę.

– Mam pomysł – powiedział. – Może powinnaś spróbować jednej z tych sztuczek umysłowych, które chciałaś zastosować wcześniej.

Zerknęła na niego drwiąco, a potem popatrzyła na Zielonowłosego. Jedną ręką wykonała lekki gest, mówiąc przy tym:

– Pokażesz nam drogę na górę, tym razem bez żadnych sztuczek.

Zafascynowany Lorn patrzył, jak oczy Dzikusa zezują na boki, a on sam powtarza:

– Pokażę wam drogę na górę, tym razem bez żadnych sztuczek.

Lorn poczuł się dziwnie, widząc z jaką łatwością ukształtowała umysł chłopaka. Nie po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy to samo mogłaby zrobić jemu.

Ich jeniec wskazał na ciemny koniec ulicy.

– To tam – powiedział drewnianym głosem.

Lorn spojrzał na Darshę. Przytaknęła. Ruszył przodem.

Darsha nie mogła uwierzyć, że przegapiła nadajnik. Tak się skoncentrowała na żywych wrogach, że nie przyszło jej do głowy szukać mechanicznych. Musiała uważać, żeby nie popełnić podobnego błędu w przyszłości.

Rozciągnęła swoją percepcję, szukając żywych i mechanicznych

oczu. Przy następnej przecznicy znajdowała się kamera policyjna. Lorn wyjrzał zza rogu, zanim zdążyła go powstrzymać, ale poradziła sobie. Musiała tylko trochę mocniej się skoncentrować, chcąc uszkodzić jej mechanizm, ale na pewno nie było to ponad jej siły. Po prostu zamknęła przesłone obiektywu.

Darsha, Dzikus i I-5 dołączyli do Lorna, który patrzył na kamerę.

– Nie przejmuj się – powiedziała Darsha. – Wyłączyłam ją.

– Była włączona? – zapytał Lorn. – Myślałem, że to tylko atrapa, ustawiona dla niepoznaki.

– Pamiętasz chyba, że odebrałem sygnały z dwóch nadajników – przypomniał mu I-5.

Lorn przeniósł wzrok na robota, wzruszył ramionami i kiwnięciem głowy podziękował Darshy. Przyszło mu to dziwnie łatwo. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze dzień wcześniej czuł do niej niechęć za to, że ocaliła mu życie.

Ruszyli dalej. Zielonowłosy prowadził ich trasą wyjątkowo krętą nawet jak na standardy Coruscant – ciemnymi ulicami i tylnymi korytarzami dla służb konserwacyjnych, które przez stulecia utworzyły prawdziwy labirynt. Chwilami przejście było tak ciasne, a ciemność tak kompletna, że wątpili, czy wracają na powierzchnię. Darsha starała się wyostrzyć zmysły, ale z wyjątkiem paru obszarpanych włóczęgów i żebraków, którzy przemykali w mroku pod ścianami, nie napotkali po drodze nikogo. Po dziesięciu minutach dotarli do dużego okrągłego otworu, w którym rozpoznali wylot rury ciepłowniczej. Wyblakłe oznaczenia w różnych językach używanych w galaktyce i uniwersalne piktogramy ostrzegały przed niebezpieczeństwem.

Zielonowłosy wskazał na właz prowadzący do rury i oznajmił:

– Tędy.

Lorn zerknął na klapę włazu, a potem na Zielonowłosego.

– Jesteś pewna, że twój „urok” nadal działa? – zapytał Darshę.

– On nie kłamie – powiedziała. – Wierzy, że droga wiedzie właśnie tędy. Jeśli nie cierpi na zaburzenia psychiczne, tędy właśnie dostają

się na górne poziomy.

I-5 zastukał w rurę. Odpowiedział mu głuchy dźwięk.

– Moje czujniki są blokowane przez izolację. Niewykluczone jednak, że rura jest bezpieczna.

– Niech będzie – zgodził się Lorn. – Lepiej ty to otwórz. – Cofnął się, żeby zrobić miejsce robotowi.

– Żyję, aby służyć – powiedział sarkastycznie I-5, chwytając za koło wjazdu. Obrócił je bez trudu i pchnął klapę. Żadnych buchających kłębow pary. Robot zajrzał do środka.

– Wydaje się, że rura prowadzi w górę na co najmniej dziesięć poziomów. W środku są stopnie. Ktoś jest chętny...?

Lorn spojrział na Darshę. Zielonowłosa grzecznie czekał obok.

– Zabieramy ze sobą tego elegancika czy zostawiamy go tutaj?

Darsha zwróciła się do chłopaka.

– Czy są jeszcze jakieś pułapki albo szyfry, o których powinniśmy wiedzieć?

Dzikus pokiwał głową.

– Tylko kod do klapy wjazdu na drugim końcu. Jeden-jeden-trzy-cztery-zero.

Padawanka spojrzała na Lorna.

– Puść go.

Lorn kiwnął głową i rozwiązał jeńca. Darsha położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała:

– Zapomnisz o nas.

– Zapomnę o was.

– Idź swoją drogą. Jeśli pojawi się niebezpieczeństwo, natychmiast dojdiesz do siebie. Gdyby nic ci nie groziło, to za godzinę. Idź. I jeszcze jedno – dodała Darsha, gdy chłopak się odwrócił. – Zetnij te włosy.

Zielonowłosa kiwnął głową i ruszył przed siebie, a wzrok miał nadal otępiały. Lorn nie mógł się powstrzymać i uśmiechnął się do padawanki. Nieźle, całkiem nieźle. Spojrział na I-5 i zobaczył, że pozbawiona wyrazu twarz robota wygląda jeszcze bardziej obojętnie niż zwykle. Odchrząknął i pchnął partnera w stronę rury. Nie był zachwycony perspektywą wspinaczki po schodach na dziesiąte piętro.

Darsha wchodziła po szczeblach za Lornem i I-5. Wspinaczka była długa i przyprawiała o klaustrofobię, a po trudach, jakie do tej pory przeszli, wydawało jej się, że nie da rady. Jednak perspektywa, że w końcu opuści otchłań bezprawia, jaką był Karmazynowy Korytarz, dodawała jej sił.

Na drugim końcu rury znajdował się włącz, który I-5 otworzył bez trudu. Przeszli za nim przez klapę.

Znajdowali się teraz w dużym pomieszczeniu, które, sądząc z wyglądu, musiało być kiedyś dyspozytornią ogrzewania dla budynków z obszaru co najmniej kilku przecznic. Hala była wysoka na dwa piętra i wypełniona płataniną obwodów najrozmaitszych typów, zdumiewającym labiryntem kładek i kilkoma starymi generatorami ciepła. W którymś momencie zakład musiał zostać zamknięty i przekształcony w magazyn. Na drugim końcu znajdowała się mała durastalowa komora do przechowywania niebezpiecznych substancji. I-5 zajrzał do jej wnętrza.

– Następne śmieci – zameldował. – Wśród nich niewielka komora do zamrażania węglowego. – Robot rozejrzał się po pomieszczeniu; zauważył liczne pojemniki na paliwo i butle gazowe do spawarek, zgromadzone wszędzie dookoła. – Na twoim miejscu nie zabawiałbym się tu blasterem – powiedział do Lorna.

– Jeśli mam powiedzieć swoje zdanie w kwestii blasterów – powiedział żarliwie Lorn – to mam nadzieję, że nigdy już nie będę musiał ich używać.

Darsha spojrzała na I-5; mogłaby przysiąc, że robot się uśmiechał. Po drugiej stronie hali znajdowały się drzwi. Nad nimi rząd okien wpuszczał światło dnia. Objęła Lorna i uściskała go.

– Udało się!

Najpierw wyglądał na zaskoczonego, potem na zmieszanego, ale zaraz dał się ponieść chwili i przytulił ją mocno. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, Darsha poczuła, że jej radość zmienia się w przerażenie.

Wyczuła go, jeszcze zanim zobaczyła. Puściła Lorna i odwróciła się w stronę drzwi ze świetlnym mieczem w dłoni.

W otwartych drzwiach stał Sith.

ROZDZIAŁ

30

Darth Maul patrzył od drzwi na swoje ofiary; czuł, jak ich zaskoczenie i zgroza zakłócają fale Mocy rozchodzące się w pomieszczeniu. Znaleźli się w pułapce. Wiedział o tym i oni również to wiedzieli. Tym większa chwała jego zwycięstwa. Obnażył zęby w szerokim uśmiechu.

Dotarcie do drugiego końca przewodu ciepłowniczego nie zajęło mu dużo czasu, bo za każdym razem, gdy ruch powietrzny gęstniał, oczyszczał drogę dla motoru policyjnego, włączając syrenę. Przegapił moment, gdy weszli do rury ciepłowniczej, ale po szybkiej inspekcji przewodu doszedł do nieuniknionego wniosku, dokąd mogła się udać grupa uciekinierów. Przez cały czas działał na krawędzi obecności w Mocy, nie pozwalając sobie zatopić się w jej polu. Tak długo żył zespolony z Ciemną Stroną, że w pierwszej chwili po odcięciu kontaktu poczuł się nagi i ślepy, ale było to konieczne, żeby uczennica Jedi, która towarzyszyła jego ofiarom, nie wyczuła jego obecności. Okrążywszy budynek, zorientował się, że z wyjątkiem położonych wysoko w ścianie okien prowadzą do niego tylko jedne drzwi. Nie mógł sobie wymarzyć lepszej pułapki.

Nadal odcięty od Mocy, co prawie mu się nie zdarzało w ciągu ostatnich lat, wypuścił tylko wąskie pasemko świadomości w stronę drzwi budynku. Stał pod nimi, czekając na potwierdzenie, że jego ofiary dotarły na miejsce.

Po pewnym czasie nadeszli; wtedy Maul z powrotem przekroczył granicę, która oddzielała go od Ciemnej Strony, i zespolił się z nią,

rozkoszując się tą chwilą. Natychmiast wyczuł reakcję padawanki i właśnie wtedy otworzył drzwi.

Teraz wszedł do środka i włączył oba ostrza miecza świetlnego. Tak, chwila chwały była wspaniała, ale ulotna i już minęła... Nadszedł czas, żeby sprowadzić następną, jeszcze wspanialszą – chwilę triumfu po ostatecznym wypełnieniu misji.

Przed kilka niewiarygodnie długich uderzeń serca Darsha stała sparaliżowana, wstrząśnięta, w duchu już pokonana. Przewrzenie, rozpacz i brak nadziei opadły ją, odbierając wolę. Oto stała wobec najstraszniejszego wroga; Sith był znacznie silniejszy Mocą niż ona. Pokonał mistrza Bondarę, jednego z najlepszych wojowników Jedi.

Podдай się, namawiał głos w jej głowie. Rzuć broń. Podдай się...

Ale kiedy Sith zapalił bliźniacze ostrza swojego miecza, lata treningu, które wyrobiły w niej instynktowne niemal reakcje, zrobiły swoje. Głos rozpacz w jej głowie umilkł.

Zanurzyła się w Moc.

„Nie ma emocji, jest spokój”.

Strach wyparował, a jego miejsce zajęła równowaga. Nadal była świadoma, że Sith jest zdolny ją zabić, ale problem ten stał się nagle odległy. Jeśli śmierć była nieunikniona, jedyne, co się liczyło, było to, jak ją przyjmie.

„Nie ma ignorancji, jest wiedza”.

Uczestniczyła w wykładzie o technikach bitewnych wygłoszonym w początkach roku przez Yodę. Teraz przypomniła go sobie z całą wyrazistością.

Yoda stanął przed zebranymi studentami i przemówił, a jego głos, choć słaby i skrzeczący, docierał do najdalszych zakątków auli bez wzmacniaczy.

– Lepsza niż trening jest Moc. Więcej niż doświadczenie i szybkość daje.

Potem przeprowadził małą demonstracją. Trzej członkowie Rady – Pio Koon, Saesee Tiin i Depa Billaba, wszyscy doskonali wojownicy – wystąpili naprzód i zaatakowali go. Mistrz Yoda był nieuzbrojony i

wydawało się, że nie porusza się dalej niż w promieniu metra, wolnym i z trudem odmierzanym krokiem. A jednak żaden z trójki wojowników nie był w stanie zbliżyć się do niego na tyle, by go dotknąć. Lekcja głęboko zapadła w serca słuchaczy: znajomość Mocy jest nieskończenie ważniejsza niż technika.

Darsha zatopiła się więc w Mocy. Nie próbowała jej kontrolować, pozwoliła sobie opanować jak wówczas, gdy walczyła z taozinem i Dzikusami. Ile razy mistrz Bondara powtarzał jej, by po prostu się rozluźniła, by dała się jej ponieść? Zrobiła to teraz, czując, że zagłębia się w Mocy bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Nie umiała powiedzieć, skąd to wie – po prostu tak było. Czuła, jak jej zmysły wyostają się niczym diament, a każdy element stacji ciepłowniczej nabiera niezwyklej wyrazistości, tak na planie widzialnym, jak i niewidzialnym. Znała każdą ścianę, każdą maszynę, każdą cząstkę kurzu.

I wiedziała, co musi zrobić.

Wszystko to trwało niecałą sekundę.

Drobnym ruchem dłoni za plecami Darsha pchnęła telekinetycznie Lorna i I-5 do tyłu, posyłając ich kilkadziesiąt metrów po podłodze do komory magazynowej, o której wiedziała, że musi być wytrzymała, skoro składa się w niej niebezpieczne, lotne substancje. Ciężkie drzwi komory zamknęły się z hukiem. Sith nie zdołał dotrzeć do nich od razu, co dało jej trochę czasu. Jedną myślą zaszyfrowała zamek, tak by nie można go było otworzyć, i włączyła miecz, który zalśnił złotym blaskiem w półmroku hali.

Podwójne ostrza miecza Sitha zawirowały; Maul podskoczył w jej stronę, a Darsha wystąpiła do przodu na jego spotkanie.

Lorn pchnął z całej siły drzwi komory, ale nie ustąpiły.

– Darsha! Otwórz drzwi!

Szarpnął kilkakrotnie klamkę, ale mechanizm zamka został zaszyfrowany. W płycie drzwi było małe okienko z żółtej transpasty; widział przez nie, jak Darsha i Sith zaczynają walczyć, a ich miecze ścierają się wśród snopów iskier.

Oszalała! Co ona zrobiła? Musiała wiedzieć, że nie ma szans w walce z demonem, który zabił jej mistrza. Cała trójka, łącznie z blasterami w palcach I-5, może dałaby mu radę. Ale dziewczyna nie miała szans, walcząc z nim samotnie.

Ona umrze.

A on prawdopodobnie będzie następny – ale o tym nie myślał. Liczyło się teraz tylko to, żeby otworzyć jakoś ten właz, pobiec do niej, spróbować pomóc!

Wyciągnął z kieszeni wibroostrze i spróbował przeciąć zamek. Nic z tego.

– I-5, wydostań nas stąd! – krzyknął. Robot nie odpowiedział, a Lorn odwrócił się, by zobaczyć dlaczego.

I-5 uruchamiał zamrażarkę. Chmura gryzącego gazu – para karbonitowa – zasnuła powietrze w komorze.

– Co robisz? Ona tam umrze!

– Tak – potwierdził robot. – Umrze.

Darth Maul poczuł zmianę w Mocy, gdy kobieta wystąpiła naprzód. Ciekawe... była potężniejsza niż przypuszczał. To oczywiście bez znaczenia. On, przez całe życie szkolony do zabicia Jedi, na pewno poradzi sobie z jedną padawanką. Ale z godniejszym przeciwnikiem potrwa to dłużej. W końcu z budynku nie było innego wyjścia; jego główna ofiara i robot nigdzie się mu nie wymkną. A przez ten czas trochę się zabawi.

Zakreślił bliźniaczymi ostrzami nad głową, przygotowując się do cięcia, które miało rozszczępić kobietę na pół.

Odbiła cięcie żółtą klingą plazmy; sparowała atak pierwszego ostrza, potem skrzesała iskry na drugim, odrzucając je na bok.

Zmienił kierunek ataku; dźgnął mieczem do przodu sekwencją Uderzającego Sarlaka, aby przebić jej serce.

Skontrolowała atak w dół i zakończyła cięciem w górę, by rozplatać mu brzuch.

Ale jego już tam nie było; wywinął salto, lądując pewnie w obronnej postawie.

Darth Maul obnażył zęby w uśmiechu. Jak na padawanę, była godnym przeciwnikiem. Żaden z mistrzów Jedi nie był głębiej zespólny z Mocą niż ona w tym momencie.

Ale i tak ją zabije. Wiedział to, podobnie jak ona. Sith zaatakował z kilku stron; wykorzystał Moc, by cisnąć w kobietę zardzewiałym kluczem francuskim i koszem starych uchwytów ze stołu roboczego. Jednocześnie skoczył do przodu; a jego miecz odtańczył sekwencję Fali Śmierci ze szkoły teräs käsi.

Znudziła mu się ta zabawa. Czas zabić dziewczyną i zająć się główną ofiarą.

„Nie ma pasji, jest pogoda ducha”.

To prawda. Każdy jej ruch był pełen zaangażowania i precyzji, ale nie towarzyszyły mu emocje, nie poprzedzała ich żadna świadoma myśl. Moc prowadziła ją, pomagała wykonywać szybkie jak błyskawica ruchy defensywne, a nawet kontratakować.

Wiedziała jednak, że to nie wystarczy. Ten Sith był najlepszym szermierzem, jakiego Darsha kiedykolwiek widziała. Poruszał się z niezwykłą precyzją, panował nad Mocą jak wirtuoz odgrywający mistrzowską solówkę. Tym bardziej było konieczne, żeby wiadomość o nim dotarła do świątyni.

Posługując się Mocą, odbiła rzucone w nią narzędzia i śruby. Kilka z nich trafiło ją jednak w pierś i nogi, zanim zdążyła wyskoczyć na kładkę biegnącą na wysokości pięciu metrów przez całą szerokość pomieszczenia. Lądując dostrzegła wstrząśniętą twarz Lorna w wizjerze wjazdu do komory magazynowej. Nie zdążyła nawet głębiej odetchnąć, gdy Sith pojawił się tuż przed nią. Patrzył na nią hipnotyzującymi złocistymi oczami, których kolor dziwnie nie pasował do czerwono-czarnych tatuaży pokrywających twarz. Nie przeszkodziło jej to jednak w parowaniu jego ataków, gdy ponownie znalazła się w zasięgu jego miecza, tnącego tak szybko, że podwójne ostrza wydawały się rozpląwać w karmazynowa mgłę.

Trzask i zgrzyt towarzyszył zetknięciu ich ostrzy; iskry sypnęły, gdy je rozdzielili – ona, aby przejść od obrony, on do ataku drugim

ostrzeni.

Darsha cięła na odlew, wyczuwając błąd w jego obronie.

Ale była to pułapka, starannie zaplanowana; Maul zakręcił rubinową klingą, siekąc jednocześnie do przodu.

Darshy jednak już tam nie było – odskoczyła w bok z mieczem wycelowanym w jego pierś.

Sith zanurkował i uderzył serią cięć prawo-lewo-prawo; pozbawiło ją to tchu, mimo wspomagania ze strony Mocy. Obroniła się, zmuszając umysł, żeby nie poddawał się wzorcom ruchów narzucanych przez Sitha, lecz pozostał w stanie rozluźnienia i głębokiej więzi z Mocą. Myślenie było niebezpieczne.

Sith nie podzielał tej słabości – czuła to. Bardziej świadomie się kontrolował, co dawało mu przewagę. Gdyby spróbowała zwiększyć swoją władzę nad Mocą, spadłaby jej zdolność do reagowania. Jednak jeśli nie spróbuje – będzie się mogła tylko bronić.

Problem powracał, gdy starała się utrzymać łączność z otoczeniem; wysilała wtedy zmysły, starając się znaleźć odpowiedź.

Gdy znalazła, wypróbowała ją i zrozumiała, że to jej jedyna szansa.

Lorn złapał robota za ramiona i starał się go odciągnąć od urządzeń kontrolnych. Równie dobrze można było próbować zerwać zaczep cumowniczy z orbity.

– Co robisz?

I-5 nie przestawał mówić denerwująco monotonnym głosem:

– Nawet moje reakcje są zbyt powolne dla Sitha, a ja jestem dużo szybszy od ciebie i padawanki Assant. Ona robi dla nas to, co jej mistrz zrobił dla niej: kupuje czas.

– I co to da? Jesteśmy uwięzieni w tej komorze...

– Mamy tu zamrażarkę węglową, która może nas obu wprowadzić w stan kriostazy.

Przez chwilę Lorn był zbyt zaskoczony, żeby zaprotestować. Robot kontynuował.

– Teoretycznie żywe istoty można zamrozić w bryle węglowej, a

potem przywrócić do życia. Czytałem interesującą pracę na ten temat w „Kosmosie nauki”...

Lorn odwrócił się, bliski wybuchu, i wycelował miotacz Saurina w zamek wjazdu. Tak czy inaczej, dostanie się do niej.

– Przestań! – rozkazał I-5. – Komora jest zamknięta magnetycznie. Rykoszet prawdopodobnie zabiłby nas obu.

Lorn błyskawicznie się odwrócił i wycelował miotacz w I-5.

– Podejź tam i otwórz drzwi – powiedział głosem, który w niczym nie przypominał jego zwykłego tonu – albo zamienię cię w złom.

I-5 odwrócił głowę i popatrzył na niego przez chwilę. Potem sięgnął po miotacz i wyrwał go Lornowi, zanim tamten zdążył pociągnąć za spust.

– Posłuchaj – powiedział, wracając do pracy. – Mamy tylko jedną szansę na przeżycie, i to niezbyt dużą. Padawanka nie ma szansy i o tym wie. – Skończył wprowadzać ostatnie dane do tablicy sterowania jednostki. – Wchodź do środka.

Lorn przestał się w niego wpatrywać i wyjrzał przez okienko wjazdu. Nie mógł bezpośrednio dostrzec Darshy ani Sitha, ale widział ich cienie poruszające się po podłodze w świetle płynącym z wysokich okien. Zorientował się, że pole bitwy przeniosło się na jedną z wysokich kładek.

„Robi to, co jej mistrz zrobił dla niej: kupuje czas”.

Znał ją nie dłużej niż dwie doby, a przez ten czas zdążył przejść od nienawiści do niej samej i wszystkiego, co reprezentowała, do... sam nie wiedział do czego. Ten szalony plan, frustracja, tygiel emocji, do jakich nie odważył się przez lata przyznawać... Nie pokochał jej – na to nie było dość czasu. Ale miał dla niej pełną ciepłą czułość, głęboko ją szanował i podziwiał. Gdyby wszyscy Jedi byli tacy...

Zmusił się, żeby przestać o tym myśleć.

Jeśli wszyscy Jedi są tacy, to Jaksa spotkało najlepsze, co mogło go spotkać.

– Pośpiesz się! – polecił I-5. – Zamrażarka jest podłączona do włącznika czasowego. Mamy mniej niż minutę.

Lorn przyłgął twarzą do transpastalowego okienka, starając się

po raz ostatni spojrzeć na Darszę. Nie udało się. Słyszał słabe trzaski i buczenie mieczy świetlnych, widział błyski i kaskady iskier, gdy ścierały się ze sobą lub przecinały metal, jakby był flimsiplastem. Ale jej nie udało mu się dojrzeć.

I-5 ujął go delikatnie, lecz mocno za ramiona i odwrócił od wjazdu. Lorn pozwolił robotowi zaprowadzić się do zamrażarki. Nie czuł strachu, gdy wchodził do środka. Pragnął nie czuć nic prócz odętwienia.

Nie, powiedział sobie. Zbyt długo tak żył. Jeśli to mają być jego ostatnie chwile – a pewnie tak jest, bo szanse, że plan robota się powiedzie, są nikłe – nie przeżyje ich w pustce emocjonalnej.

Niewiele więcej mógł zrobić w uznaniu poświęcenia dziewczyny.

Wszedł do otwartego urządzenia. I-5 wtłoczył się za nim. Ledwo starczyło miejsca dla nich obu.

Lorn spojrzał na robota.

– Jeśli to przeżyjemy – powiedział – zabiję tego Sitha.

I-5 nie odpowiedział; nie było czasu. Lorn poczuł kotłującą się wokół niego lodowatą parę. Wzrok zasnuła mu mgła, która zamieniła się w ciemność – ciemność głęboką i absolutną jak śmierć.

ROZDZIAŁ

31

Darth Maul poczuł się nieco zawiedziony, gdy się zorientował, że ta Jedi nie była tak potężna, na jaką niedawno wyglądała. Imponująca była głębia jej Mocy, ale technika pozostawiała wiele do życzenia. Oboje wiedzieli, że to tylko kwestia czasu. Skoncentrował ataki, zmuszając ją do lepszej technicznie obrony.

Zeskoczyła na podłogę, a on za nią. Poczuł nacisk wywołany Mocą i sparował go, aż olbrzymie pojemniki poruszyły się gwałtownie za jego plecami. Traciła siły. Taki atak był oznaką desperacji. Wkrótce będzie po wszystkim.

Zanurkował w jej stronę; przekoziółkował, by znaleźć się blisko niej, jednocześnie odpierając jej pchnięcie. Kolejna niewidzialna fala siły powaliła sprzęty tuż za miejscem, gdzie był jeszcze przed chwilą.

Żałosne.

Maul dźgnął ostrzem w górę z udawaną niepewnością, aż napotkał jej ostrze. Nie wykorzystała sfingowanej słabości ataku, przez co stracił dla niej resztę szacunku.

Trudno, będą przecież dalsze misje, inne wyzwania bardziej godne jego umiejętności. Pewnego dnia Świątynia Jedi stanie się ruiną, a on przy tym będzie, chłonąc wzrokiem jej upadek; ale przedtem zabije jeszcze wielu Jedi. Teraz jednak pora była kończyć.

Darth Maul przygotował się na ostateczne pchnięcie.

Darsha wysłała kolejną falę Mocy, przewracając jeszcze jeden

pojemnik z paliwem. Udało jej się przysunąć do siebie kilka butli spawalniczych i ogniów paliwowych. Leżały teraz na kupie, czekając, aż zdarzy się wyjątkowo wybuchowy wypadek.

Jakie to typowe, pomyślała. Wykorzystać jako przykład poświęcenie mistrza Bondary.

Pozwoliła sobie na krótkie wspomnienie Lorna. Miała nadzieję, że robot domyśli się, jakie możliwości dawała im zamrażarka. Jeśli nie, jej poświęcenie pójdzie na marne.

Widziała twarz Lorna w okienku wjazdu, wyrażającą rozpacz i troskę – nie o siebie, Opuścił się z powrotem na chodnik. Nie zwracając uwagi na kłębiących się ale o nią. Z całą pewnością nie wyglądał na kogoś, kto nienawidzi ani nawet kogoś, gapiów, naciągnął kaptur i odszedł od płonącego budynku.

komu jej los jest obojętny.

Tym gorzej, pomyślała. Gdyby mieli więcej czasu... Gdyby udało im się przejść przez to do końca, dojść razem do Świątyni Jedi...

Ale los chciał inaczej.

„Nie ma pasji, jest pogoda ducha”.

Wykonała brzęczącym mieczem pchnięcie w stronę Sitha i zmieniła pozycję.

Musiała to dokładnie dopracować, tak by jej ruchy wyglądały na niezamierzone.

Opuściła gardę. Sith natychmiast to wykorzystał.

Ostrze przeszło jej bok ognistym płomieniem bólu, który zmusił ją do krzyku.

Darsha Assant puściła miecz, używając Mocy, by pchnąć go naprzód. Miecz, wciąż świecąc, przebił jedną z butli gazowych.

Miała czas na jedną ostatnią myśl.

„Nie ma śmierci, jest Moc”.

Czuła, że to prawda.

Gdy Darth Maul przejrzał strategię przeciwniczki, było już prawie za późno. Skoczył, wykorzystując Moc, żeby pchnęła go w górę, w stronę jednego z wysokich okien. Przebił się przez nie bez trudu i

wylądował na pobliskim chodniku w chwili, gdy w hali eksplodowały kanistry.

Na szczęście, mocne ściany budowli wytrzymały wybuch. Padawanka do końca wykazała przebiegłość; zrozumiał nagle, że jej kiepskie ataki Mocą były pułapką. O wiele godniejszy przeciwnik niż przypuszczał.

Jej działania kosztowały go przyjemność zabicia głównej ofiary. Maul uczcił pamięć dziewczyny uśmiechem. Nie wszyscy walczą tak dobrze; zasłużyła, by ją uhonorować.

Dookoła zaczynał zbierać się tłum. Musiał się jak najszybciej upewnić, czy jego misję można uznać za zakończoną. Wskoczył z powrotem na okno, przez które niedawno wydostał się na zewnątrz. Teraz buchał z niego dym, przez który z ledwością mógł dojrzeć piekło, w jakie zamieniło się pomieszczenie. Użył Mocy, żeby rozwiać opary, i zobaczył komorę magazynową, w której schowały się jego ofiary. Fala wybuchu rozdarła ściany komory. Maul widział potrzaskane i poskręcane części wyposażenia.

Nikt nie mógłby przeżyć takiej eksplozji. Nie widział jednak śladu ciała padawanki ani Lorna Pavana. Musiały wyparować podczas eksplozji.

Jego misja była skończona.

Musiał się jednak upewnić. Padawanka okazała się w końcu niesłychanie trudna do zabicia, przeżyła nawet poprzedni wybuch. Maul chciał się przekonać, czy ona żyje. Zapytał Ciemnej Strony, wysyłając badawcze wibracje przez całe pomieszczenie, szukając jakichkolwiek oznak życia.

Nie znalazł ich.

Świetnie.

Mógł już powiadomić mistrza o swoim sukcesie.

Nareszcie.

ROZDZIAŁ

32

Podchodząc jeszcze raz do miejsca, gdzie leżał rozbity aerowóz mistrza Bondara, Obi-Wan Kenobi wyczuł śmierć. To, na co wcześniej zwrócił uwagę, nie mogło być śladem przejścia Jedi; to musiało być coś innego.

Gdy znalazł się bliżej, zauważył dym wzbijający się w górę i stroboskopowe światła krążowników policyjnych otaczających miejsce wypadku. Z całą pewnością zdarzyło się tu coś jeszcze – jakaś katastrofa, na tyle poważna, że ściągnęła patrole.

Po odlocie z Oazy Tusken zdecydował się powrócić w miejsce, gdzie po raz ostatni widziano Darszę i mistrza Bondarę, czyli do aerowozu Twi'lekianina. Unosząca się w powietrzu barykada policyjna ostrzegła padawanę, żeby się nie zbliżała; przez sekundę Obi-Wan Kenobi nawet rozważał taką możliwość. W końcu był to, bądź co bądź, Karmazynowy Korytarz. Bez wątpienia prowadzono tu śledztwo w sprawie przestępstwa, które go nie dotyczyło.

Ale po chwili znów go ogarnęło przecucie zła, które tak go poruszyło poprzednim razem.

Obi-Wan wymanewrował pojazdem obok barykady. Robot-patolog już miał nakazać mu, żeby się cofnął, ale zorientował się, że ma do czynienia z padawanem Jedi, i przepuścił go. Jedi nie lubili korzystać ze swoich świeckich uprawnień, ale republikańskie przepisy dawały im prawo przebywania na obszarach odciętych kordonem przez policję, jeśli śledztwo miało z nimi coś wspólnego.

Gdy tylko wylądował tuż za linią laserów policyjnych skanujących

okolice, podeszło do niego dwóch nieumundurowanych śledczych – jeden Mrlssi i jeden Sullustianin; obaj wyglądali, jakby z chęcią przenieśli się gdziekolwiek indziej. Pierwszy odezwał się Mrlssi.

– W czym możemy pomóc?

Obi-Wan postanowił sprawdzić, jak zareagują, gdy wyjawii część prawdy. Nie musieli od razu wiedzieć, że zaginęło dwóch rycerzy Jedi.

– Śledzę przestępcę, który podobno działa na tym obszarze. Podobno były jakieś napaści... – tu urwał i skoncentrował się na reakcjach pary śledczych. Miał nadzieję, że sprowokuje ich do odpowiedzi. – Dano mi do zrozumienia, że może to mieć jakiś związek z tym, co się tu wydarzyło.

Sullustianin zerknął na Mrlssi.

– Tak, to możliwe. Popatrz tutaj.

Obi-Wan poszedł za nimi w stronę następnego wraku, oddalonego może o pół przecznicy od pojazdu mistrza Bondary. Był mocno spalony, a metal skręcił się od żaru, ale dało się zauważyć, że duża część jednostki policyjnej została oderwana od reszty kadłuba. Widać też było cięcie przez kopułę, gdzie zazwyczaj siedział pilotujący jednostkę robot.

– Masz jakieś pomysły, padawanie?...

– Kenobi. Nazywam się Obi-Wan Kenobi.

– Rozpoznajesz ten typ aerowozu? – zapytał Sullustianin.

Obi-Wan pokręcił głową.

– A czy to ważne?

Śledczy przytaknął.

– To jest... czy raczej była PJW, policyjna jednostka wspomagania. Są specjalnie zaprojektowane, żeby wspomagać policjantów odpowiadających na wezwania z takich miejsc jak Karmazynowy Korytarz. Mają się trzymać dziesięć metrów z tyłu i piętnaście metrów ponad jednostkami wezwanymi.

Obi-Wan wiedział, co ich zastanawia. Jak ktokolwiek mógł poderwać się na piętnaście metrów w górę, aby dosięgnąć do PJW, nie dając się zestrzelić?

– Czy ktoś zginął? – zapytał, choć znał już odpowiedź.

– Dwóch oficerów patrolowych – odpowiedział Mrlssi.

Obi-Wan kiwnął głową.

– Mogli to zrobić członkowie Czarnego Słońca. Skontaktuję się ze świątynią w tej sprawie. Jedi zapewnią wam wszelką pomoc. – Odwrócił się i skierował z powrotem do swojego aerowozu.

Ta sprawa zaczęła przerastać możliwości samotnego padawana Jedi. Biorąc pod uwagę, że mogło być w nią zamieszane Czarne Słońce i że zginęło dwóch policjantów, Obi-Wan wiedział, że jedyną rozsądną rzeczą było powiadomienie o wszystkim przełożonych. Trzeba będzie przeprowadzić pełne śledztwo wspólnie z policją.

Poderwał aerowóz na wysokość mniej więcej dziesiątego poziomu – poniżej najniższej warstwy ruchu, ale wystarczająco wysoko, żeby móc obrać w miarę bezpośredni kurs na Świątynię. Cokolwiek się działo, był teraz pewien, że wiązało się to nie tylko ze zniknięciem mistrza Bondary i Darshy.

Zanim jeszcze usłyszał sygnał komunikatora szyfrującego, Darth Sidious poczuł lekkie zaburzenie Mocy i wiedział już, że to jego uczeń chce się z nim skontaktować. Podeszedł do holoprojektora i uaktywnił kratę transmisyjną. Kontrolki potwierdzające, że transmisja nie jest podsłuchiwana, zapaliły się na zielono, gdy zaczął mówić.

– Uczniu, twoja misja dobiegła końca.

To było stwierdzenie, nie pytanie. Sidious wiedział, że Darth Maul nie kontaktowałby się z nim, żeby poinformować o porażce, a energia przekazująca jego obraz nie wykazywała żadnych niepokojących znaków.

– Tak, mistrzu. Padawanka zginęła w walce. Jak na neofitkę, walczyła dobrze. Eksplozja wywołana naszą bitwą zniszczyła Lorna Pavana i jego robota.

Darth Sidious pokiwał głową. Nawet z tej odległości wyczuwał, że uczeń mówi prawdę. Wieści były doskonałe. Ewentualne przecieki, które mogłyby storpedować jego plany, zostały uszczelnione. Z pewnością znajdą się dalsze wyzwania – nie wierzył ani w waleczność, ani w prawdomówność Neimoidian – ale

prawdopodobnie dopiero wtedy, gdy plany będą już na takim etapie, z którego nie da się zawrócić.

– Chcę, żebyś przyniósł holocron w pewne miejsce. – Sidious podał Maulowi współrzędne i specjalne instrukcje, których uczeń będzie potrzebował, żeby przedostać się przez roboty ochrony. Darth Maul przyjął informacje.

– Uczniu, bądź bardzo ostrożny. Zachowanie tajemnicy jest sprawą najważniejszą. Jedi będą bardzo cierpieć z powodu utraty dwóch rycerzy i zechcą poszukać odpowiedzi na pytania. Musisz dopilnować, aby ich nie znaleźli.

Darth Sidious nie czekał na odpowiedź; nie było to konieczne. Gestem przerwał połączenie.

Nadszedł czas na dalsze przygotowania. Czas, by ostatecznie zrealizować plan, który układał przez całe dziesięciolecie. Strategię, która zaowocuje ostateczną zagładą Jedi.

Wkrótce.

Już niedługo.

Obi-Wan Kenobi przyspieszył do maksymalnej bezpiecznej prędkości, nurkując przez wąski labirynt uliczek i budynków. Nagle jego uwagę odwrócił łoskot i pomarańczowy rozbłysk dwie ulice dalej.

Jeszcze jeden wybuch, pomyślał lecąc w jego kierunku. Nie wiedział, co się dzieje, ale gdyby to miało trwać dłużej, wkrótce ta dzielnica będzie wyglądała jak po bombardowaniu z orbity.

Zatrzymał aerowóz na platformie ładowniczej i ostrożnie ruszył w stronę piekła. Starał się zrozumieć, co się stało. Wysłał wszystkie zmysły w kierunku budynku. Nie wyczuły życia, ale rozpoznały pozostałości potężnej bitwy. Obi-Wan wyczuł obecność Darshy i te same macki zła, które przez cały dzień nie dawały mu spokoju. Odwracając się, padawan zauważył fragment spalonego gruzu, odrzucony wybuchem od wejścia. W szczątkach coś świeciło; podszedł sprawdzić, co to takiego.

Szok ostrymi falami zaatakował jego ciało; musiał zmusić się do

uspokojenia, rozluźnić umysł i zaakceptować to, co widzi.

Użył Mocy, by uchwycić błyszczący kawałek metalu. Wyciągnął go z gruzów i skierował do swojej ręki.

Była to skrzyta rękojeść świetlnego miecza, stopiona tak, że prawie nie dawało się jej rozpoznać.

Prawie.

W czasie ćwiczebnych pojedynków w świątyni dwaj padawani tradycyjnie salutowali sobie przed walką, unosząc rękojeści mieczy świetlnych do czoła jeszcze przed zapaleniem obwodów energetycznych. Obi-Wan nieraz widział staranny druciany opłot rączki broni Darshy – niepowtarzalny wzór.

Właśnie miał go przed sobą.

Moc to potwierdziła; nie było żadnych wątpliwości. Darsha Assant nie żyła.

Obi-Wan Kenobi stał cicho, patrząc na rękojeść.

„Nie ma emocji, jest spokój”.

Jakże pragnął, by było to prawdą!

ROZDZIAŁ

33

Lorn patrzył w światło; nigdy nie widział tak jasnego blasku.

Poczuł się... krachy, jak gdyby miał rozpaść się na tysiąc kawałków przy pierwszym poruszeniu. W uszach mu dzwoniło, dziwny zapach drażnił nozdrza. Nie potrafił skupić wzroku. Wszystko wydawało się snem. Nie miał pojęcia, gdzie jest, ani jak się tam znalazł.

Nagle światło – którym, jak wreszcie odgadł, było słońce – przesłoniła znajoma twarz.

– Obudziłeś się. To dobrze. Jak się czujesz?

Lorn spróbował poruszyć szczęką i stwierdził, że może mówić bez większych trudności.

– Jak zabawka psa bojowego. – Usiadł. Wciąż miał zaburzenia wzroku i wszystko go bolało. – Co się stało?

I-5 milczał przez chwilę.

– Nie pamiętasz naszej ostatniej... sytuacji?

Lorn rozejrzał się dookoła. Razem z robotem tkwili na małym występie gdzieś w połowie ściany budynku. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał ...

Odwrócił się i popatrzył w innym kierunku. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej stał budynek, w którym siedzieli uwięzieni przez Sitha. Pamiętał, że Darsha otwierała drzwi, pamiętał, że widział Sitha w przejściu – lecz nic ponadto. Powiedział to I-5.

Robot skinął głową.

– Chwilowa utrata pamięci. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę

ostatnie przeżycia i zamrożenie węglowe. – Pomógł Lornowi wstać. – Możesz chodzić?

Lorn spróbował złapać równowagę.

– Myślę, że tak.

– Dobrze. Władze z pewnością wkrótce tu będą, lecz przy odrobinie szczęścia Tuden Sal zdąży przed nimi.

Tuden Sal. Z jakiegoś powodu to imię poruszyło struny jego pamięci.

– Zamroziłeś nas w karbonicie.

I-5 przytaknął.

– Komora magazynowa, w której się znajdowaliśmy, została tak zaprojektowana, że można w niej przewozić lotne substancje wybuchowe. To była tylko kwestia zmiany parametrów do...

Uderzyło go to, jak granat ogłuszający rzucony blisko.

– Darsha!

Blask słońca, do tej pory tak niezwykle jasny, momentalnie przygasł. Mechaniczne ramię I-5 pochwyciło Lorna, pomagając mu utrzymać się na nogach.

Darsha, padawanka, kobieta, z którą dzielił ostatnie burzliwe czterdzieści osiem godzin – kobieta, która w tym krótkim czasie zaczęła dla niego znaczyć więcej niż ktokolwiek, wyjąwszy Jaksa i I-5 – Darsha nie żyła.

Nie. To niemożliwe. Robotowi i jemu udało się oszukać śmierć; z pewnością musiał istnieć jakiś sposób, by i jej się to udało.

Zdesperowany popatrzył na I-5. Zorientował się, że partner wie, co dzieje się w jego głowie. W jakiś sposób odczytał prawdę z metalicznej, pozbawionej wyrazu twarzy robota.

Uciekli, ponieważ ona kupiła dla nich czas – kupiła go za własną krew.

To wspomnienie też powróciło. Ona... odeszła.

– Jak to się stało? – zapytał martwym głosem.

– Udało jej się zebrać podczas walki kilka łatwopalnych pojemników i podpalić je, zanim została pokonana.

Pokonana.

Lorn milczał, kiedy podchodzili do krawędzi dachu.

– Dlaczego my żyjemy?

– Karbonit był wyjątkowo gęsty. Wytrzymał wybuch, a ponieważ byliśmy w nim uwięzieni, przeżyliśmy. Zegar ustawiłem tak, aby odmrozić nas po pół godzinie. Potem stwierdziłem, że rozsądniej będzie, jeśli opuścimy tamto miejsce.

Lorn powoli przytaknął.

– A co z Sithem? Przeżył czy umarł tak jak... – nic mógł się zmusić, żeby skończyć zdanie.

– Nie wiadomo. Jeśli przeżył... gdybyśmy mieli do czynienia z kimkolwiek innym, byłoby mało prawdopodobne... to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa myśli, że nie żyjemy. Zamrożenie węglowe spowolniło procesy biologiczne i elektroniczne do poziomu zbyt niskiego do wykrycia, nawet dla mistrza Mocy.

Lorn przeciągnął się ostrożnie, machając jednym i drugim ramieniem. Poza silnym bólem głowy chyba nie odniósł żadnych poważnych obrażeń. Zdarzało mu się gorzej czuć na kacu.

Ze środkowej sekcji ciała I-5 dobiegł buczący dźwięk.

– To chyba nasz transport – oznajmił robot. Wyciągnął komunikator z tułowia i uaktywnił go. Potwierdził ich lokalizację i wyłączył urządzenie.

Po chwili zbliżył się do nich duży czarny aerowóz z kopulastym dachem i ciemnymi szybami, otworzył boczne drzwi, gdy zrównał się z nimi. Lorn zajrzał do środka i zobaczył, że Tuden Sal przybył osobiście, aby ich zabrać.

– Zastanawiam się, w co wy dwaj tym razem się wpakowaliście – powiedział Sal, gdy aerowóz wzbił się w powietrze. Wyjrzał przez przydymioną szybę na obraz zniszczeń w dole. – Zresztą biorąc pod uwagę to, co widzę w dole, nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć.

– Mądra decyzja – powiedział I-5 wyglądając przez boczne okno. – Im mniej wiesz, tym mniej mają powodów, aby cię oskarżyć.

Aerowóz unosił się coraz wyżej, kierując się w stronę pasa ruchu, który miał ich doprowadzić do Portu Wschodniego, gdzie mieściła się jedna z restauracji Sala. I-5 poklepał Lorna po ramieniu i wskazał na okno.

– Nie spodoba ci się to, co tam zobaczysz – powiedział.

Lorn wyjrzał i zobaczył maleńką postać w czerni, przechadzającą się nadziemną kładką poniżej. Poczuł mróz, jakby ponownie zanurzono go w karbonicie. Dostrzegł postać tylko kątem oka i ze znacznej odległości, ale wyglądała jak...

Zaschło mu w gardle; musiał przełknąć dwukrotnie, zanim zdołał przemówić.

– Masz w tym pudle powiększalnik? – zapytał Tudena Sala, który rozparł się na wprost niego.

Restaurator – Sakiyanin – był niski, krępy, a jego skóra wyglądała jak wypolerowany metal. Skinął i popukał w kontrolkę przy panelu okna. Aerowóz był szczytem komfortu: maleńki pojemnik z napojami, komunikator wysokiej mocy, międzygatunkowy regulator temperatury i wilgotności powietrza. W odpowiedzi na polecenie Sala maleńka postać powiększyła się, wypełniając pół okna. Osobnik miał postawiony kołnierz, który zasłaniał mu twarz, a dalsze powiększenie groziło rozbiciem obrazu na cyfrowe komponenty, lecz Lorn i tak rozpoznał postać.

To był Sith.

Kiedy tak patrzył, zamaskowany morderca wyciągnął coś zza paska i podniósł do góry, aby się lepiej przyjrzeć. Na prośbę Sala powiększalnik skoncentrował się na przedmiocie. Lorn nie był zaskoczony, widząc w ręku Sitha holocron.

– Wasz przyjaciel? – zapytał Sal.

Lorn potrząsnął głową.

– Wręcz przeciwnie. Ale chciałbym mieć go na oku. Masz coś przeciwko temu, abyśmy lekko zboczyli z kursu?

– Nie ma problemu. Jestem twoim dłużnikiem, Lorn.

– Nastaw powiększalnik na maksymalną ostrość i odsuń się tak daleko, jak tylko możesz – poradził I-5.

Sal wcisnął włącznik i wydał instrukcje szoferowi-robotowi. Podążali za zamaskowaną sylwetką w sporej odległości, ledwie mając ją w zasięgu wzroku.

Darth Maul zepolił się z Ciemną Stroną i uczynił swój cień tak

małym, jak to było możliwe. Jego mistrz miał rację: nie miałyby sensu, gdyby – uciszwszy wrogów Sitha – odkrył się przed innymi przez zwykłą pomyłkę.

Zatrzymał taksówkę. Kiedy jego motor pościgowy został zniszczony, a jazda na tym, który zabrał patrolowi policyjnemu, stała się zbyt niebezpieczna, potrzebował transportu, aby dostać się w pobliże opuszczonej monady, gdzie czekał jego statek.

Kiedy taksówka powietrzna ruszyła, a kierowca otrzymał wskazówki, Maul rozejrzał się, czy nikt go nie śledzi. Było to mało prawdopodobne; w końcu wszyscy, którzy go widzieli, zginęli lub znajdowali się co najmniej dziesięć poziomów niżej – lecz mistrz nakazał ostrożność, a Maul musiał podporządkować się jego rozkazom.

Lorn i I-5 przyglądali się ciemnej sylwetce; Maul wysiadł z taksówki i skierował się w stronę górnego wejścia do opuszczonej monady. Patrzyli jeszcze przez kilka minut, dopóki Sith nie pojawił się na dachu.

Kilka sekund później zobaczyli, że wstępuje w obłok pary, a następnie znika.

– Niezła sztuczka – przyznał Tuden Sal.

Lorn tylko się gapił, przez chwilę kompletnie oszołomiony, nie wierząc własnym oczom. Czyżby był to jakiś nowy oręż morderczego Sitha? Wtedy usłyszał I-5, który w odpowiedzi na komentarz Sala powiedział:

– Musi mieć urządzenie osłaniające wysokiej mocy. Pewnie oparte na kryształach.

Oczywiście! Ich prześladowca wszedł do ukrytego statku kosmicznego. To miało sens, pomyślał Lorn. Sith spełnił swoją misję, odzyskał holocron i – w swoim mniemaniu – zabił każdego, kto cokolwiek o tym wiedział. Bez wątplenia przygotowywał się do odlotu z Coruscant.

Tylko że ja żyję, morderco. Ja żyję.

Pozostawało pytanie, co teraz, zrobić.

Po raz pierwszy, odkąd zaczął się ten koszmar, Lorn był bezpieczny. Sith myślał, że on nie żyje. Wszystko, co należało teraz zrobić, to przycząć się, a demoniczny zabójca zniknie z jego życia na zawsze. Razem z I-5 mogli opuścić Coruscant i odlecieć na tyle parseków od centrum galaktyki, ile tylko uważali za stosowne. Nie byłiby bogaci, ale za to żywi.

A niktzemnik, który zabił Darshę, uniknąłby kary za swoją zbrodnię.

Lorn wiedział, że mógł pójść do Jedi i powiedzieć im, co się stało. Bez wątplenia zebraliby swoje oddziały i rozpoczęli polowanie na tego, kto zamordował dwoje z nich. Choć w przeszłości ich kontakty nie układały się najlepiej, na pewno by mu uwierzyli – jedna z niewielu korzyści płynących z kontaktów z bractwem Mocy.

Lecz tryby organizacji, bez względu na to jak szczytne stawiała sobie cele, obracały się wolno i ociężale. Nie miał wątpliwości, że właśnie w tej chwili Sith przygotowuje statek do startu. Jeśli opuści tę planetę, czy Jedi zdołają go znaleźć?

Lorn wyjrzał przez okno. Przed nim, od horyzontu do horyzontu, rozciągało się miasto w całej swojej krasie. Czuł, że bardziej niż ktokolwiek inny ma prawo twierdzić, iż widział najlepsze i najgorsze, co planeta miała do zaoferowania. Wiódł życie niekiedy niebezpieczne, niekiedy frustrujące, przerażające i łamiące ducha. Mało w nim było radości. Jednak wolałby nie ryzykować, że je straci.

Nigdy nie chciał być bohaterem. Wszystko, czego pragnął, to wieść ciche, normalne życie z żoną i synem. Lecz żona go opuściła, a Jedi – na których galaktyka patrzyła jak na bohaterów – namówili ich, by oddać im syna.

Nigdy nie nazwałby żadnego Jedi bohaterem, dopóki nie spotkał Darshy Assant.

Wziął głęboki oddech i spojrzał na Tudena Sala.

– Potrzebujemy statku – powiedział.

– I-5 też mi to mówił. Nie ma problemu – zgodził się jego przyjaciel. – Gdzie chcecie jechać?

Lorn popatrzył na dach monady, gdzie chwilę wcześniej widział Sitha.

– Tam, gdzie on.

ROZDZIAŁ

34

Darth Maul usadowił się w fotelu pilota i przyłożył dłoń do płytki sensorowej na konsoli. Półkulistą komorę wypełniły szумы i wibracje, gdy „Infiltrator” nabierał mocy. Szybki rzut oka na zewnątrz pozwolił stwierdzić, że w pobliżu nie ma nic, co mogłoby przeszkodzić w starcie. Maul z satysfakcją kiwnął głową.

Jego misja dobiegała końca. Zabrała więcej czasu niż przewidywał i doprowadziła go do najciemniejszych zakamarków Coruscant, o których istnieniu nie miał dotąd pojęcia. Lecz teraz jego zadanie było wykonane. Każdy, z kim rozmawiał Hath Monchar, a więc każdy potencjalny przeciek został zlikwidowany. Plan Dartha Sidiousa dotyczący embarga handlowego, które miało ostatecznie doprowadzić do upadku Republiki, można było wprowadzić w życie bez przeszkód.

Maul wyciągnął z pasa holocron i przyjrzał się kryształowi. Taka mała rzecz, a zawierała tyle potencjalnej mocy. Schował kryształ do wewnętrznej kieszonki w pasie i uaktywnił matrycę pionowego startu. Popatrzył na monitory nad głową, gdy dach monady usuwał się spod statku. Komputer nawigacyjny „Infiltratora” rozpoczął wytyczanie wektorów kierunku i prędkości, które miały zaprowadzić statek do punktu wyznaczonego przez Dartha Sidiousa na miejsce spotkania. Tam Maul przekaze holocron swemu mistrzowi – i to będzie koniec jego misji.

W ciągu kilku minut znalazł się nad chmurami; widać już było krzywiznę planety. Dotarcie do celu zajmie mu trochę czasu; orbity otaczające Coruscant były prawie tak zatłoczone jak strefy ruchu na

powierzchni lub tuż ponad nią. Gdy tylko znajdzie się na orbicie, musi wyłączyć pole osłaniające; w przeciwnym razie trudno mu będzie uniknąć kolizji z miliardami satelitów, stacji kosmicznych i statków okrążających planetę.

Wyłączył autopilota i włączył napęd jonowy na minimalną moc. Autopilot mógłby oczywiście dowieźć go do celu, ale Maul wolał zachować kontrolę nad statkiem.

Wprowadził „Infiltratora” na niską orbitę, ledwie muskając rzadkie gazy górnej jonosfery. Pomyślał teraz o swojej walce z padawaną. Z pewnością była sprytniejsza i bardziej pomysłowa, niż przypuszczał. Podobnie jak jej towarzysz. Zmusili go do całkiem niezłej pogoni. W duchu oddał im sprawiedliwość. Podziwiał odwagę, umiejętności i pomysłowość, nawet u wroga. Od początku byli zgubieni, lecz przynajmniej walczyli ze swoim losem zamiast biernie mu się poddawać, jak ten tchórzliwy Neimodianin, który był przyczyną całego zamieszania.

Zastanawiał się, jaką misję miał dla niego w zanadrzu jego mistrz. Prawdopodobnie coś związanego z blokadą Naboo. Miał nadzieję, że da mu to okazję zetknięcia się z następnymi Jedi. Zabicie padawanki tylko zaostrzyło jego apetyt.

Statek, który dał Lornowi i I-5 Tuden Sal, był zmodyfikowanym krążownikiem ARE Thixian Siedem. Najlepsze dni ma już za sobą, pomyślał Lorn, kiedy ich samochód powietrzny wylądował w pobliżu platformy lądowniczej w Porcie Wschodnim. Cóż, nie miało to znaczenia. Jedyne, co go obchodziło, to żeby latał i strzelał.

Tuden Sal zaaranżował odprawę przez komunikator, więc Lorn zwrócił się do I-5:

- Daj mi miotacz.
 - Mam nadzieję, że nie będziesz mnie znowu próbował zastrzelić – powiedział robot, oddając broń Dzikusów.
 - Nie strzeliłbym do ciebie.
- I-5 nie odpowiedział.
- Słuchaj – ciągnął Lorn – nie oczekuję, że ze mną pójdziesz.

Lepiej, żebyś udał się do świątyni i powiedział Jedi, co się dzieje. Dzięki temu będziemy mieć plan awaryjny, na wypadek, gdyby mi się nie udało.

– Nie wygłupiaj się – mruknął I-5. – Chcesz się wyprawić na Sitha w pojedynkę? Miałbyś mniej więcej takie same szanse, jak śnieżynka w zetknięciu z supernową.

– To nie twoja sprawa.

– W końcu się w czymś zgadzamy. I tak nie pozwolę, ci tam iść samemu, chyba wiesz. Będziesz potrzebował wszelkiej możliwej pomocy. To mi przypomina... – robot wydobyl z pojemnika na piersi coś, co przypominało małą, białą piłkę. Wręczył ją Lontowi, który przyjrzał się jej z bliska. Była na wpół przezroczysta, mniej więcej kulista, o średnicy jak długość jego kciuka, prawdopodobnie wykonana z jakiejś substancji organicznej.

– Co to jest?

– Skórzany wyrostek taozina. Są zbudowane ze specjalnych komórek, blokujących Moc.

Lorn krzywo spojrział na przedmiot. Teraz, gdy dowiedział się, czym był, poczuł obrzydzenie.

– Mówisz, że jeśli będę to miał, Sith nie będzie mógł użyć przeciwko mnie Mocy?

– Mówię tylko, że pomoże to ukryć twoją obecność na tyle długo, abyś mógł podkraść się do niego niezauważony. Nie ochroni cię to przed jego zdolnościami telekinetycznymi, a z pewnością nie pomoże w bezpośredniej walce. Ale lepszy rydz niż nic. Teraz proponuję wystartować. – Robot skierował się w stronę rampy statku.

Lorn pozwolił mu zrobić dwa kroki, po czym wyciągnął rękę i przekręcił centralny wyłącznik na karku I-5. Robot zaczął się przewracać, ale Lorn podtrzymał go i ułożył na ziemi. Odwrócił się i zauważył, że przygląda mu się Tuden Sal.

– Rodzinna sprzeczka?

– Coś w rym guście. Potrzebuję jeszcze jednej twojej przysługi - powiedział Lorn. – Dostarcz tę kupę złomu do Świątyni Jedi. I-5 ma pewne informacje, które powinni usłyszeć.

Sal skinął głową. Podniósł robota pod pachy i zaciągnął go do

swojego aerowozu. Lorn patrzył za nimi przez jakąś minutę, wreszcie odwrócił się i wszedł na pokład statku.

Lorn musiał uczciwie przyznać, że nawet nie był przerażony na myśl o stanięciu twarzą w twarz z Sithem. Przerażony to zbyt łagodne określenie. Był oszalały ze strachu, sparaliżowany, kompletnie porażony tym, co planował. Wiedział, że to misja zgoła samobójcza, więc po co to wszystko? Czysta donkiszoteria, idiotyczna zemsta za śmierć kobiety, którą ledwie znał. Szaleństwo. I-5 miał rację: jego szanse na przeżycie były żadne.

Gdy Thixian Siedem wystartował z kosmportu, Lorn poczuł, że jest na granicy hiperwentylacji. Każdy nerw jego drżącego ciała płonął od nadmiaru adrenaliny; każda komórka mózgu, jeszcze funkcjonująca po okresach pijaństwa, krzyczała, aby opuścił orbitę i po prostu odleciał. Zamiast posłuchać dobrej rady wydał instrukcją komputerowi nawigacyjnemu, aby podał wszelkie możliwe trajektorie statku, wychodząc od współrzędnych opuszczonej monady.

Komputer zbyt szybko jak na gust Lorna zidentyfikował pojazd na niskiej orbicie, w odległości trzydziestu pięciu kilometrów. Lorn wyświetlił go na ekranie, kiedy dowiedział się z odczytu, że mechanizm ukrywający został wyłączony. Gapił się teraz w komputerowo powiększony obraz statku Sitha. Był to smukły pojazd prawie trzydziestometrowej długości, z długim dziobem i wygiętymi skrzydłami; odczyt skanera nie podawał uzbrojenia, ale statek sam z siebie wyglądał groźnie.

Pod nim Coruscant wyglądało jak gigantyczna płytką obwodów umieszczona na powierzchni planety. Był to wspaniały widok, lecz Lorn nie był w nastroju do podziwiania widoków. Zszedł na niższą orbitę, daleko w tyle za statkiem wroga. Nie wiedział, jak silną ochronę zapewnia mu wyrostek taozina, i nie miał zamiaru kusić losu. I tak będzie potrzebował wiele szczęścia.

Żałował, że nie ma z nim I-5. Miał jednak bolesną świadomość, że odkąd zaczął się ten koszmar, za każdym razem, gdy jego życie było zagrożone, albo robot albo Darsha ratowali mu życie. Ale ze mnie

bohater, pomyślał.

Brakowało mu też Darshy, chociaż wiedział, że i tak by jej teraz przy nim nie było. Chciał tylko, aby żyła daleko stąd, bezpieczna na jakiejś przyjaznej planecie, na której nikt nie słyszał ani o Sithach, ani o Jedi. No i chciał tam być razem z nią.

Komputer sterujący zapiszczał cicho, aby przyciągnąć jego uwagę, i pokazał wektor trasy na jednym z monitorów. Statek Sitha zmienił kurs; teraz kierował się w stronę dużej stacji kosmicznej w orbicie geosynchronicznej nad równikiem.

Lornowi zaschło w ustach. Poinstruował autopilota, aby podążał za tamtym statkiem. Nie miał pojęcia, co zrobi, kiedy dotrze na miejsce. Jedyne, co wiedział, to że musi w jakiś sposób powstrzymać Sitha.

Dla Darshy. I dla siebie.

ROZDZIAŁ

35

Tuden Sal wpakował wyłączzonego I-5 do swojego samochodu powietrznego i poinstruował kierowcę – robota, gdzie mają lecieć. Pojazd uniósł się z płyty lotniska i gładko wśliznął się w pas ruchu powietrznego.

Szkoda mu było Lorna. Jego przyjaciel nie powiedział mu wiele o tym, co zamierza, lecz z kilku aluzji i półsłówki, a także z wyglądu typu, którego ścigał, Sal zorientował się, że Lorn nie ma zbyt wielkich szans na przeżycie. Niedobrze. Zawsze uważał, że ten chłopak ma potencjał, nawet jeśli uważano go za przegranego. Rogata dusza zawsze rozpozna drugą.

Jednak wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Lorn zginie w czasie swojej szalonej misji. Szkoda, ale właściwie to nie była sprawa Sala. Bardziej obchodził go teraz los robota.

Sakiyan nigdy nie zrozumiał, jak Lorn mógł traktować I-5 jak równego sobie – do tego stopnia, że mówił o nim „partner w interesach”. Roboty były maszynami – bystrymi, owszem, i zdolnymi w pewnych sytuacjach doskonale naśladować ludzkie zachowania. Lecz to było wszystko: wyłącznie mimikra. Prawnie były traktowane jak przedmioty. Chociaż Sal trochę się już do tego przyzwyczaił, odkąd poznał Lorna i I-5, to jednak ogarniało go dziwne uczucie za każdym razem, gdy widział tych dwóch pracujących jak równy z równym.

Cóż, nadszedł czas, żeby z tym skończyć. Już od jakiegoś czasu miał oko na robota; same modyfikacje broni czyniły z niego cenny

nabytek. Sal od czasu do czasu miał do czynienia z Czarnym Słońcem, więc uznał, że to niezły pomysł mieć ochroniarza, a był pewien, że I-5 świetnie sprawdziłby się w tej roli – pod warunkiem, że wcześniej dokładnie wyczyści mu się pamięć.

Nie martwił się zbytnio tym, co by pomyślał Lorn. W końcu nie spodziewał się go ujrzyć jeszcze kiedyś przy życiu. A nawet jeśli tak, kradzież i przeprogramowanie robota to nie taka znowu wielka zbrodnia. Najgorsze, czego mógł się spodziewać, gdyby Lorn wystąpił na drogę sądową, to grzywna, która absolutnie nie dorównywałaby cenie nowego robota z charakterystyką zbliżoną do I-5.

Jakby na to nie patrzeć, nawet oddanie Lornowi tej przestarzałej krypy nie było złym interesem.

Dach świątyni lśnił w popołudniowym słońcu, kiedy mijał go aerowóz Sala. Wkrótce ten widok znikł wśród niezliczonych statków, wypełniających niebo Coruscant.

„Infiltrator” wylądował w jednym z rękawów cumowniczych stacji kosmicznej, a Maul usłyszał stłumiony metaliczny dźwięk śluzy powietrznej, podłączanej do zewnętrznego włazu. Wyłączył funkcje podtrzymywania życia i system sztucznej grawitacji, po czym w stanie nieważkości przepłynął przez ciemne wnętrze statku do luku powietrznego.

Znajdował się w jednym z zewnętrznych modułów serwisowych stacji. Darth Sidious zapewnił go, że ani człowiek, ani robot nie będzie mu przeszkadzał, a gdy Maul wynurzył się ze śluzy, przekonał się, że jego pan miał rację. Luk otwierał się na coś w rodzaju korytarza serwisowego – wąskie i niskie pomieszczenie, którego ściany i sufit pokryte były płataniną rur i przewodów. W tej części stacji nie było sztucznej grawitacji, z pewnością ze względów finansowych. Nieważne; Maul pracował już nieraz w warunkach zerowej grawitacji. Minął śluzę i popłynął wzdłuż korytarza, przytrzymując się najrozmaitszych obiektów sterczących ze ścian.

Wskazówki, których udzielił mu Darth Sidious, miał wyryte w głowie; powinien podążać w dół tym przejściem aż do właściwego

modułu, a następnie przejść pionowym szybem do jednego z większych modułów mieszkalnych. W określonym momencie – za mniej niż kwadrans – miał się spotkać ze swoim mistrzem i przekazać mu kryształ.

Dopiero wtedy jego misja zostanie wypełniona.

Lorn włączył autopilota, który zajął się dokowaniem; sam nie był zbyt dobrym pilotem. W niczym nie jestem dobry, pomyślał gorzko, z wyjątkiem pakowania bliskich mi osób w kłopoty. Wciąż miał miotacz, który zabrał Dzikusowi, ale właśnie w tym momencie przypomniało mu się, że magazynek nie starczy na więcej niż kilka strzałów. Cóż, kilka strzałów to prawdopodobnie i tak wszystko, co uda mu się zdziałać.

Błysnęło zielone światło, a Lorn przeszedł do szybu serwisowego. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio przebywał w nieważkości. Kiedy tylko mógł, w miarę regularnie ćwiczył w ośrodku, który oferował sporty zerograwitacyjne. Podobały mu się te treningi; czuł się, jakby umiał latać, choćby tylko w niewielkich salkach ośrodka. To tak jakby zrzucał z siebie ciężar istnienia.

Nie miał jednak złudzeń, że jego doświadczenia w nieważkości dawały mu jakąkolwiek przewagę nad Sitnem. Nie wątpił, że jego przeciwnik potrafił, dzięki swoim nieprawdopodobnym zdolnościom, radzić sobie w każdych warunkach. On zaś będzie potrzebował niewiarygodnie dużo szczęścia, aby wyjść z tego wszystkiego cało.

Gdy znalazł się w korytarzu, zaczął się poruszać bardzo powoli i ostrożnie. Nigdzie nie widział śladu wroga ani jakiegokolwiek zakątka, w którym mógłby się schronić. Wolał jednak nie ryzykować. Lorn wcale by się nie zdziwił, gdyby Sith nagle zmaterializował się w powietrzu tuż przed nim.

Nie miał pojęcia, co zrobi, gdy go zobaczy; nie starczyło mu czasu na przygotowanie jakiegoś planu. Gdyby dzięki wyrostkowi taozina udało mu się podejść na tyle blisko, aby oddać strzał, nie miałby absolutnie żadnych skrupułów, żeby strzelić wrogowi w plecy – zakładając, że na jego widok nie umarłby wcześniej ze strachu. Dotarł

do końca korytarza, stąd prowadził dalej szyb dostępu. Przed wejściem wyciągnął miotacz i sprawdził magazynek.

To, co odkrył, zmartwiło go. Broń miała zaledwie tyle mocy, żeby oddać jeden strzał o maksymalnej sile lub trzy strzały przy ustawieniu na ogłuszanie. Po chwili namysłu Lorn ustawił broń na mniejszą moc. Zakładał, że lepiej mieć trzy szanse ogłuszenia Sitna niż jedną szansę zabicia go. Przyjmując, że strzał rzeczywiście by go ogłuszył. Lorn wcale nie był przekonany, że jakakolwiek broń mogła zaszkodzić jego wrogowi. Wszedł do szybu, który doprowadził go do większego, lepiej oświetlonego pomieszczenia, o rozmiarach mniej więcej dziesięć na dziesięć metrów, prawie pustego, z wyjątkiem koszy przytwierdzonych do ścian.

W drugim końcu pokoju zobaczył Sitha.

Stał tyłem do Lorna; wprowadzał kod wejściowy panelu w ścianie, szykując się do otwarcia wjazdu, przed którym stał.

Lorn wyszedł cicho z szybu i chwycił miotacz w obie ręce. Zaczepił się stopami o krawędź wjazdu; w warunkach nieważkości odrzut będzie minimalny.

Wyglądało na to, że wyrostek taozina spełnia swoje zadanie: Sith chyba nie zdawał sobie sprawy, że Lorn stoi dziesięć metrów za nim, a krople potu spływają mu między łopatkami. Ręce mu się trzęsły, ale nie na tyle, aby nie trafić do celu tak dużego jak plecy wroga, zwłaszcza że miał do dyspozycji trzy strzały. Po ogłuszeniu Sitha Lorn miał zamiar dobić go jego własnym świetlnym mieczem i zabrać mu kryształ informacyjny.

Sith wcisnął guzik w ścianie. Zapaliło się zielone światło i wjazd zaczął się otwierać.

Teraz. To musi być teraz. Lorn głęboko wciągnął powietrze, szeroko otwartymi ustami, aby Sith go nie usłyszał. Wypuścił je w ten sam sposób i wziął jeszcze jeden wdech.

Pociągnął za spust.

ROZDZIAŁ

36

Strzał był udany. Pocisk ogłuszający trafił Sitha w sam środek pleców i rzucił nim o przegrodę. Lorn wystrzelił raz jeszcze, tym razem celując w kręgosłup.

Sam nie mógł w to uwierzyć. Ruszył przez pokój w kierunku przeciwnika, który płynął miękko w jego stronę odbijając się od ścian. Z miotaczem w pogotowiu – został mu jeszcze jeden strzał – chwycił Sitha za ubranie i przyciągnął go bliżej. Kiedy sięgał po świetlny miecz, zauważył błysk światła dobywający się z kieszonki w pasku.

To był holocron. Lorn chwycił go, wetknął do kieszeni i sięgnął po świetlny miecz Sitha.

Patrzył prosto w złowrogą, wytatuowaną twarz, kiedy Sith otworzył żółte oczy.

Lorn zastygł pod ciężarem złowieszczego spojrzenia. Zapomniał o mieczu, po który sięgał, zapomniał o miotaczu w drugiej ręce. W następnej chwili odepchnął go cios, niewidzialny, lecz silny, i pozbawił oddechu.

Świetlny miecz pojawił się w pięści Sitha, błyskając obosiecznym ostrzem. Jedno z nich zmierzało złowieszczo w jego stronę jak purpurowa błyskawica. Lorn poczuł uderzenie w prawe ramię i zobaczył rękę – własną rękę, wciąż trzymającą miotacz, jak toczy się powoli, krwawiąc lekko. Nie czuł żadnego bólu, nawet chyba nie zdawał sobie sprawy, co się stało, dopóki nie ujrzał poczerńniętego, przypalonego kikuta.

Teraz Sith wirował wokół własnej osi, wykorzystując energię

ostatniego uderzenia, aby obrócić się i ponownie zaatakować. Lornowi wydawało się, że ta chwila trwa i trwa; widział wszystko niewiarygodną jasnością i ostrością. Sith odsłonił zęby w grymasie zwierzęcej nienawiści. Świetlny miecz zakreślił poziomy łuk, który w ułamku sekundy mógł skrócić przeciwnika o głowę.

Lorn płynął w stronę otwartego włazu. Stopą zgiętej lewej nogi otarł się o krawędź jednego z kanistrów. Kopnął go i przepchnął się ponownie przez właz. Ostrze energii przecięło powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była jego głowa.

Podciągnął nogi i przekoziółkował, sięgnął do kontrolki włazu. Zobaczył Sitha śmigającego w jego stronę. Uderzył ręką w przycisk i właz zamknął się Sithowi przed nosem. Rozbłysło czerwone światło, wskazując, że właz jest zamknięty. Lorn przycisnął palce do klawiatury panelu dostępu, żeby zaszyfrować kod wejściowy.

Do okienka włazu przyłgnęła twarz Sitha – widok, który każdemu zmroziłby krew w żyłach. Potem Lorn usłyszał cichutkie dzwonięcie topniejącego metalu i zobaczył falę czerwieni. To Sith próbował stopić właz ostrzem miecza.

Lorn zaczął się w panice przesuwając wzdłuż korytarza. Nie wiedział, gdzie trafi, ani jak zdoła umknąć zemście potwora. W jego głowie nie było miejsca na nic – nawet na ból po odciętej ręce, kiedy minął pierwszy szok – z wyjątkiem czerwonej fali paniki.

Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu Darth Maul był kompletnie zaskoczony.

Nie czuł żadnych ostrzegawczych wibracji Mocy, które ostrzegłyby go przed atakiem. Jego zdumienie zmieniło się w prawdziwy wstrząs, kiedy zdał sobie sprawę, kto go zaatakował. Był tak pewien, że Korelianin zginął na Coruscant, że gdy ocknął się i zobaczył go żywego, jak dobiera się do jego pasa, zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie oszalał.

Szok tym wywołany – oraz fakt, że chociaż widział przed sobą Pavana, nie wyczuł jego obecności Mocą – był tak silny, że spowolnił jego reakcję. Dzięki temu Korelianin przedostał się przez właz i

zamknął go Maulowi przed nosem. Teraz musiał wypalić dziurę w zamku. Gdy tylko przebił się przez właz, gwałtownie go wypchnął i ruszył za Pavanem, wykorzystując Moc dla zyskania przyspieszenia w nieważkim pościgu. Nie miał czasu do stracenia. Nie wiedział, jakim cudem Pavan przeżył wybuch w magazynie ani jak zdołał ukryć swoją obecność przed Mocą – i nie obchodziło go to. Za kilka minut jego mistrz znajdzie się w miejscu spotkania, a Maul miał zamiar się tam pojawić z holocronem w jednej i z odciętą głową Pavana w drugiej ręce.

Cała sprawa trwała już zbyt długo.

Lorn podciągnął się w kolejnym pionowym szybie. Poruszał się z maksymalną prędkością, na jaką mu pozwalała jedna ręka. Wydawało mu się, że czuje na plecach gorący oddech Sitha; nie śmiał się obejrzeć na wypadek, gdyby znów miał zobaczyć jego demoniczną twarz. Był pewien, że gdyby spojrział jeszcze raz w te żółte oczy, kompletnie by go sparaliżowało.

Jego jedyną nadzieją było dotarcie do głównej części stacji, gdzie na pewno znalazłby kogoś z ochrony. Oddzielony od Sitha dostateczną liczbą miotaczy może poczułby się bezpieczny.

Wydawało się niemożliwe, że kiedykolwiek na serio rozważał pomysł zabicia ubranego w czerń demona; to, że udało się zabrać mu holocron, graniczyło z cudem. Nie utrzyma go jednak zbyt długo, jeśli szybko nie znajdzie pomocy.

Wreszcie przepchnął się przez ostatni właz i trafił do dużej sali widokowej. Gdy tylko znalazł się po drugiej stronie, poczuł, że wraca ciężenie.

Rozejrzał się dokoła. Rośliny i karłowate drzewka tworzyły uroczy ogród. Połowa kopulastego dachu była wykonana z transpastali, co pozwalało podziwiać fantastyczne widoki gwiazd i ogromnego półksiężyca planety. W ogrodzie stało kilka istot różnych gatunków; niektóre nosiły szaty członków Senatu Republiki, inne miały na sobie ciemne, dopasowane stroje straży Coruscant.

Rozpoznał jednego z senatorów. Kiedy pracował dla Jedi, słyszał o

nim wiele dobrego; miał opinię człowieka praktycznego, wroga korupcji i intryg. Jeśli ktokolwiek miałby ochronić informacje zapisane w holocronie i bezpiecznie przekazać je do Świątyni Jedi, to właśnie ten człowiek.

Lorn zrobił chwiejny krok do przodu. Jeden z senatorów, Granin, zobaczył go i jęknął ze strachu. Strażnicy zbliżyli się do chronionych przez siebie osób, wyjmując miotacze.

– Zaczekajcie!

Polecenie wyszło od senatora, którego Lorn rozpoznał. Mężczyzna wystąpił do przodu i przemówił z zatroskaną twarzą.

– O co chodzi, dobry człowieku? Co cię tu sprowadza w takim stanie?

Lorn wyciągnął z kieszeni kryształ i położył go na wyciągniętej dłoni. Zauważył, że zebrani rozpoznali przedmiot.

– Kryształ holocronu?

– Tak – z trudem wykrztusił Lorn i podał kryształ senatorowi. – Musi trafić do Jedi. To bardzo ważne.

Senator skinął głową i szybko schował holocron w fałdach szaty. Potem zauważył kikut ręki.

– Jesteś raimy! -zawołał. Wezwał władczy gestem jednego ze strażników. – Ten człowiek wymaga natychmiastowej hospitalizacji! I ochrony przed napastnikami.

Lorn opadł na krzesło. Otoczony ludźmi, odważył się spojrzeć na właz serwisowy, którym wszedł. Nie było widać Sitha.

Zalała go fala ulgi. Nareszcie skończył się koszmar.

Czuł, że traci świadomość i zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od dawna mógł sobie pozwolić na luksus zmęczenia.

– Upewnijcie się... holocron... – wymamrotał, zbyt wyczerpany, aby skończyć zdanie.

Jego dobroczyńca pochylił się nad nim z uśmiechem.

– Nie martw się, mój dzielny przyjacielu. Zajmę się tym. Wszystko będzie w porządku.

– Dziękuję... senatorze Palpatine – wymamrotał Lorn i zemdlął.

ROZDZIAŁ

37

Gdy Obi-Wan Kenobi dotarł do świątyni, od razu wyczuł, że coś jest nie w porządku. Nie chodziło tylko o złowrogie wibracje Mocy, pulsujące wokół niego; padawani i posłańcy, których mijał w holu, też wyglądali na strapionych i przejętych. Jeden z nich zauważył go i zatrzymał.

– Padawanie Kenobi, masz się natychmiast zameldować u swojego mistrza – powiedział i ruszył swoją drogą, zanim Obi-Wan zdążył zapytać, co jest powodem tego wyczuwalnego napięcia.

Drzwi do siedziby mistrza Qui-Gona zastał otwarte. Jedi był w środku, pakował pistolet wspinaczkowy i kapsułki zjedzeniem do specjalnych kieszonek w pasie. Na jego twarzy odmalowała się ulga, gdy zobaczył w drzwiach Obi-Wana.

– Wspaniale! Wróciłeś w samą porę.

– Co się stało, mistrzu?

– Federacja Handlowa rozpoczęła blokadę Naboo. Ciebie i mnie wysyłają jako ambasadorów na statek flagowy Federacji, aby wyjaśnić tę sprawę.

Obi-Wan był oszołomiony wagą wiadomości.

– Z pewnością Senat Republiki potępi takie działanie.

– Cóż, Neimoidianie liczą prawdopodobnie na to, że senat zachowa się tak jak zawsze... nie spiesząc się z rozwiązaniem problemu. Tak czy siak, musimy jechać natychmiast.

– Rozumiem. Muszę cię jednak poinformować, że mistrz Anoon Bondara i jego padawanka Darsha Assant nie żyją. Nie ma co do tego

żadnych wątpliwości.

Mistrz Qui-Gon przerwał pakowanie i popatrzył na Obi-Wana. Padawan dostrzegł smutek w oczach mistrza.

– Co było powodem tej tragedii?

– Ciągle nie jestem pewien, chociaż podejrzewam, że zamieszane jest w to Czarne Słońce.

– Chcę się dowiedzieć wszystkiego, co zdołałeś ustalić – powiedział mistrz Qui-Gon – podobnie jak Rada. Ale teraz czas goni. Przekażesz wiadomości Radzie przez holotransmisję, kiedy będziemy już w drodze.

– Tak jest, mistrzu. – Obi-Wan podążył za Qui-Gonem, który zapiął pas i wyszedł z pokoju. Zrobił tak, jak kazał mu mistrz. To oczywiste, że nowy kryzys przyćmił wydarzenia, które miały miejsce w Karmazynowym Korytarzu. Idąc za mistrzem Qui-Gonem, Obi-Wan zastanawiał się, czy kiedykolwiek pozna całą historię tego, co przydarzyło się Darshy i mistrzowi Bondarze. Dziewczyna zapowiadała się na świetnego rycerza Jedi i jej śmierć napełniła go smutkiem.

Sith rzucił się w jego stronę, błyskając podwójnym ostrzem.

Lorn obudził się z westchnieniem. Rozglądał się wokół, ciągle odczuwając strach z sennego koszmaru. Kiedy rozpoznał otoczenie, odprężył się powoli. Znajdował się w jednoosobowym pokoju w hotelu – niespecjalnie luksusowym, ale i tak dużo lepszym niż to, do czego był przyzwyczajony przez ostatnie pięć lat. Jego odciętą rękę pokryto syntetyczną skórą, a senator Palpatine powiedział mu, że za kilka dni przygotują dla niego protezę. Co ważniejsze, Palpatine powiedział mu również, że kryształ z informacjami dostarczono do Świątyni Jedi, a zabójca został schwytany.

Mówiąc krótko, Lorn wygrał.

Niezupełnie, oczywiście. Ciągle opłakiwał śmierć Darshy. Martwił go również los I-5. Prawdopodobnie robot nigdy nie dotarł do świątyni. Pyrrusowe zwycięstwo – ale mimo wszystko zwycięstwo.

Złożono mu kilka propozycji: wyjazd do kolonii na Odległych

Zewnętrznych Rubieżach lub mieszkanie w monadzie na Coruscant. Zapewniono go, że niezależnie od tego, co wybierze, zarzuty o oszustwo bankowe zostaną wycofane, a on otrzyma środki, które pozwolą jemu i I-5 na dostatnie życie. Jeszcze nie zdecydował, co zrobi, chociaż skłaniał się do zamieszkania na Coruscant. Miałby wówczas możliwość ponownego kontaktu z Jaksem. Jedi byli mu winni przynajmniej to.

Zresztą sam był sobie to winien. Nadszedł czas znowu zacząć żyć – żyć prawdziwym życiem, nie jego nędzną namiastką, żalosną egzystencją, którą prowadził od tak dawna na dolnych poziomach miasta. Na pewno nie od razu zapomni o niedawnych koszmarnych przeżyciach, ale kiedyś to w końcu nastąpi. Nareszcie zazna spokoju.

Lorn wstał z łóżka. W szafie znalazł nowe ubranie, które włożył. Nie planował żadnej szczególnej wyprawy – chciał po prostu wyjść na zewnątrz, poczuć na twarzy słońce, odetchnąć świeżym powietrzem. Od dawna nie cieszył się takimi drobnymi przyjemnościami. Otworzył drzwi. Przed nim stał Sith.

Lorn był zbyt zdumiony, aby odczuwać strach. Jego wróg zrobił krok naprzód, niepowstrzymany, niepokonany, i uaktywnił swój świetlny miecz. Lorn wiedział, że nic nie może zrobić. Pokój hotelowy był mały i miał tylko jedno drzwi, a on nie miał żadnej broni. Tym razem nie ucieknie.

Ku swojemu zdziwieniu w tej właśnie chwili – w ostatnim momencie swojego życia – odkrył, że się nie boi. Stwierdził, że chyba czuje się podobnie jak Darsha, kiedy opisywała mu zespolenie z Mocą.

Odnalazł spokój. Informacja na temat Sitha dotarła do Jedi. Fakt, że zabójca zdołał uciec z więzienia, nie mógł tego zmienić. Jego śmierć, uświadomił sobie Lorn, miała służyć wyższemu celowi. Był zadowolony, że tak się to kończy.

Ostrze świetlnego miecza błysnęło w jego kierunku. Ostatnią rzeczą, o której pomyślał, był jego syn; ostatnim odczuciem – dumą, że któregoś dnia Jax zostanie rycerzem Jedi.

Patrząc w oczy Pavana, Darth Maul wiedział, co myśli ten człowiek. Nawet gdyby nie był wrażliwy na Moc, mógł po prostu czytać w oczach i twarzy wroga. Nic nie powiedział.

Chociaż Maul nie miał skrupułów, gdy chodziło o zabicie kogoś, kto stał na drodze jego mistrza, nie był pozbawiony honoru. Lorn Pavan zdołał, wbrew wszystkiemu, stać się dla Maula trudniejszym przeciwnikiem niż wielu profesjonalnych zabójców Czarnego Słońca. Był godnym wrogiem i zasługiwał na to, żeby umrzeć szybko.

Świetlny miecz przeciął powietrze, ciało, kość.

Darth Maul odwrócił się i odszedł. Jego misja dobiegła końca.

PODZIĘKOWANIA

Zbieranie plonów na cudzym polu bywa często zadaniem uciążliwym. W tym przypadku jednak była to pojemność, a to ze względu na pomoc, jaką uzyskałem od wielu osób, które pomogły stworzyć i rozbudować wszechświat *Gwiezdnych Wojen*.

Podziękowania należą się mojej redaktor Shelly Shapiro, która wciągnęła mnie na to pole; Sue Rostoni i pozostałej gromadce z Rancza Skywalkera; Ronowi Marzowi, Steve'owi Sansweetowi za ogromnie pomocną *Encyklopedię Gwiezdnych Wojen*; Steve'owi i Del Perry; a także oczywiście George'owi Lucasowi, za stworzenie niewątpliwie najbardziej rozrywkowej galaktyki w całym wszechświecie.

Spis Treści

CZĘŚĆ I – ULICE ZŁA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

CZĘŚĆ II – W LABIRYNCIE

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

PODZIĘKOWANIA